

89_c

POSTĘP
PRZEZ
Chrześcijaństwo



POSTĘP
PRZEZ CHRZEŚCJAŃSTWO.

~~Apr. 14~~
~~2322~~

816

POSTĘP

PRZEZ

CHRZEŚCIJAŃSTWO

KONFERENCYE

wyłoszone w kościele Notre Dame w Paryżu

PRZEZ

KS. R. P. FELIX'A T. J.

SPOLSZCZONE PRZEZ M. SZ.



KRAKÓW.

NAKŁADEM WYDAWNICTWA TOW. JEZUSOWEGO.

1913.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0173066



J. Pawelski T. J.

L. 2225/9.

POZWALAMY DRUKOWAĆ

z Książęco-Biskupiego Konsystorza.

Kraków, dnia 15 października 1913.



† *Adam Stefan.*



286524

ODBITO W DRUKARNI „CZASU”, KRAKÓW 1913.

W/198/05p

CZEŚĆ PIERWSZA.

POSTĘP
PRZEZ RODZINĘ CHRZEŚCJAŃSKĄ.



PIERWSZA KONFERENCYA.

Postęp społeczeństwa przez rodzinę.

Jezus Chrystus, Odnawiciel świata i twórca jego prawdziwego postępu, nie zadowolnił się stworzeniem postępu moralnego przez boskie oddziaływanie na namiętności, powód wszelkiego upadku, lecz wyposażył jeszcze ludzkość w wielkie pierwiastki postępu społecznego. Przybytek ich wzniosł na trzech niewzruszalnych kolumnach: wolności, równości i braterstwie chrześcijańskim, a dla utrzymania całości, nadania potęgi i piękności, dał za podstawę władzę. Chrystus ustanowił w łonie ludzkości żywego tejsze władzy przedstawiciela, a dając jej swego ducha, uczynił ją na swoje podobieństwo. Dał światu chrześcijańskiemu cztery ludzkie typy swej boskiej władzy, a one przekształciły życie społeczne, przekształcając we wszystkich przejawach stosunek rozkazu i posłuszeństwa. Te typy są: władzy ojcowskiej, władzy kapłańskiej, władzy królewskiej i dopełnienie tych wszystkich, władzy papieskiej.

Chodziło tu tylko o zaznaczenie w paru słowach faktu, że Chrystus jest twórcą postępu i władzy, teraz przejdziemy do poznania instytucji, będącej niezbędną podstawą i naturalnem oparciem wszelkiego postępu społecznego.

Ta instytucja, to arcydzieło mistrza, bo dzieło Boga samego; to fundament, bo na niem życie społeczeństwa się opiera — to święta, nieśmiertelna instytucja rodziny. Wyżej społeczności rodzinnej jest społeczeństwo — wyżej rodziny jest ojczyzna — a jedno z drugim tak ściśle związane, że upadki i postępy jednych są bezwarunkowo odczute przez drugie. W nieumiarkowanych walkach politycznych, w teoryach i utopiach społecznych, zaniedbujemy rodzinę; zapominamy, że postęp społeczeństwa nie jest dziełem geniusza, ani budynkiem ręki ludzkiej, ale drzewem żyjącem, którego korzenie tam, gdzie ongi była nasza kolebka, i które czerpie sobie u źródła, gdzie się poczęło życie nasze — w sercu ojca i matki. »Rodzina — mówi pewien znany publicysta — jest drugą duszą ludzkości. Pracodawcy zanadto o niej zapomnieli; myślą tylko o jednostkach lub narodach, a omijają rodzinę, jedyne źródło ludzkości silnej i czystej, przybytek tradycji i obyczajów, w którym harują się cnoty społeczne«.

Oto dlatego pragnę wyказать stosunek rodziny do społeczeństwa, chcę wskazać te silne węzły, które je łączą, dowodząc, że społeczeństwo ma w rodzinie: swój pierwiastek, swój wzór i swą siłę.

I.

Wpływ rodziny na społeczeństwo przede wszystkim w tem się objawia, że pierwsza stwarza drugie. Społeczeństwo domowe jest w najściślejszym znaczeniu społeczeństwem podstawowem; ono jest zarazem powstawaniem, założeniem, tradycją życia społecznego i z tego potrójnego tytułu prawdziwą i zawsze płodną matką samej ojczyzny.

Geografowie poszukują gorliwie źródeł, z których wypływają rzeki i ich dopływy, użyźniające ziemię; o wiele większej doniosłości są badania źródeł, z których wypływa rzeka ludzkich pokoleń w biegu swym niosąca; szczęście narodów, cywilizację wieków, porządek i postęp społeczny. Jakież więc jest źródło życia społecznego — w jaki sposób ono powstaje? Są dwa zagadnienia, nie mogące być tajne nikomu: miejsce, gdzie to źródło wytryska i fakt, że nieustannie wytryska.

Rzeka życia społecznego wypływa z ogniska domowego; rodzina, to żywe źródło ojczyzny, źródło zawsze otwarte i nigdy niewyczerpane, samo nieustannie napełniające się przewodami ręką Boga tak dobrze wyłobionymi, że sama ich głębokość dostatecznie zabezpiecza je i chroni. Otóż chciejcie zauważyć, że wody, które rzeka toczy w swem łóżysku, nie dadzą się odróżnić od wód, które wypłynęły z jej źródła. Wiem, że te fale tak czyste przy poczęciu, mogą się zmącić w biegu i przetworzyć częściowo, gdy się zleją z falą wielkich rzek, ale z reguły wody

rzeki nie są czystsze, niż wody ich dopływów, ani wody dopływów czystsze od źródła. Tak i życie czerpane i zaczęte w rodzinie może się zmącić i aż nadto się mąci w tym potoku wieku, niosącym tyle nieczystości, ale nigdy nie jest czystsze i piękniejsze w społeczeństwie, niż w jego źródle — rodzinie. Wyobraźcie sobie społeczeństwo, złożone w znacznej większości z rodzin o spaczonych pojęciach, zepsutem sercu i niezdrowej krwi; jakaby nie była głębia waszych praw, geniusz waszych wynalazków i mądrość waszych instytucji, macie mimo to społeczeństwo nędzne, pochopne do służalstwa, chore moralnie. Mnożycie zepsucie przez zepsucie, występki przez występki, istoty, wychodzące z rodziny już zepsute, stają się często występniemi, wchodząc do społeczeństwa; macie zatem społeczeństwo w upadku, macie ludzkość barbarzyńską.

Przeciwnie, wyobraźcie sobie w społeczeństwie większość rodzin jako źródła żywe, niosące ciągle społeczeństwu wraz z rodzinami, które wydają naukę bez błędów, obyczaje bez skazy, zdrową krew; części zdrowe nie utworzą całości zepsutej; wynik ogólny to będzie ludzkość:

wielka i silna inteligencją,
wielka i silna sercem,
wielka i silna krwią,

wielka i silna intelektualnie, moralnie i fizycznie. Jeżeli jeszcze przypuścimy, że wspólny węzeł łączy tę mnogość rodzin w jedność społeczną, że do kierowania całości znajdują się prawa przeciętnej tylko doskonałości, to twierdzę, że wtedy, abstrahując już udoskonalenia poczynione na polu

nauki, polityki, przemysłu, macie społeczeństwo wzrastające i postępujące w najlepszym znaczeniu tego słowa.

Rzeka życia społecznego spokojnie się toczy, zabierając po drodze czyste wody dopływów, a gdy w biegu swym fala porwie coś, co ją skala i zmąci, otrząśnie i oczyści się z brudu w niezmaconem przeźroczu, bijącym od źródła. Tak tedy w tym obrazie przejawia się ta podstawowa, a niestety zbyt zapomniana prawda, na której spoczywa przyszłość ludzkości, że rodzina jest dla społeczeństwa tem, czem źródła są dla rzek, że w społeczeństwie życie odnajdujemy takiem, jakie dało mu jego źródło — rodzina.

Rodzina w rzeczywistości jest czemś więcej, niż mnożeniem się życia ludzkiego; ona jest jego tworzeniem. Życie ludzkie, jak każda rzecz stworzona, czerpie możność swego rozwoju w pierwiastku, który powołał ją do życia. Rodzina tworzy życie, rodzina je rozwija, daje życie i daje wykształcenie; dając istnienie, daje jego udoskonalenie. Daremnie szukalibyśmy tworzenia i rozwoju życia poza rodziną; w prawach natury jest jedna tylko opatrnościowa mistrzyni życia — rodzina. Ona jest społecznością, stworzoną do wychowywania, ona jedyna ma moc do tego wzniosłego obowiązku, bo ona jedyna ma prawo. Z tego punktu zapatrywania prawdziwie zbawienne i rzeczywiście postępowe są te tylko instytucje społeczne, które najbardziej strzegą praw rodziny i najmniej uszczuplają na rzecz państwa wrodzone siły, dane jej przez Opatrzność, by wolno lecz pewnie przygotowywała postęp życia społecznego. Rodzina bowiem uzbrojona prawem

i władzą wychowania jest dziełem Bożem, a instytucje ludzkie nigdy lepiej nie działają, jak gdy popierają dzieło Boże. W zamiarach Boga państwo nie jest nauczycielem życia, ono jest jego obroną; rodzina jest społecznością, stworzoną dla wychowywania pokoleń, państwo zaś społeczeństwem zorganizowanym dla opieki rodziny; państwo osłania siłą, to co rodzina stworzyła miłością. To jest punkt styczny, gdzie te dwa społeczeństwa spotykają się i łączą wzajemnie, by wspólnie się wspierając, przyspieszyć wspólny postęp. Ojczyzna swą tarczą broni spokoju i wolności rodzin, rodzina pod swym dachem urabia pokolenia na chwałę i obronę ojczyzny. To zadanie państwa jest piękne i wzniosłe, przyznajmy, lecz zarazem stwierdźmy, że najświetniejsze podboje nie dorównują dla postępu świata korzyściom, jakie przynosi cicha i spokojna straż ogniska domowego dla dobra ojczyzny.

Przewrotowe prądy społeczne nie w ten sposób pojmują przeznaczenie i wzajemne uzupełnianie się rodziny i państwa. Jako do najwyższego tryumfu dążą do zagarnięcia rodziny przez państwo, według nich do państwa wyłącznie należy prawo wychowywania. Dla nich państwo to Bóg, bijąc czołem przed tem bóstwem, poświęcają mu wraz ze wszystkimi waszemi prawami: myśl, duszę i serce waszych dzieci; mają śmiałość żądać ofiary całopalenia z waszego prawa wychowywania młodego pokolenia i pod pozorem sławy ojczyzny poniżają rodzinę. Miejmy jednak nadzieję, że te zgubne dążenia nie odniosą zwycięstwa, że nie zdołają

wydrzeć rodzinie najświętszych jej praw. Sam rozum woła, że wam jedynie przysługuje prawo wychowanie i urabiania, na wasz obraz i podobieństwo, życia przez was poczętego; wychowanie tworzy ludzkość, wychowuje rodzina, a wtedy, kiedy sama nie może w zupełności wypełnić tego zadania, jej jedynie przysługuje niezaprzeczalne prawo wyboru pomocy.

Natura, rozum, historia głoszą zgodnie z nauką chrześcijańską, że pod tym warunkiem jedynie świat może postępować. Nie zaprzeczamy bynajmniej względnego wpływu społeczeństwa na ukształtowanie życia i udoskonalenie ludzkości, lecz w drodze postępu, to czynnik drugorzędny. Tajemnicy postępu nie znajdziesz na forum, w zgietku i walkach publicznych; niema jej w rękach królów, ani w rękach prawodawców lub zdobywców. Gdzież więc jest przede wszystkim?... Ojcowie i matki słuchajcie! i niech dusze wasze odpowiedzą serdecznym odgłosem na słowa, które podnoszą wasze posłannictwo w ludzkości. Najwyższa tajemnica postępu leży w ciszy ogniska domowego — leży w waszych duszach, w waszych sercach, na ustach waszych — leży w waszej wierze, waszej miłości i waszem słowie — leży w waszej władzy i waszem poświęceniu; jednym słowem leży w harmonijnem współzawodnictwie tej potężnej królewskości i szczytnego powołania, które Opatrzność wam dała dla udoskonalenia społeczeństwa przez podniesienie rodziny.

Rodzina jest nie tylko tworzeniem i mnożeniem życia, jest również jego tradycją i to z tego głównie względu jest instytucją podstawową

społeczeństwa, źródłem postępu społecznego. Tradycja i postęp, to nie są dwa pojęcia sprzeczne. Postęp, to ani »status quo«, ani nieruchomość; nie polega on również na zmianach i nowościach; nie każda nowość jest postępem, nie każda zmiana jest udoskonaleniem. Postęp żyje przede wszystkim z treści dawniej zaczerpniętej, postęp, to wieczna młodość tego, co nie może zestarzeć, to nieustanne kwitnienie tego, co nie umiera, a jeżeli chcecie, bym mówił waszym językiem, ludzie przemysłu, bogactw, spekulacji, to powiem: postęp, to kapitał wartości ludzkiej i wartości społecznej, nagromadzony przez czas; to wieki wzbogacone przez wieki i społeczeństwa, dziedziczące po społeczeństwach. Tradycja więc jest istotą postępu; ona tworzy te wielkie rasy, które przodują ludzkości, ona utrzymuje te instytucje, które przekazują swą wielkość i uwieczniają swą sławę. Co stałoby się z nami, gdybyśmy w terażniejszości nie przechowali ojcowizny naszej przeszłości? gdyby to, co przeszłość nabyła, terażniejszość zawsze odtrącała? Co stałoby się z postępem samym, gdyby ciągle, zaczynając pracę na nowo, rozbił ogniwa łańcucha własnych tradycji? Nie byłby już rozwojem i ciągłością życia, lecz nieustannem rozrywaniem, rozkawałkowaniem, zabijaniem i przechodziłby, niszcząc na każdym kroku własne swe plody — gorzej, niszczyłby sam siebie, a ludzkość bez tej ciągłości straciłaby z pojęciem postępu znaczenie swe i wielkość; bo to, co przede wszystkim daje nam znaczenie i wielkość, to tradycja, poza nią znaleźć można tylko wielkości, odosobnione, egoistyczne, toaczy

prawie zawsze marka wielkości, osobistości pełne pychy, podobne do tych agitatorów starożytnego plebsu, którzy dla wyraźniejszego zaznaczenia, że nic po nikim nie dziedzicząc, wszystko, co mają, sami zdobyli, chwalili się, że nie mieli przodków. Wielkość to śmieszna i tak wyraźnie nieuzasadniona, że człowiek, który z najwyższą dumą te zdania wygłasza, sam pragnie zostawić swym dzieciom dziedzictwo imienia, bogactwa lub sławy, którego on, jak to z chlubą zaznacza, zupełnie nie otrzymał. To dowód, jak silnie odczuwamy, że tradycja, to ważny czynnik postępu, bo tylko ona daje terażniejszości wielkość przeszłości, a wielkość terażniejszości przekazuje przyszłości.

Zatem, jeżeli chcemy dać społeczeństwu pełność życia, a życiu pęd do prawdziwego postępu (przyjmując przemiany, które niezbędnie czas przynosi) trzeba zachować w dziedzinie myśli, obyczajów i instytucji przewodnictwo tradycji. Otóż to, co najbardziej w społeczeństwie otacza opieką tradycję, to religia i rodzina. Tradycja łączy się z samem pojęciem rodziny, gdyż rodzina jest tradycją. Życie, wychodzące z ogniska domowego, a przechodzące w społeczeństwo, nie jest falą odosobnioną, która mija i ginie; to fala ciągła, nieprzerwana, przelewająca się przez wieki.

Życie istotnie opiera się na tradycji; związane jest z przeszłością, która je poprzedziła, z przyszłością, która za niem bieży i z terażniejszością, z którą się styka. Takie też i stanowisko człowieka w rodzinie: stojąc między

swymi przodkami, a swymi potomkami jest tylko ogniwem w łańcuchu trwania.

Pod każdym dachem, gdzie Opatrzność strzeże tej świętej społeczności, zwanej rodziną, od radzają się nieustannie trojaki tradycje i stanowią w środowisku, w którym się rozwijają w prądach życia społecznego: tradycja nauki zasilająca życie intelektualne, tradycja obyczajów zasilająca życie moralne i tradycja krwi zasilająca życie fizyczne. Każda bezwzględnie rodzina jest tą potrójną tradycją:

prawdziwej lub błędnej nauki,
dobrych lub złych obyczajów,
zdrowej lub zepsutej krwi,

i każda rodzina bez wyjątku tradycje te jako dziedzictwo przekazuje swemu potomstwu. To najważniejsza, najdrogocenniejsza ojcowizna, którą synowie unoszą z sobą na otwarte drogi życia, a wartość całego życia intelektualnego, moralnego i fizycznego w społeczeństwie zależy od wartości tego dziedzictwa.

II.

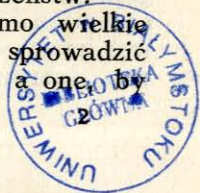
Poznaliśmy już w jaki sposób rodzina wpływa na społeczeństwo, że jest życiem tworzącym się przez rozmnażanie, rozwijającym przez wychowanie, przekazującym przez tradycję i dlatego nazwaliśmy rodzinę społeczeństwem podstawowym. Lecz ona jest czymś jeszcze ważniejszym: jest najdoskonalszym przykładem, społecznością — wzorem i dlatego każde społeczeństwo dobrze zorganizowane musi być na jej modłę ukształtowane. Wiem, iż niełatwo jest

przenieść w olbrzymie ramy społeczeństwa ideał rodziny z jej braterstwem, pięknoscią, słodyczą i wdziękiem, jak tego pragnęli niegdyś filozofimarzycciele. Rodzina i społeczeństwo to dwa pojęcia, nie mogące zlać się w jedno, ale społeczeństwo musi dążyć do możliwie największego upodobnienia do tego wzoru, który dlań stanowi rodzina. Ktoby śledził równoległy rozwój rodziny i społeczeństwa, łatwo dojrzałby w świetle faktów, że zawsze i wszędzie obie te społeczności przechodziły mniej więcej te same koleje, doznawały takich samych ciosów; stwierdziłby więc niezbicie, że to, co umacniało lub chwiało rodzinę, w mniejszym lub większym stopniu umacniało lub chwiało społeczeństwo.

Paralela w ten sposób przeprowadzona udowodniłaby historycznie prawdę, którą chcę tu wysnuć przedstawiając, że urządzenie rodziny jest najdoskonalszym wzorem urządzenia społecznego: urządzenie to jest proste, jak wszystko, co prawdziwie wielkie. Rodzinę stanowią trzy składniki harmonijnie z sobą połączone: ojciec, matka i dziecko, czyli rodzina wzięta jako społeczność, składa się: z władcy, wykonawcy i poddanego. Otoż mamy trzy typy: władzy, urzędu, posłuszeństwa, tworzące dla każdego społeczeństwa wzór: niezaprzeczalnej władzy, gorliwej pomocy i posłuszeństwa z miłości. Rodzina tak zorganizowana, to najwspanialsze streszczenie prawa społecznego, to niższa szkoła wielkiej polityki, to arcydzieło rządów i społeczeństw.

Każdy organizm społeczny, mimo wielkie skomplikowanie, powinien się dać sprowadzić do tych trzech zasadniczych typów, a one, by

Postęp przez Chrześcijaństwo.



zgodnie i skutecznie działać, muszą zachować charakter, nadany im w urządzeniu rodziny.

Aby społeczeństwo było doskonałe, a przynajmniej postępowe, władza musi być niezaprzeczalna. Zaznaczam, iż pod tym wyrazem nie rozumiem bynajmniej, by zarządzeń władzy nie wolno było poddawać krytyce; co innego jest rządy, a co innego władza. Między istotą władzy, a jej wykonywaniem jest głęboka różnica, i nietykalność pierwszej niekoniecznie pociąga za sobą nietykalność drugiej. Dla rozumiejących metafizyczne znaczenie władzy, zbyt jest uwaga, że tu idzie o istotę moralną, o duszę, nie o ciało tej siły, której własności tu określamy.

Władza, to nie siła materialna, lecz moralna, mająca punkt oparcia w umyśle; nawet rozbrojona panuje w królestwie prawa.

Otóż pierwszym warunkiem istnienia i wykonywania władzy tak pojętej, to wykluczenie możliwości rozstrząsania prawowitości tejże władzy przez poddanych. Rozstrząsanie istoty władzy to miecz, który ją zabija; władza albo jest niezaprzeczalna, albo nie istnieje wcale; przestaje istnieć dla tego, kto o niej powątpiewa. Z chwilą, gdy wymierzam władzy cios negacyi, który ma ją unieważnić, lub podaję jej prawo w wątpliwość, unicestwiam sam przed sobą całą jej istotę moralną. Siła jej materialna może się jeszcze dać odczuć, może nawet być czas jakiś groźna, lecz siła moralna jest śmiertelnie zraniona; może być jeszcze siłą, która mnie gnie, nawet łamię — lecz już nie jest siłą, przed którą sam, dobrowolnie schylam czoło. Prawie wszyscy

ludzie mają poczucie tej prawdy zachowawczej, lecz ci, którzy sami stoją u steru rządów, jeszcze głębiej ją odczuwają i tem goręcej bronią, widząc, że dla władzy podanie jej w wątpliwość to śmierć; ginie, lecz najczęściej nie sama.

Wszelkie rodzaje władzy, ustanowione przez Boga celem kierowania ludźmi, stykają się i łączą. Losy ich mają uderzające podobieństwa, ponieważ kryją w swej głębi tajemnicze pokrewieństwa i spójnie. Podobne są wielkim drzewom leśnym, rosnącym na tym samym gruncie, a których korzenie spotykają się i splatają w podziemiach. W porządku moralnym istnieją również takie głębie, gdzie korzenie wszystkich rodzajów władz krzyżują się i splatają tajemniczo, by wspólnie się wspierać w chwilach spokoju i wspólnie odczuwać wstrząśnienia, gdy które z nich zachwieje się w swych posadach. Siła oparcia lub wstrząśnienia jest w prostym stosunku do władz, które się utrwała lub osłabia. Jeżeli władza, podana w wątpliwość, byłaby centrum, punktem oparcia innych władz, wtedy całe społeczeństwo mogłoby być narażone na poważne zachwianie, upadek. I oto, nawiasem mówiąc, jedno z większych niebezpieczeństw naszych czasów: władza przestaje być niezaprzeczalna; pojęcia przewrotowe kwestyonują ją we wszystkich formach i wszystkich sferach, kwestyonują władze szanowane przez ludzi i utwierdzone przez wieki; a gdy ten duch-niszczyciel poda w wątpliwość każdy rodzaj władzy, i nie cofnie się nawet wobec władzy Boga, wtedy społeczeństwo, oderwane od swej podstawy, pochyli się ku przepaści.

Czyż między różnorodnymi formami władzy nie znajdziemy typu, któryby był ogólnie przyjęty, jako nie dający się zakwestyonować? Owszem, jest władza instynktem narodów postawiona na tej wysokości, ta władza znajduje się w rodzinie — to ojcostwo, ono jedno zostało dotychczas najbardziej nienaruszone. I nad tą władzą przeszła burza rewolucyi, starając się zmniejszyć jej prawa i powagę, ale nie śmiejąc kwestyonować jej samej; gdyby jej dosięgła, bezład opanowałby rodzinę, a społeczeństwo nie ostałoby się. Lecz Opatrzność otacza opieką tę władzę i ludzkość wierna jej nie odstąpi, na straży stoją najszlachetniejsze i najgłębiej wrodzone uczucia ludzkie; ojcostwo zatem, łączące w sobie prawo i władzę, pozostanie na zawsze typem władzy stanowiącej siłę i wielkość społeczeństwa.

Drugim pierwiastkiem społeczeństwa zgodnie działającego, to posłuszeństwo z miłości. Łatwe porozumienie i zgoda między władzą a poddanymi polega na pewnej tajemnicy — ta tajemnica to nie strach zebrzący łaski u tyrana, to nie służalczość w niewoli, to nie podłość płaszcząca się przed siłą — ta tajemnica to miłość; kochając rozkazującego, kocha i rozkaz. Być kochanym — oto najwyższa sztuka rządzenia; szczęście ludów, trwałość społeczeństwa polega na władzy wzbudzającej miłość, a nie bojaźń. Na co się zdadzą stanowcze rozkazy, berło lęk siejące, gdy serca przeciw nim są uzbrojone, a posłuszeństwo wynika z trwogi. Uległość trwała i pewna, to nie siła, którą się przemocą nagina, lecz siła, która sama ugiąć się daje. Poddani nie

są martwemi częściami maszyny społecznej, to istoty wolne, w żywym związku.

Ta tajemnica miłości, napozór tak łatwa do okrycia uchodzi często oczom rządzących; a połączenie serdecznego oddania z jednej, a władzy i siły z drugiej strony, sprawia dużo trudności w urzeczywistnieniu. Oto słaba strona tych, co mogą wszystko — tak wszystko — prócz nakazania miłości; to największe upokorzenie władców, że w zdobywaniu serc czują większą bezsilność, niż reszta ludzi. Trudność nakazania miłości zmniejsza urok nakazywania posłuszeństwa, zaciemnia często horyzont najmożliwszych. Mimo to, wszystkimi siłami trzeba dążyć do otrzymania miłości z uległością, kazać się kochać, każąc słuchać. Przywiązania nic tu nie może zastąpić, a główna straż honoru i bezpieczeństwa dla władzy, to królewska zaiste straż miłości i posłuszeństwa. Tę straż przeznaczył Bóg dla rodziny. W rękach ojca leży honor rodziny i władza; dziecko, zepsuciem jeszcze nie dotknięte, posiada w sercu swem wrodzoną miłość tej władzy, która nakazuje posłuszeństwo, nawet nie wydając rozkazów — kocha i słucha, a posłuszeństwo staje się cnotą, przynoszącą zaszczyt rodzinie.

Dla uzupełnienia tego ideału rodziny i społeczeństwa niezbędnym jest jeszcze jeden czynnik — gorliwa, z poświęceniem połączona pomoc.

Tworząc w rodzinie skończony, wzorowy typ życia społecznego, postawił Bóg między władzą a posłuszeństwem cichą, a potężną pośredniczkę — poświęcenie; między ojcem a dzieckiem postawił matkę — matkę, która równie gorącym

uczuciem otacza ich oboje; władcy dopomaga w rządzeniu, poddanemu pracę ułatwia. Władza, by skutecznie działać na poddanego, bierze za pośredniczkę miłość i poświęcenie. By wszystkie koła życia społecznego obracały się z siłą i spokojem równocześnie, żeby władza nie przygniatała poddanego, a poddany nie usuwał się niechętnie, trzeba pomocy poświęcenia, trzeba, by na wzór matki w rodzinie, był pośrednik, żywiący dla jednej i drugiej strony szczerze uczucie.

Mniej więcej w roku 1848 w tych dniach zapалу i burzliwości, gdy każda myśl zła czy dobra miała prawo być przedstawioną przed forum, publicznie, wypowiedziano zdanie, którego wielka prawda i doniosłość uderzyła mój umysł i serce: »Jeżeli nie chcecie widzieć w społeczeństwie rewolucyi bez końca — przeciwstawcie poświęcenie bez granic«. Trudno lepiej powiedzieć. Czem przedewszystkiem powinien odznaczać się człowiek, będący niejako pomostem między władcą a poddanymi? nie tyle geniuszem, co oddaniem i poświęceniem — bo tylko dążność do zgody między władzą a poddanymi może nadać społeczeństwu szczęście i piękność jej wzoru — rodziny.

O ile społeczeństwa tem doskonalsze, im lepiej potrafią ten ideał odtworzyć, o tyle też rodzina, im więcej udoskonala w swem łonie te trzy czynniki życia rodzinnego, tem lepiej przygotowuje pokolenia i społeczeństwa postępowe. Taka rodzina, to nowicyat społeczeństwa, to nauka życia wzrastającego w zaciszu domowym, by się rozwinać w ojczyźnie, zachowując charakter

swej kolebki, pieczęć pochodzenia, odbłask wpojonych ideałów. Życie rodzinne, jeżeli szło drogami, którym przyswierał ten wzór wiekuisty, nadaje dzieciom, wychodzącym z pod jej strzechy, a stającym w szeregach synów ojczyzny, stygmat, który ich odznacza i blask, który ich opromienia — stygmat poszanowania, posłuszeństwa i miłości. Nic łatwiejszego, jak pokierować ludźmi, którzy uważają za naturalne spełnianie w społeczeństwie tego, co zawsze spełniali w społeczności domowej: kochać, słuchać i szanować. Tacy ludzie będą więcej, niż sława i zaszczytem rodziny, będą jej siłą i obroną.

III.

Wykazaliśmy już, że społeczeństwo ma w rodzinie swój pierwiastek i swój wzór; dodajmy, że z niej czerpie swą siłę i oparcie. Jeżeli prawdą jest, że ojczyzna broni i strzeże rodziny; miłość rodziny taka, jaką Bóg wlał w serca nasze, jest niezwalczoną siłą społeczeństwa wewnątrz, lub zewnątrz swych granic zagrożonego.

Pierwszym, niezbędnym warunkiem, by człowiek był siłą i obroną ojczyzny jest, by z nią był ściśle związany. Jeżeli między mną a ojczyzną niema węzła żywotnego, jeżeli mię coś z mej najgłębszej jaźni z nią nie łączy — nigdy nie będą rzeczywistą ojczyzny siłą i podporą. Jednem słowem: prawdziwą siłę i obronę społeczeństwa stanowi głęboka miłość ojczyzny.

Jakiż to węzeł tak silnie wiążący człowieka z tą ojczyzną, której sama nazwa tyle czaru i słodyczy w sobie zawiera? Jak rodzi się i roz-

wija w duszy z miłością ojczyzny prawdziwy patriotyzm?

Ojczyzna! to słowo tyle mocy, tyle uroku zawiera dla każdego serca, że gdy zadzwieczy, to gdzieś w głębiach i tajnikach duszy budzą się tajemnicze odgłosy i powtarzają ze czcią: ojczyzna.

Skąd urok ten niezrównany, co my właściwie kochamy w rzeczywistości, którą ten wyraz określa? Czy to woda kryniczna, bieg rzeki, łąk zieloność, czy zboża pól naszych, ziemia, na której pierwsze kroki stawialiśmy, błękit, na który skierowaliśmy pierwsze wejrzenie? Bez wątpienia, miejsce naszego urodzenia posiada dla każdego z nas urok niezaprzeczalny: urok dolin, równin i gór — urok fal, kwiatów i ptasząt — urok słońca, światła i cieni; to wszystko łączy się i spleta w wieniec złudy i rzeczywistości, tworzy miłość ojczyzny. Ale na dnie tego wszystkiego jest rzeczywistość powabniejsza nad wszelkie złudy — to rodzina.

Ojcostwo tak głęboko wkorzenione w pojęcie ojczyzny, że dało jej nazwę »ziemia ojczysta«. Cóż to oznacza, jeżeli nie ziemię przodków, ziemię ojców? Czyż nie widoczne, że urok, który ojczyzna roztacza, to odblask wrażenia w latach dziecięcych odniesionego, a tak bardzo głębokiego — że szczęściem jest napotkać ślady jego. Jeżeli powiew z pól i lasów ojczyzny odmładza serce moje — to dlatego, że tam ono, jak kwiat w pierwszej wiosnie, odczuło najczystsze jej tchnienie. Jeżeli najskromniejsza ojcowizna za wszechświat nie stanie, to dlatego, że na każdym kroku odnajduję ojca mego. Jeżeli kraj

ojczysty tem piękniejszym mi się wydaje, im bardziej czas odeń mnie oddala — jeżeli serce moje powraca zawsze z uczuciem rozłąką pogłębionem — to dlatego, że na łonie matki zaznałem pieczęci i uśmiechów, których dziś już nie spotykam.

We wszystkich przez ojczyznę z dali przesłanych obrazach, we wspomnieniach, które w duszy chowam, tkwi zawsze cząstka ojca i matki; słyszę szept mej duszy, że miłość, która zwraca mnie w te strony, to miłość rodziny, ale miłość rozszerzająca się na wszystko, co się z nią wiąże — miłość rodziny podniesiona do miłości ojczyzny.

To objawienie serca oświeca mój umysł; czuję i rozumiem, że miłość ojczyzny, to powrotna fala miłości rodziny; kocham ojczyznę uczuciem, którem kochałem ojca, ta druga miłość, to rozkwit pierwszej.

Dlatego pytam zdumiony, gdzie serce i rozum tych, którzy pod pozorem, że serce zamyka się w zbyt ścieśnionem kole, śmieli twierdzić, że kult rodziny uszczupla kult ojczyzny. Czyż kwiat mniej wonny jest dlatego, że złączony z tą piędią ziemi, z której czerpie życie swe i kraś? Czyż miłość ojczyzny, aby być prawdziwie silną, nie potrzebuje w jakimś zakątku tej ziemi zapuścić głęboko korzeni? Czyż Bóg, łączący w swych dziełach słodycz i siłę, nie mógł wlać we wszystkie uczucia serc naszych harmonię pełną słodyczy i siły.

Nie, w miłości ojczyzny i rodziny niema przeciwieństwa. Dobrze pojęta miłość siebie rozwija miłość rodziny — miłość rodziny w mi-

łość ojczyzny — miłość ojczyzny zaś w miłość ludzkości; oto łańcuch wspaniały, z łona Boga schodzący do stworzeń, by utrzymać je w równości i jedności; łańcuch boski, umacniający każdą szlachetną miłość i łączący je wszystkie ze wspólnem ich środowiskiem.

Łudzili się ci, którzy chcieli widzieć miłość ojczyzny, czerpiącą soki żywotne na ruinach rodziny; na zgłiszczach świętości i prawa zakorzenie się może tylko barbarzyństwo. Gdyby się unicestwiło rodzinę, gdyby miłość jej zamarała w ludzkich sercach, na grobie jej wzrósłby jakiś dziki patryotyzm; przepojony widokiem ruin, przeszedłby przez ludzkość jak geniusz - niszczyciel, pustosząc wszystko w swym pochodzie i siejąc tylko zgubę. Miłość ojczyzny bowiem, która w serce człowieka nie wpłynęłaby ze źródła rodziny, byłaby miłością spaczoną — to zbyt porywcza, to fanatyczną, najczęściej nie znającą litości. Widzieliśmy już u innych narodów, jak wygląda ta ojczyzna wznoszona na gruzach rodziny, własności i religii; ponure bóstwo, mające zamiast kapłana i ołtarza — kata i rusztowanie; zamiast czci i poświęcenia — terror i rzeź; to ojczyzna, jaką poniżenie rodziny nam przygotowuje. I pomyśleć, iż cześć oddawaną temu waszemu bóstwu przez ofiarę tysięcy istnień ludzkich, śmiano nazywać patryotyzmem! Precz z takim patryotyzmem, który przestaje być chwałą i siłą, a staje się hańbą i klęską społeczeństwa. Chcecie mieć miłość ojczyzny szczerą, zdolną osłonić i wstawić wasz kraj? niech wytryska z tego podwójnego, a przecież w jedno złączonego źródła: z serca ojca i matki; niech tam się rozwija, tam

wzrasta i potężnuje na chlubę ojczyzny, którą będzie umiało kochać przywiązaniem synowskiem.

Niech pojęcie ojczyzny łączy się z obrazem jego kolebki, bo rodzina, to ojczyzna wspomnień i nadziei, ojczyzna serca i ukochań jego — to sam kraj rodzinny, zogniskowany w tem małym kółku, które człowieka wiąże z ojczyzną, miłością dozgonną. Wiaże tak silnie, że z nią przeżywa radości jej i smutki, chwałę i upokorzenia, że on i jego bliscy są z swem bogactwem, siłą i odwagą na usługi i obronę kraju, współdziałać gotowi czy to w czasie zaburzeń, czy w czasie spokoju. Węzłów tych nic już nie rozerwie, ani prześladowanie, ani wygnanie; one dają ojczyźnie tych bohaterów, dla których słowa »umrzeć za ojczyznę« nie są okrzykiem rzucanym, jako gra dźwięków, lecz okrzykiem wiernych synów ojczyzny, rzeczywiście gotowych krew swą dla tej matki przelać, gdyż nauczyli się i kochać i bronić choćby z utratą życia dwie świętości: ogniska swe i ołtarze. Bo cóż oznacza to hasło »umrzeć za ojczyznę«?

Duch i język narodów zgodnie je tłómaczy: »pro aris et focis« za ołtarze i ogniska, a gdy do tego dodamy kolebki, gdzie szczebiocą usta dziecięce i groby, gdzie snem wiecznym śpią prochy ojców — oto wszystko, co wiążąc człowieka z rodziną, wiąże go ze społeczeństwem.

Usunięcie z ojczyzny ogniska rodzinne, ołtarze, kolebki i groby, co w niej dla nas zostanie do kochania i obrony? nic... Pryśł czar ojczyzny, prysła jej potęga — została zimna abstrakcja,

niezdolna stworzyć przywiązania i wskrzesić obrońców.

Biada tedy społeczeństwu, w których łonie mnożą się ludzie, nie mający do strzeżenia i czczenia tych świętości; jeżeli, już wydziejone, nie ustrzegły przynajmniej ołtarzy, przed którymi kornie chylą głowy — po dwakroć im biada! W dniu wielkich przesileń nie znajdą obrońców — synowie ich służalcy egoizmu, buntem owładnięci staną po stronie burzy szalejącej; nie znajdą obrońców, którym zasady, czerpane niegdyś w sercu ojca, każą bronić ziemi, będącej ich kolebką; klęski pouczą, co znaczy nie mieć w rodzinie źródła miłości ojczyzny, a w domowym ognisku nie mieć przedmurza ojczyzny.

Człowiek, nie mający ogniska domowego, nie tylko nie jest obroną kraju, lecz często może się stać niebezpiecznym dla ojczyzny; nic go nie łączy ani z jej przeszłością przez rodziców, ani z jej przyszłością przez dzieci — dla niego istnieje tylko teraźniejszość, a ta nieraz przytłacza go swym ciężarem. Tłumy go otaczają, ale w tym mrowisku ludzi obcych, obojętnych, tem wyraźniej odczuwa, jak jest sam, zupełnie sam na świecie; przychodzi chwila cięższa i któż mu goręcej współczuje? Wtedy do serca łatwo wsącza się jad zawiści do społeczeństwa, obwinia je o swe osamotnienie, przypisuje mu nie-szczęścia, które go dotykają, a każda fala nie-powodzenia tę zawiść potęguje. A wtedy jego siły, jego zdolności zamiast służyć społeczeństwu, zagrażają mu; to już nie tarcza osłaniająca ojczyznę, lecz miecz przeciw niej zwrócony.

Przeciwnie, człowieka mającego ognisko domowe, tysiące węzłów łączy z ojczyzną: rodzice i dzieci, przeszłość i przyszłość, groby i ołtarze, a przede wszystkim ta rodzina, którą on sam założył. On wie, za co ma walczyć, czego ma bronić, bo to, co grozi społeczeństwu, grozi i temu, co on ukochał. Będzie więc bronił ojczyzny przed każdym niebezpieczeństwem jej zagrażającym: przed pochodem barbarzyństwa z zewnątrz kraju grożącemu cywilizacji, przed barbarzyństwem wewnątrz kraju zrodzonym w łonie cywilizacji, a pragnącym ją pochłonać. Kiedy w tej walce polegnie, szczęśliwy, że siebie dał jako ostatnią zaporę, którą mógł stawić, śmierć jego krwawemi głoskami ryje tę wielką prawdę: Rodzina źródło i wzór społeczeństwa, jest przede wszystkim jego siłą i obroną; przez miłość, wiążącą serca z ogniskiem rodzinnem, jest najsilniejszą twierdzą ojczyzny«.

Streszczając, cośmy w poprzednich rozdziałach powiedzieli: fundament niewzruszony, na którym opiera się gmach postępu — rodzina stanowiąca podstawę, wzór i siłę społeczeństwa.

Konsekwencya, którą każdy z tej prawdy wysnuć musi: stwarzać i wychowywać rodzinę, to stwarzać i wychowywać społeczeństwo — bronić rodziny, to bronić społeczeństwa, a udoskonalać rodzinę, to przygotowywać postęp ludzkości. Postęp, zrodzony w domowym zaciszu, rozkwitnie w społeczeństwie, by swymi blaskami opromienić świat.



DRUGA KONFERENCYA.

Postęp rodziny przez Jezusa Chrystusa.

Wykazaliśmy w poprzednim rozdziale wpływ rodziny na społeczeństwo i rozumiemy, czemu udoskonalenie i postęp życia rodzinnego uważać należy za główny warunek udoskonalenia i postępu życia społecznego. Będąc dziełem Słowa Przedwiecznego, w Jego imieniu zwalczamy prądy dążące do obniżenia znaczenia rodziny, lub co gorsze, do usunięcia jej. To pomysły szaleńców, chcących wznieść gmach, a usunąć fundamenta, szaleńców ścinających i wykoznających drzewo, a oczekujących jego owoców.

Rodzina, źródło udoskonalenia i postępu społecznego, Chrystus, Twórca zarówno rodziny jak i społeczeństwa, wywiera na pierwszą najgłębszy i najbardziej stanowczy wpływ. Ci, którzy dobrodziejstw chrześcijaństwa szukają jedynie w instytucjach publicznych, o charakterze wyłącznie społecznym, ci nie pojmują ducha cywilizacji chrześcijańskiej — tajemnica najskuteczniejszego jej działania dla ludzkości pozostaje im nieznaną. Lecz tym, którzy chcą i umieją

szukać Chrystusa, objawia się On zawsze i wszędzie, bo Chrystus jest punktem środkowym, sercem ducha chrześcijańskiego, a działalność jego uwytatnia się przede wszystkim w rodzinie — przez rodzinę chce przeistoczyć świat, w rodzinie ustanowił punkt ciężkości dla podniesienia społeczeństwa i wzniesienia go ku Sobie. Oto dla czego, wykazawszy, czym jest rodzina dla społeczeństwa, snując dalej nic myśli naszej, musimy wykazać, czym jest Chrystus dla rodziny. Udowodniliśmy już, że rodzina jest podstawą, wzorem i siłą społeczeństwa; teraz udowodnimy, że Chrystus jest podstawą, wzorem i siłą rodziny chrześcijańskiej.

I.

Może najodpowiedniejszem byłoby wykazać najprzód, w jakim stanie Chrystus zastał rodzinę, gdy przyszedł odnawiać i podnosić świat. Ujrawszy przepaść, do której pogaństwo strącało ludzkość, lepiej ocenilibyśmy wyżyny, na które Chrystus wznosił ją Boską swą mocą. Lecz przypuszczam, że to zbyt czyste; jeden rzut oka na dzieje ludzkości wystarcza, by odkryć całą głębię hańby, w jakiej pogaństwo pogrzyżyło rodzinę i do dziś dnia pograża tam, gdzie nie doszła jeszcze boska nauka Chrystusa, lub gdzie Chrystus nie podniósł jeszcze do swych wyżyn społeczność rodzinnej.

Wszędzie w stosunku do stopnia znikczemienia społeczeństwa, rodzina była: despotyzmem ojca, niewolnictwem matki, poniżeniem dziecka, a w ostatecznym wyniku spodleniem

całego społeczeństwa. Tam więc, w ognisku domowym, u samego źródła życia ludzkiego, trzeba było zacząć to przeistoczenie mające przygotować tyle innych.

Co uczynił Chrystus dla przeprowadzenia tych zmian tak rdzennych? Jakich środków użył dla skruszenia despotyzmu ojca, zniesienia niewolnictwa matki i poniżenia dziecka — całej hańby życia rodzinnego? Czy pospieszył z hałaśliwym rozgłosem reformatorów ludzkości obwieścić światu prawa dziecka, godność kobiety, ukrócenie tyranii ojcowskiej? Nie — Chrystus nie poszedł tą zwykłą ludzką drogą.

On jako Bóg działał na samą istotę rzeczy; uczynił dla rodziny to, co uczynił dla człowieka i dla społeczeństwa:

by podnieść człowieka, sam stał się człowiekiem,

by podnieść społeczeństwo, wszedł w społeczeństwo,

by podnieść rodziny, wszedł w rodzinę.

Rodzina jest podstawą żywotną społeczeństwa, Chrystus zatem stał się podstawą żywotną rodziny.

Oto pierwsza tajemnica działania chrześcijaństwa w łonie rodziny: Chrystus istniejący i uwieczniony w pokoleniach za pośrednictwem Kościoła. Ale jakież to Bożemi drogami i wpływami Kościół życie Chrystusa wprowadza do rodziny, urabia ją na Jego obraz, osłania jak puklerzem Jego potęgą? Te drogi, którymi życie Chrystusa płynie do rodziny, są nam dobrze znane — to Sakramenta; tajemnica ich wpływu leży w ich działaniu.

Sakramenta, to skuteczne znaki działania, ustanowione przez Chrystusa, aby Jego samego w ludzkości stworzyć i między Nim a ludzkością, w Niego wcieloną, żywotną łączność utrzymać. W nich przedewszystkiem trzeba szukać tajemnicy tej cudownej przemiany, zdziałanej przez Chrystusa w rodzinie.

Chrystusowi nie wystarczyło, by podstawą społeczności rodzinnej, istotą węzła rodzinnego była zwykła umowa i obopólna zgoda — ustanowił Sakrament, małżeństwo chrześcijańskie. I to małżeństwo ma nie tylko moc łączenia wobec społeczeństwa dwóch istot, pragnących tworzyć jedność jako rodzinę; przez udzielenie łaski sakramentalnej ma ono moc łączenia ich z Chrystusem. Połączenie istotne, przynoszące wsparcie i siłę odpowiednią do obowiązków, nałożonych na małżonków przez wspólną, do godności Sakramentu podniesioną umowę. Kościół też uroczystie święci tę chwilę, przyspasabiając przyszłych rodziców do rozwijania w swem potomstwie tego życia Chrystusowego, którego oni przez Sakrament małżeństwa stali się uczestnikami.

Życie łaski nie może być przekazane tą samą drogą, co życie fizyczne; narodziny tego wyższego życia osobno święcimy, a dla stworzenia go w dziecku ustanowiony Sakrament Chrztu, słusznie nazwany Sakramentem odrodzenia, bo jego mocą dziecko, spadkobierca śmierci po pierwszych rodzicach, odradza się do życia, które mu Chrystus powraca.

To drugie życie, którego dawcą jest jedynie Bóg, nie jest już dziełem mężczyzny i kobiety —

Adama i Ewy, to dzieło Chrystusa i Kościoła; dzieło podwójnie Boskie, gdyż sam Bóg wlewa w duszę ludzką tajemnicę bożego życia. Sakrament ten nie tylko znaczy imieniem Chrystusa życie młodego chrześcijanina i piętno niezatarte na duszy wyciska, ale samego Chrystusa z nim łączy. I gdy dziecko, jaśniejące jeszcze blaskiem tej przemiany, powraca pod dach rodzicielski, trudno opisać uczucia czci, jakim przepełnieni są ojciec i matka, pojmujący doniosłość tej chwili. Dozwólcie wzrastać i rozwijać się Chrystusowi w życiu dziecięcym, bo jak ziarno, włożone w ziemię, rozwija się bujnie w odpowiednich warunkach, tak i Chrystus, złożony przez Chrztę w młode życie, będzie wzrastał i rozwijał się w nim pod strażą ogniska rodzinnego, jak rósł i rozwijał się pod skromną strzechą Nazaretu.

Gdy dziecię wyjdzie z pierwszego okresu życia swego, gdy śmiało już kroki stawiać będzie, gdy rozum odkryje mu pierwsze nędze życiowe, gdy wreszcie życie, odsłaniając swe widnokręgi, przedstawi się samo takim, jakim jest w istocie, polem walki nieustannej — wtedy nowy Sakrament nada temu życiu bojownika piętno siły i utwierdzenie. Chrześcijanin, wzrastając, staje się żołnierzem Chrystusowym, przez Niego walczącym. Bierzmowanie naznaczy w młodzińcu to wzmocnienie, a wtedy w rodzinie duch Chrystusa szerzej blask roztoczy.

Lecz nawet po tem spotęgowaniu siły młody Chrześcijanin może upaść i nieraz upada walką zmęczony, bo obok Chrystusa w nim żyjącego, żyją i namiętności — te opanowując i zwyciężając go często, każą hołdować fałszywym Bogom.

Serce, w którym Chrystus mieszka, zaczyna słabnąć, chwieje się, stoi nad przepaścią, upada. By leczyć słabnącego, ratować chyłącego się nad przepaścią, podnieść upadającego, Chrystus ustanowił Sakrament Pokuty czyli żalu, który powraca duszy utraconego Zbawiciela. Przez pychę, zmysłowość utracił człowiek Chrystusa; przez łzy żalu i upokorzenia odzyskuje Go na nowo. Chrystus chwilowo wygnany z duszy chrześcijanina, powracając, staje się jej droższym, Jego obecność bardziej w czynach się uwydatnia; zdawałoby się mogło, że ustąpił z duszy, by z tem większym blaskiem, łagodnością i miłością do niej powrócić.

Wśród tego wzrastania Chrystusa w człowieku — nadejdzie dzień piękniejszy od wszystkich innych, dzień niezrównany, w którym przez przyjęcie Sakramentu Ołtarza, młody chrześcijanin w najściślejszy sposób połączy się z Chrystusem, posiadzie Go w sercu swoim. Dzień to niebiański, blaskiem swym opromieniający ziemię, gdy dziecię, powracające z Kościoła, w sercu swem jak w tabernaculum przynosi Boga, w świątynię przemieniając błogosławione ognisko domowe, gdzie cała rodzina czci i kocha tego Chrystusa, który po raz pierwszy w duszy dziecięcej zagościł. A jeżeli jeszcze w tym świętym dniu, według prastarego obyczaju, u stóp ołtarza, obok dziecka uklęknie ojciec i matka, bracia i siostry, by wspólnie przystąpić do tej Uczty Miłości — któż zdoła opisać uczucia, jakimi te wszystkie serca są przepełnione czując, iż nowy węzeł jeszcze silniej teraz ich łączy. Jak wyrazić tę głęboką, religijną cześć, którą w takiej chwili

rodzice odczuwają dla swego dziecięcia, a dziecko dla rodziców — gdy w blasku tego samego światła, pod wrażeniem tych samych wzruszeń, widzą i odczuwają jedni w drugich to samo promieniowanie życia Chrystusa. Jakim nadzwyczajnym bodźcem dla całej rodziny jest to wspólne połączenie się z Chrystusem w tym samym dniu! Jak ta myśl o Zbawicielu obecnym w sercu każdego członka rodziny podnosi ducha, wyżej kieruje dążenia, przemienia życie i boskiem tchnieniem ogarnia całą rodzinę!

Czy Chrystus już dosyć widocznie obecny w tem życiu chrześcijańskiej społeczności rodzinnej? Nie — ostateczne zespolenie człowieka z Chrystusem dopełnia się w chwili zostawiającej niezatarte wspomnienie w rodzinie.

Człowiek doszedł do kresu, gdy już o własnych siłach nie może pospieszyć do Chrystusa, i wtedy Chrystus sam, w ostatnie odwiedziny dąży do człowieka, by go naznaczyć Ostatniem Namaszczeniem, a na drogę wieczności wzmocnić Ciałem i Krwią swoją. W tej chwili smutku i skupienia, gdy umierający chrześcijanin ma pożegnać to ognisko domowe tak gorąco ukochane, tych najbliższych, którzy otaczając go, tłumią łzy bólu i cierpienia — Chrystus wnosi pociechę i tym, którzy pozostają i temu, co odchodzi. Gdy rodzina na klęczkach łzami i modlitwą żegna konającego, oddaje hołd chrześcijaninowi, który przyjął Chrystusa; gdy kapłan, przewodnik wierzy do końca, wymawia słowa, których tylko prawdziwi chrześcijanie zdolni słuchać bez rozpaczny »Proficiscere anima christiana« — wyjdź duszo, duszo chrześcijańska; gdy z ostatniem

tchnieniem uleciało życie z tego ciała uświęconego obecnością Chrystusa, a rodzina i przyjaciele przychodzą z uczuciem głębokiego żalu, smutku i pobożności pomodlić się przy zwłokach, na które spoglądają z czcią i poszanowaniem; gdy jako ostatnie pożegnanie, ostatnie błogosławieństwo, wodą święconą położyli znak tego Chrystusa, którego zmarły w sercu nosił całe życie, i z którym go śmierć nie rozłączy; gdy Kościół, rozjaśniając pozostałym ból rozstania blaskiem wiary, nadziei i modlitwy, przychodzi oddać ostatnią posługę zwłokom wiernego syna; gdy wreszcie rozbrzmiewa pieśń pogrzebowa, opiewająca radości niebieskiej ojczyzny i smutki ziemskiego wygnania: o wtedy może najbardziej odczuwa się miłość, poszanowanie, cześć wprost religijną, wiążące nas z domowem ogniskiem, w którym Chrystus uwidacznia się na każdym kroku, którego odczuwamy nawet w śmierci samej, ale wtedy już w majestacie nieśmiertelności opromieniającym groby.

W ten sposób małżeństwo, chrzest, pokuta, bierzmowanie, sakrament Ołtarza, ostatnie namaszczenie — składają, rozwijają, dopełniają w chrześcijańskiej rodzinie tajemnice życia Chrystusowego i, podnosząc ducha bożego, przygotowują prawdziwy postęp ludzkości przez chrześcijaństwo.

Jeżeli w rodzinie już okrytej chwałą Chrystusa, Bóg upatrzył sobie jeszcze wybrańca, sługę ołtarza; jeżeli to życie w Chrystusie, Bóg chce jeszcze podnieść i ozdobić godnością wyższego kapłaństwa i duszpasterstwa, by niejako powiększyć wielkość, spływającą z Chrystusa,

przydając jeszcze blasku królewskości, wtedy macie już całkowity obraz wszystkich tajemnic wielkości, którą Sakramenta Kościół nadaje rodzinie, sprawiając, że w niej Chrystus rodzi się, rozwija i wzrasta.

Oto jak Kościół przekształca ludzkość: przez wszystkie rodziny podległe jego przemożnym wpływom przechodzi życie Chrystusa, a to życie, wypływając z tak licznych źródeł społeczeństwa, podnosi wszystko do swych wyżyn. Jak życie Adama przechodzi przez rodziny, by utworzyć ciągłość społeczeństwa ludzkiego; tak życie Chrystusa przechodzi przez rodziny, by utworzyć ciągłość społeczeństwa chrześcijańskiego. Jezus Chrystus, Bóg — Człowiek przez rodzinę wciela się w ludzkość całą i w miarę, jak rodzina, mnoży się i rozszerza w przestrzeni i czasie. Już blisko dwa tysiące lat mija, gdy słowo, mające przeistoczyć świat, jak echo przepowiedni powtarzającej się w historii, zabrzmiało nad ubogą kolebką dziecięcia: »Narodził się nam Bóg — Dziecina, Bóg z nami, Emanuel«.

Słowo to zabrzmiało w Betleemie, zabrzmiało w Nazarecie, a stamtąd ze stulecia w stulecie, z przestrzeni w przestrzeń, do dziś dnia rozbrzmiewa pod każdym dachem osłaniającym chrześcijańską rodzinę; tu wszyscy razem i każdy z osobna sławi cud spełniający się w nim samym: »Bóg jest z nami«. Jak rzeczywistą jest obecność w Jego świątyniach, tak też rzeczywistą jest obecność Jego w rodzinie: w ojcu, w matce, w dzieciach. Wzrastajmyż w Nim pod każdym względem: »Crescimus in illo per omnia«, podnośmy się do Jego wysokości, aby stać

się na Jego podobieństwo. Niech życie Chrystusa objawia się w nas i jaśniej na zewnątrz; jak najwyższą godnością naszą jest przechowywać w duszy boskość Jego życia, tak największą sławą naszą niech będzie mieć na czole wyryty znak Jego wielkości i obraz Jego świętości.

Chrystus jest dla rodziny nie tylko źródłem życia odradzającym, ale wzorem, to życie urabiającym — wzorem, wznoszącym rodzinę do Boga przez upodobnienie jej do siebie, najwyższej doskonałości.

II.

Wykazaliśmy już, że rodzina ma wielki wpływ na społeczeństwo, ponieważ jest tworzeniem i rozwijaniem życia ludzkiego — Chrystus zaś ma wielki wpływ na rodzinę, ponieważ Sam jest tym wzorem, według którego ona się urabia, a jako taki powoduje jej rozwój.

W rodzinie istnieje czynnik potężnie działający na rozwój i postęp: to naśladownictwo. Naśladowanie wpływa z natury człowieka; stworzony do doskonałości, czuje możność udoskonalenia i dla tego naśladuje. Tak pojęte naśladownictwo jest jednym z głównych czynników postępu, a właściwie jest samym postępem. Widzimy, że człowiek zawsze i wszędzie, w mniejszym lub większym stopniu naśladuje lub dąży do naśladowania. Oryginalność nie wyklucza naśladownictwa. Brakiem pomysłowości, pospolitością jest niewolnicze naśladowanie ideału nam podanego; oryginalnością zaś jest swobodne na-

śladowanie ideału, który nosimy w duszy naszej. Oryginalność polega na tem, iż się jest twórcą pomysłu i wykonawcą dzieła. Geniusz nawet nie wyłamuje się w zupełności z pod prawa naśladownictwa; przywilejem jego jest: naśladować, w sposób jemu tylko właściwy, wzory najbardziej do doskonałości, do Boga zbliżone; a to, co zowiemy arcydziełem, to doskonałe oddanie wzoru jeszcze doskonalszego, to jakby oblicze Boga odzwierciedlające się w dziełach ludzkich.

Mógłbym wykazać, że naśladownictwo istnieje w każdym dziele sztuki, lecz mi o nią teraz nie chodzi, tu przedewszystkiem chcę zaznaczyć, że bez naśladownictwa nie może obejść się sztuka nad sztukami: sztuka urabiania człowieka na podobieństwo Boga. Wychowanie, czyli działanie rodzicielskie w urabianiu człowieka, to rzeźbienie życia na wzór innego życia; to żywe naśladowanie żywego przykładu. Dziecko, to obraz, wykonany podług upatrzonego wzoru, a wzorem to, co podaje ognisko domowe, jako ideał życia.

Jeżeli wzór niski, pospolicity: życie będzie marne,

jeżeli wzór średniej wartości: życie będzie przeciętne,

jeżeli wzór szczytny, wzniosły: życie będzie piękne.

Aby więc życie rodzinne podniosło się do istotnych wyżyn, musi mieć wzór żywy, możliwie najdoskonalszy, najbardziej wykończony, najbardziej boski, a w ludzkiej postaci.

Chcecie poznać wzór podany przez Kościół rodzinie chrześcijańskiej? Wejdźcie pod ten dach

błogosławiony, osławiający to, na co Bóg z wysokości niebios spogląda, jako na swój najwspanialszy obraz, świętą chrześcijańską rodzinę. Oto portrety przodków, których cnoty zostały potomkom, jako spuścizna, wspomnienie, jako tarcza, życie, jako wzór. Naśladowanie ich nie jest wystarczającym? Nie — powiada Kościół — dla podniesienia przyszłych pokoleń to nie wystarczy. Tu znów obrazy świętych, promieniących w chwale niebieskiej; co za wielkość, co za blask bije z tych twarzy, na ich czołach stygmat świętości; może dla podniesienia rodziny chrześcijańskiej wystarczy naśladować te wielkie dusze, iść śladami tych pracowników? Nie — odpowiada Kościół — dla podniesienia pokoleń nie wystarczy nawet naśladowanie świętych.

Ponad cnotami praojców i świętych jaśnieje Ojciec przyszłego wieku, boski poprzednik całej ludzkości. On większy od najślawniejszych — przed Jego obliczem każdy blask nikły, ciemniejszy — ponad wszystkimi świętymi On wzór ich jedynej — ponad ludzkością całą Bóg — Człowiek, Jezus Chrystus, Zbawiciel. »Oto wzór wasz — mówi Kościół do chrześcijańskiej rodziny — Chrystus, wzór najdoskonalszy, a urobienie was na Jego podobieństwo, oto żmudna i ciężka praca nasza«.

W tem leży tajemnica doskonalenia się rodziny chrześcijańskiej, a wychowywanie nie jest niczem innym, jak tem nieustannem urabianiem przez Kościół nowych pokoleń na wzór Chrystusa.

Na tem polega potęga, skuteczność pracy, wpływ i urząd Kościoła: wyciskać piętno Chry-

stusa na duszach, tworzyć Go w sercach i uja-
wniać w życiu — oto zawsze i wszędzie nie-
ustanna dążność Kościoła.

Wrogowie starają się dążenie to przekształ-
cić; nienawiść ich pracuje nad obniżeniem go-
dności Kościoła w oczach ludów. Ale ta dąż-
ność nie jest, jak to fałszywie przedstawiają nie-
przyjaciele Kościoła, ani współzawodnictwem
o wpływ, ani zazdrością o władzę; ta dążność
jest potrzebą miłości, żadnej odtwarzać wszędzie
obraz Chrystusa, miłości podobnej do macierzyń-
skiej, szczęśliwej, gdy cierpi dla dobra swych
dzieci. Miłość powtarzająca zawsze, gdy znaj-
duje duszę do ukształtowania na wzór Chrystusa,
Chrystusa do utwierdzenia jakiejś duszy, słowa
nacechowane macierzyńską troskliwością »Fi-
lioli mei, quos iterum parturio, donec formetur
Christus in vobis«¹⁾.

Oto, dlaczego pod każdym dachem, gdzie
nie zaprzeczono świętego macierzyństwa Ko-
ścioła, widnieje obraz Chrystusa, pozostający
w czci i poszanowaniu; obraz, będący nie tylko
wizerunkiem Boga, jako opiekuna ogniska domo-
wego, lecz Boga, jako wzoru całej rodziny, wska-
zuje każdemu pragnącemu dążyć coraz wyżej
boski ideał doskonałości. Czyż jest rzewniejszy
widok, jak rodziców, dzieci, domowników gro-
madzących się u stóp tego Boga z Kalwaryi,
dziś Boga — Opiekuna i Ojca, by modlitwą i mi-
łością uprosić łaskę postępowania za boskim przy-
kładem? Oto ojciec, mający nad swą gromadką
władzę, daną od Tego, przed którym teraz

wspólnie ze czią chylą głowy, błaga Go o bło-
gosławieństwo dla całej rodziny. Oto dziecię tak
wrażliwe na wszystko, co wzrok jego ogarnia,
w pierwszych blaskach słonecznych, które je
budzi, wita nad swem łóżeczkiem zawieszony
obraz Zbawiciela; wieczorem, gdy sen znużone
skleja powieki, wzrok pożegnalny pada znów na
Chrystusa; a w dzień, ileż to razy oczy i usta
z dziecięcą miłością i pieszczotą przylgną do
wizerunku Chrystusa. Oto matka z tą przedziw-
ną jasnością i swadą, matkom właściwą, wta-
jemnicząca małą dziecinę w wielkie tajemnice
chrześcijańskie. Jak pod jej wpływem, za po-
mocą wzroku i słuchu obraz Chrystusa wyciska
się w otwartej duszyczce dziecka, by w niej po-
zostać na zawsze nie tylko jako jasny promień
w sercu, pociecha w życiu, ale przede wszystkim,
jako wzór doskonałości, przykład wielkości, które
ono samo kiedyś ma osiągnąć.

Pióro niezdolne opisać tego, tu wymowniej
przemówiłby pędzel artysty; wystawcie sobie,
w świetle prawdy, obraz, który przenoszę z pod
rodzinnej strzechy — może z waszej własnej.
Matka poucza swe dziecko, matka godna swego
imienia i powołania — nosząca w duszy obraz
Zbawiciela, wryty chrześcijańskim wychowa-
niem, ona pragnie przenieść teraz ten obraz
w duszę swej dzieciny, uczynić z niej niejako
żywy wizerunek Boga samego. I wiecie, co czyni,
by podobieństwo Chrystusa wycisnąć na tej mło-
dej duszy? Oto, przed szeroko rozwartymi oczka-
mi dziecka, przesuwając karty książki, na której
ręka artysty w żywych barwach przedstawiła
życie Chrystusa podane przez Ewangelię. Prze-

¹⁾ Galat. IV. 19.

chodząc ciągle od barwnych rycin do nie mniej barwnego opowiadania, powtarza po raz nie dziesiąty, lecz tysięczny może, słowa, w których brzmieniu matka całą duszę wlaćby chciała: »Widzisz małego, biednego Jezusa, leżącego w nędznym żłóbku betleemskim? trzeba dziecino stać się małym, pokornym jak On, jeżeli się pragnie zostać prawdziwie wielkim. Widzisz, jak był posłusznym, uległym w Nazarecie? On Pan, Władca świata, a przecież zawsze posłuszny. Patrzmy dalej; oto jaki był litościwy dla Łazarza, łaskawy dla Magdaleny, dobry dla świętego Jana, łagodny dla Judasza nawet. Jak Zbawiciel cierpliwie znosił obelgi, spokojnie cierpiał, jaki pogodny wobec niegodziwości ludzkiej, jak błogosławi ostatniem swem spojrzeniem, przebacza ostatniem westchnieniem. Ty będziesz takim, jak On, dziecię drogie, cierpliwem, jak On, łagodnem, jak On, będziesz przebaczał, jak On, a gdyby kiedyś dla wybawienia Twych braci trzeba cierpieć, cierpieć aż do śmierci — pamiętaj, że dla twego zbawienia On życie położył«. Tak mówi matka chrześcijanka, a wśród tego opowiadania, przeplatane go pieśczętami, uśmiechem i łzami, bierze krzyż, najwymowniejszy znak Boga, wkłada go w drobne ręce dzieciny, oczy i myśl jego do krzyża przykuwa, zdobi nim pierś małości, jak gdyby chciała, by w ten sposób poznało, ukochało, uściśnęło równocześnie — i dalej mówi: »Pomyśl, jak Pan Jezus strasznie cierpiał! oto gwoździe i ciernie, ręce i nogi przebite, głowa skrwawiona, bok otworzony. Dziecię moje, On Twoim władcą, trzeba słuchać Jego głosu; on Twym dowódcą,

trzeba iść Jego śladami; On twym wzorem, trzeba iść za Jego przykładem«.

Wierście mi, z tych słów płynących z ust matki, z wizerunku Zbawiciela, spływa w duszę dziecka cała siła przekonań, którą posiada matka. Wystawcie sobie, ile miłość jej serdeczna, dźwięk jej głosu, słyszyc jej pieśczęt, urok jej uśmiechu łączącego się ze łzami, dodaje mocy i znaczenia tej niezrównanej nauce; a wtedy może zrozumiecie, co czyni matka, by wyrzeć w duszy dziecka obraz Chrystusa, który uświęci wszystkie dążności, wszystkie myśli, całe życie człowieka.

Może zapytacie, gdzie takie matki? wszędzie w chrześcijaństwie, gdzie matki współpracują z Kościołem nad wielkiem dziełem macierzyństwa chrześcijańskiego: stwarzają Chrystusa w dzieciach.

Oto nieśmiertelny typ wychowania prawdziwie chrześcijańskiego: wyrzeć w duszy obraz Chrystusa tak silnie, tak wyraźnie i żywo, by nic już nie mogło go zniszczyć; ani błędna nauka, ani poszept namiętności, ani zmaza grzechowa; stworzyć i ukształtować powoli, lecz skutecznie, mocą miłości, cnoty, poświęcenia, w łonie młodego pokolenia prawdziwego Chrystusa — nie tego fałszywego, głoszonego przez reformatorów, lecz tego opowiadanego i ukochanego przez Kościół; nie Chrystusa urojonego, bez krzyża, odarłego z aureoli boskości — lecz Chrystusa rzeczywistego, stojącego na górze Kalwaryi w koronie cierpienia, miłości i bóstwa; jednym słowem wyrzeć nie cechy powierzchowne, jak to niestety zbyt często się zdarza, lecz cechy głębokie, wno-

szące w najskrytsze tajniki życia intelektualnego i moralnego, niezatarty charakter Chrystusa; dać młodym pokoleniom Chrystusa tak ściśle z nimi związanego, niemal dotykającego, tak ożywiającego wewnątrz, a opromieniającego na zewnątrz, aby życie chrześcijańskie, rozwijając się stopniowo pod zjednoczonym wpływem Kościoła i domu, przybrało cechy właściwe, najwstrętniejsze szatanowi, najpodobniejsze Bogu: cechy Chrystusa »Donec formetur Christus«.

Oto dzieło, które wspólnymi siłami ma uskutecznić rodzina i Kościół dla wychowania jednostek, podniesienia człowieka, postępu ludzkości.

Wtedy bezwątpienia rodzina chrześcijańska zajmie należne jej stanowisko, gdy mocą całą trzymać się będzie Chrystusa, wszystkie dążności kierować do Boga; wtedy i społeczeństwo odczuje oddziaływanie tej ogólnej dążności rodzin i wzniesie się na te same wyżyny — bo każda społeczność, wznosząca się do Chrystusa, jest równocześnie przez Niego podnoszona i wzrasta z Chrystusem w miarę, jak on w niej rośnie.

Przeciwnie rodzina, która nie została urobiona na wzór Chrystusa, lub co gorsza, poznawszy, wyparła się Go, prawie zawsze stacza się niżej ogólnego poziomu. To przyczyna upadku tylu pokoleń, tylu rodzin: Chrystus nie mieszka już pod rodzinnym ich dachem, niema Jego obrazów na ścianach, niema też i przed oczami, niema w obyczajach, niema w rodzinie. Czemu? bo niema Chrystusa w duszach. Mógłbym zapytać niejednego z was chrześcijan, ozdobionych godłem i imieniem Chrystusa, czy w domach waszych króluje Chrystus? Czy

jest w nich przynajmniej obraz Jego, czy wy i dzieci wasze zbieracie się u stóp Jego, by prosić o błogosławieństwo i łaskę? Macie przed oczami portrety sławnych ludzi, dom wasz zdobią rzeźby i obrazy różnorodne, przed oczami dzieci stawiacie ideały świata pogańskiego, lecz pod tym dachem mieszcącym tylu bohaterów ludzkości, tyle piękna pogańskiego, często niema już miejsca dla Chrystusa. A gdy przyjdzie ostatnia wasza godzina, gdy kapłan szukać będzie wizerunku Chrystusa, Tego, który jedyny w smutku i zgnębieniu śmierci może wam jeszcze mówić o szczęściu i nadziei — może wtedy odpowiecie słudze Bożemu zdumionemu, iż w domu chrześcijańskim nie widzi obrazu Zbawiciela. »Niema u nas Chrystusa«. I czemuż niema Jego, tego wzoru, siły i pociechy? Bo Go niema wyrzeźbionego w duszach przez wychowanie głęboko chrześcijańskie: ojciec Go nie czci, nie kocha, a może nie zna Chrystusa; matka — nawet matka pozwoliła, by ten obraz boski, w dzieciństwie tylko powierzchownie zaznaczony, zatęchł pod wpływem świata, lub pociemniał pod wpływem namiętności. I jakże w otoczeniu ojca i matki, którym nic nie zostało z Chrystusa, nic krom imienia kłam zadającego prawdzie — jakże dziecko może otrzymać wrażenia niezatarte, jedynę mogącą wnieść życie do wyżyn Chrystusa? Chcecie podnieść ludzkość, podnosząc rodzinę? przywróćcież więc w domach waszych, przed oczyma waszemi, a przedewszystkiem w duszach waszych, obraz zapomnianego Boga; niech obraz ten z duszy i życia waszego, przechodząc na dusze i życie dzieci waszych, na-

znaczy je w obliczu nieba i ziemi stygmatem prawdziwej wielkości.

III.

Jezus Chrystus jest dla rodziny nie tylko życiem i wzorem, ale przede wszystkim siłą, która ją broni.

Starożytni, pod osłoną wierzeń mitologicznych, przekazujący często wielkie prawdy zasadnicze, sądzili, że ich ogniska rodzinne zostają pod strażą opiekuńczych bóstw domowych, Penat. Posążki i obrazy ich przechowywali w domu z pobożnością i czcią religijną; a gdy wygnanie, prześladowanie, wojny lub inne nieszczenia zmuszały opuścić kraj rodzinny, unosili z sobą opiekuńcze bóstwa, jako rękojmię bezpieczeństwa.

W ten sposób religia i rodzina łączyły się w jednym uczuciu miłości i poszanowania; cześć przodków łączyła się z czcią bogów. Znana jest z czasów starożytnych, a przede wszystkim Rzymu pogańskiego cześć oddawana cieniem zmarłych; dusze przodków otaczane były w każdym domu szczególnym kultem. Oto słowa pewnego publicysty »Nieustające ofiary, cześć dla dusz przodków, dusza przodków, żyjąca w duszach synów, to było wszystkim dla Rzymianina; rodzina była mu równocześnie niebem i ziemią«.

Zastanawiając się nad tym kultem, odkrywa się jedną z głębszych tajemnic trwałości Rzymu i pierwotnej jego wielkości. Nauka błędna, osłaniająca prawdę, zdolna była zdziałać taki cud. Otoż to, co w starożytności pogańskiej

było tylko mitem pocieszającym, w chrześcijaństwie jest rzeczywistością nam najbliższą, jest prawdą. Chrystus jest prawdziwym Bogiem ogniska domowego, Bogiem — Opiekunem chrześcijańskiej rodziny.

W Chrystusie i przez Chrystusa dusze przodków łączą się z duszami swych następców, praojcowie jednoczą się z wnukami. Chrystus jest tem boskiem ogniwem, łączącym w chrześcijaństwie wszystkie pokolenia, w Nim i przez Niego, jakkolwiek rozdzielone przez czas, zachowują te same prawa, tę samą naukę, tę samą cześć, tę samą miłość, to samo życie. On jest dziedzictwem wszystkich i każdego, rodzina chrześcijańska jest tradycją Chrystusa przez wszystkie wieki. Ale największy nacisk chciałbym na to położyć, że gdybyśmy wzięli pod uwagę choćby tylko pokolenie obecne, ujrzelibyśmy, że Chrystus jest jego obroną i siłą, jest cementem, który spaja i tarczą, która osłania; przez miłość swoją staje się mocą, łączącą wszystkie członki w potężną jedność, a broniącą przed wszelkiem zerwaniem, rozbiciem.

Nawet w porządku czysto naturalnym istnieje miłość, przez Opatrzność wlaną w serca rodziców i dzieci, a będąca dla każdej rodziny naturalną obroną. Lecz w dzisiejszym stanie naszego społeczeństwa, mnożącego ciągle powody rozdwojenia, zerwania, rodzina musi szukać punktu oparcia w miłości wyższej nad naturę i ludzkość. Siłą rodziny chrześcijańskiej jest miłość Chrystusa, ona niezbędna, by wszystkich członków rodziny złączyć w jedność i potęgę niepokonalną. Miłość Chrystusa jest rękojmią,

boskiem zabezpieczeniem węzła małżeńskiego. Szczęśliwi małżonkowie, którzy, idąc do ołtarza, by dla swego związku otrzymać uroczyste błogosławieństwo, »Sercu Chrystusowemu polecili swą przysięgę wiecznej miłości: Ono jedynie jest dość potężne, by tej przysięgi ustrzedz, by uchronić wierność nienaruszalną. Miłość, gdy jest wyłącznie ziemską, ulega słabościom i ułomnościom nieuleczalnym; ma zapal, ogień przemijający, po którym następuje często nieubłagana oziębłość; ma nadzwyczajne porywy, zwykle niezawodną zapowiedź długich lat obojętności; to drzewo wybujałe w pierwszej wiosnie kwitnienia, którego liście prędko zimny wiatr zwarzy — i po zostanie opuszczone wczesną jesienią, mając przed sobą zimę, po której już dlań nigdy wiosna nie zawita. Ta miłość rzeczywiście tak szczerą, czystą, pełną poświęcenia, tak piękna w pierwszym swym okresie, podlega niestety, jak wszystko na świecie, prawom czasu; i ona starzeje w sercu człowieka, a rok uchodząc za rokiem zabiera, wraz z czarem pierwszych chwil, po części tej potęgi miłości, która dla dwóch sercłączonych była puklerzem ich trwałego zjednoczenia.

Przeciwnie, głęboka miłość Chrystusa, jest dla tych, którzy w jej imieniu są połączeni źródłem wiecznego odmładzania. Co jest wieczne, jest zawsze młode, a miłość małżonków chrześcijańskich, będąc związana z sercem Chrystusa, jest w ten sposób związana z wiecznością. I oto miłość, skazana prawem natury na zestarzenie nieuniknione, czerpie w życiu Chrystusa soki odżywcze, które ciągle ją odmładzają, czynią

coraz piękniejszą, aż, wyzwolona z czasu i jego przemian, dochodzi do skończonej piękności i całkowitej młodości — do wieczności.

Te małżeństwa chrześcijańskie, które jak piękne, pogodne dni, zachowują do zmierzchu łagodnego, cichego życia coś z jasności świtu, spotykałem pod strażą i opieką Kościoła. Widziałem małżonków chrześcijańskich, których serca podwójnym węzłem miłości były złączone: miłości, mającej swe źródło w naturze i tę głębszą, czerpaną u stóp Chrystusa. Lata miały, nie unosząc nic z ich szczęścia — nic, krom tego upojenia młodości, płomienia życiowego, których dni tak krótkotrwałe, a przynosiły w zamian: z miłością spokojniejszą szczęście ciche, z tym łagodnym blaskiem, który cechuje przywiązanie zbliżające się do Boga i wieczności. Podobnie do kosztownego wina, które z latami traci moc burzenia, a zyskuje na wartości, miłość oczyszczona i udoskonalona w sercu Chrystusa, staje się na schyłku życia tem droгоценniejszą i szlachetniejszą, jest jakoby przedsmakiem miłości wiecznej i szczęśliwości niebiańskiej.

Miłość Chrystusa, utrwalająca węzeł małżeński, łączy również rodziców z dziećmi i z ogniskiem domowym silniej, niżby to sama natura uczynić mogła. Gdy błogosławieństwo kościelne i Boże połączy dwa serca, czerpiące swą miłość w Chrystusie, gdy między nimi stanie kolebka z dzieciną, nowym znakiem Bożego błogosławieństwa, nowem umocnieniem ich węzła nierozzerwalnego, gdy wreszcie w zachwycie szczęścia i wdzięczności, przejęci miłością, zawołają z głębi serca: »Chryste, Tyś nam dał to dziecko,

Tobie kiedyś oddać je mamy; znamy nasz obowiązek, nasze zadanie — chcemy, by serce jego było ołtarzem, w którym zamieszka miłość Twoja, dusza jego zwierciadłem Twej piękności, cała jego istota świątynią Twej boskości» trudno wypowiedzieć ile wtedy, to Serce Chrystusowe, żadne wiecznego odnawiania się w pokoleniach, wlewa w serca rodzicielskie przywiązania do ogniska domowego, ile siły dodaje ich związkowi, trwałości rodzinie.

Miłość Chrystusa daje życiu rodzinnemu nieopisany urok, wykluczający raz na zawsze szukanie poza obrębem ogniska domowego szczęścia, które właśnie i jedynie przy tem ognisku oboje małżonkowie znajdują, a czerpiąc ze źródła wspólnej miłości, ciągle pomnażają. W blasku, który Chrystus rozłącza nad nimi, zacinie domowe jaśnieje jak góra Tabor, a w promieniach światła, spływających z niebios na dom ich, złączających tę dolinę łez, powtarzają z rozradowaniem »Panie dobrze nam tu być«.

I czemuż mogą być dla tych szczęśliwych zabawy, rozrywki, zgiełk światowy? fałszywem złotem, blichтром szczęścia, którym szatan zwodzi szukających radości na szerokich drogach, a widzących jej pod własnym dachem. Ognisko domowe zawiera w sobie dosyć radości, wesela, rozrywek; a troska gdy zagości, większą ma wartość dla tych serc Chrystusowi oddanych, niż uciechy świata posiadającego wszystko — prócz Chrystusa.

Jest jeszcze jedno uczucie, trudniejsze do ustrzeżenia w rodzinie, niż przywiązanie rodziców do dzieci i do strzechy, która ich osłania:

to przywiązanie dzieci do rodziców, to pragnienie, potrzeba życia przy nich, to radość uszczęśliwiania ich. Żyje przy boku ojca i matki, braci i sióstr, starać się swą obecnością radość wnosić, uśmiechem rozweselać — to szczęście, z którem żadne inne w wiośnie życia równać się nie może, a niestety współczesna rodzina z dniem każdym coraz więcej je zatracą.

To zmniejszenie miłości rodziny, tak jaskrawo występuje u dzieci, a jeszcze bardziej u młodzieży, niejednej matce gorzkie łzy wyciska, całemu społeczeństwu zagraża. Smutny ten objaw różnorodnie ma przyczyny, których na razie roztrząsać nie możemy, dosyć zaznaczyć, iż jest aż nadto widoczny i zatrważający. Młodzież nudzi się pod okiem ojca, a pieszczoty matki nie mają już siły przyciągającej. Dom rodzicielski im cięży, jak więźniowi mury więzienne. Serca ich daleko odbiegły — nie kochają już tego, co przedewszystkiem wiąże z ogniskiem rodzinnem: ani rodziców, ani rodzeństwa, ani uroczystości rodzinnych. A wiecie, co wasze dzieci wzamian za to kochają? Oto kochają widowiska i zabawy, kochają kluby i sporty, kochają hazard, pijatykę i rozpustę, wszystko kochać umieją, wszystkie rodzaje szczęścia znają, tylko nie znają i nie rozumieją szczęścia przebywania z wami, uszczęśliwiania was. Podobne synowi marnotrawnemu, pragną oddalić się z pod rodzinnego dachu, by z dala od was stworzyć sobie szczęście samolubne, w którem braku waszego bynajmniej nie odczuja.

A jakąż główną przyczyną tego obumierania miłości synowskiej? Oto obumieranie życia

chrześcijańskiego — zupełny brak miłości Chrystusa.

W sercu młodzieńca wyszło boskie źródło miłości, z której wypływała radość z wypełniania obowiązków; zmęczony łagodnymi więzami, nie krępującymi bynajmniej jego wolności, dąży do zrzucenia równocześnie »jarzma« rodzicielskiego i boskiego, a natura sama niezdolna już przywiązać do strzechy rodzinnej serca, które się wyłamało z pod praw rodziców i Chrystusa.

Czy spotkaliście kiedy, tak rzadki dzisiaj wzór miłości synowskiej? Widzieliście młodzieńca szesnasto- lub dwudziestoletniego, uważającego dom ojcowski za raj ziemski? młodzieńca, który błogosławieństwo ojca, pieczętę matki, towarzystwo braci i sióstr ceni nadewszystko; z którego piersi nie wydobył się jeszcze okrzyk niezależności, buntu, ani samolubstwa; którego wzrusza wszystko, co dotyczy rodziców i rodzeństwa, raduje się ich weselem, płacze nad ich cierpieniem? Jeżeli spotkaliście takiego młodzieńca o niewinnem sercu i pogodnym duchu, to spotkaliście w nim Chrystusa; jego dusza nosi życie Chrystusa, twarz jego to odzwierciedla, a serce zachowuje miłość Jego.

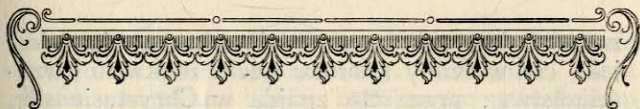
W ten to sposób miłość Chrystusa łączy rodzinę spójnią nierozzerwalną — a wszyscy jej członkowie, mając swe oparcie w Chrystusie, z głęboko wkorzenioną miłością mogą śmiało stawić czoło naturze, niezdolnej skruszyć łączące ich ogniwa, i zawołać: »Kto nas oderwie od miłości Chrystusa? kto rozłączy żonę od męża, a męża od żony? kto oderwie rodziców od dzieci, a dzieci od rodziców?« Nic, nic! nie

rozerwie tej łączności rodziny, opartej na Chrystusie, będącym jej życiem, wzorem i siłą; życiem, które ją przenika, wzorem, który ją urabia, a przedewszystkiem siłą, która ją broni. Nic nie jest w stanie przewyżżyć tego, kto Boga samego ma na obronę.

Gdy więc Chrystus jest nadewszystko siłą i obroną rodziny — rodzina zaś siłą społeczeństwa, gdy miłość domowego ogniska jest źródłem prawdziwej miłości ojczyzny — nie wynikaż z tego, że na Chrystusie opiera się społeczeństwo, tak, jak się na Nim rodzina opiera? że Bóg opiekun miłości rodzinnej, stoi również na straży miłości ojczyzny?

Gdyby dla udowodnienia tej siły niezrównanej, jaką Chrystus daje ojczyźnie, wcielając się w życie rodziny — gdyby dla zaświadczenia bohaterstwa patryotyzmu, rozwiniętego w pokoleniach przez życie w Chrystusie, trzeba było wymownych przykładów — wystarczyłoby wymienić dwa narody, których imiona szczytnie zapisały się na kartach historii miłością Chrystusa i ojczyzny, a tą podwójną miłością się zasilając, przeżyły trojakie próby: męczeństwa, wygnania i czasu. Te narody, to Polska i Irlandya; Polska i Irlandya, których stałości katolickiej nie mogły przemódz gwałty odszczepieńców: Polska i Irlandya, których gorącej miłości ojczyzny nie mogło złamać jarzmo niewoli; Polska i Irlandya, siostry przez religię i wiarę, tak jak przez nieszczęście i prześladowanie. Polska, która nietylko, że ongi oparła się sama muzułmańskim półksiężycom, ale Europie całej

stała »Przedmurzem Chrześcijaństwa«; Polska dziś spętana i rozszarpana, z nadludzkim wysiłkiem broni wiary swych przodków, języka swych praojców, ziemi swych bohaterów; a gdy już nie może krwią rycerzy, to łzami i męczeństwem dzieci świadczy o niespożytej sile i żywotności narodu.



TRZECIA KONFERENCYA.

Upadek rodziny w ostatnich czasach.

Jak Chrystus jest w człowieku sprawcą postępu indywidualnego, a w społeczeństwie postępu społecznego, tak w rodzinie jest sprawcą postępu ogniska domowego. Jest pierwiastkiem życiowym chrześcijańskiej rodziny, tworząc ją i rozwijając przez Sakramenta — jest wzorem tejże rodziny, wyciskając na niej obraz swej doskonałości — jest obroną, chroniąc ją nieprzezwyciężalną tarczą swej miłości. Rodzina, żyjąca życiem Chrystusa, urobiona na Jego podobieństwo, osłonięta Jego mocą i miłością, jednym słowem Chrystus żyjący w rodzinie chrześcijańskiej z całą swą boską pięknoscią i potęgą — oto najwspanialsze dzieło Boga w Chrześcijaństwie.

Rodzino chrześcijańska, przybytku Boga samego, patrzę na ciebie z zachwytem i witam cię z miłością jako człowiek i apostoł. Nie znam nic piękniejszego, nic wznioślejszego nad Chrystusa żyjącego w Tobie i przez ciebie dla podniesienia społeczeństwa i ludzkości. Szczęśliwe

narody, które w przyszłości zobaczą cię taką, jaką cię widziały minione wieki rozkwitu chrześcijaństwa; przez cię znajdą w Chrystusie siłę, która ich przed nimi samymi obroni; lecz biada narodom, które ujrzą cię upadającą, słabnącą, zamarłą — będą musiały upaść i zamrzeć razem z Tobą. Tyś źródłem życia społecznego, a ono czystszym być nie może, niż źródło samo, tyś wzorem dla społeczeństwa, a to, co na podobieństwo urobione, nie może być piękniejszym od wzoru samego; tyś fundamentem, na którym spoczywa gmach społeczeństwa, a gmach nie może być silniejszym od fundamentów.

Nic zatem nie może mieć większego znaczenia dla społeczeństwa przyszłości jak rodzina obecnej doby.

Widząc dziś rodzinę upadającą, możemy przewidzieć upadek społeczeństwa i zawołać wraz z poetą rzymskim: »pokolenie dzisiejsze, córka zepsutego wieku, pozostawi potomstwo jeszcze bardziej zepsute; nikt nie zdoła przewidzieć, jak daleko zajdzie w mniej lub więcej odległej przyszłości to dziedzictwo zepsucia i tradycja upadku«.

Kto nie chce przeto zamykać oczu na oznaki upadku w chwili obecnej, kto nie poddał się namiętności ogarniającej umysły współczesne, domagające się: »postępu przedewszystkiem, postępu bezwzględного«, ten jasno dostrzeże groźbę, zawieszoną nad nami: poniżenie, zepsucie, rozbicie rodziny.

Gdy zło dochodzi, a właściwie przechodzi pewne granice, gdy przez nieustanne zataczanie coraz to szerszych kręgów nabiera cech zła po-

wszechnego — dusze lepsze, odporne odczuwają to zło w sposób niezawodny. Jednostka, która bądź warunkami życia, bądź swem powołaniem zmuszona była ustawicznie z tem złem się ścierać, boleje nad niem, bada je, a poznawszy jego istotę, może je dokładnie innym przedstawić, przeciwstawiając światło i prawdę wieczną, światłu i prawdzie teraz głoszoną — wtedy dusze się budzą, by odpowiedzieć głosowi wyrażającemu ich własne, może uśpione, może niedostatecznie rozbudzone przekonania i jednogłośnie wołają wzruszone: »przez tego człowieka dusze nasze przemówiły — chwała niech będzie prawdzie«.

Nieraz już dotykając ran serdecznych, słyszałem echo mego głosu potężnie powtórzone przez dusze mych słuchaczy, lecz zdaje mi się, że nigdy słowa moje silniejszego oddźwięku nie znajdą w sercach bratnich, jak dziś, gdy jasno wam głoszę: zło najgłębiej zakorzenione, najrozleglej sięgające, najgroźniejsze, to rozprzężenie rodziny.

Temat obszerny, wiele rzeczy poruszyłoby należało, lecz my, zastanowiwszy się tylko nad ważniejszymi objawami wieku i stosunkiem ich do rodziny, wykazując, że kryją w sobie cechy upadku i rozprzężenia.

I.

Wiadomem jest, iż wszystkie przemiany, reformy, zaczynają się doktrynami; nazwa podstawy, jaką dajemy wielkim prawdom i wielkim błędom, prawdziwie głębokie ma znaczenie, na

nich bowiem opiera się później cały gmach mylnych lub prawdziwych pojęć i wierzeń.

Naturalnem przeto jest, iż właśnie w prądach i teoriach dzisiejszych szukać musimy symptomów rozluźnienia węzłów rodzinnych — symptomów zwykle przez większość niepostrzeżonych, gdyż tkwią głębiej, a większość patrzy powierzchownie.

Symptomy objawiające rozkład rodziny, dawno już można było rozróżnić w filozofii, która się głosiła nową i aż nadto nią była. Filozofia pełna pychy, uważająca się za głęboką może dla tego, iż głębiej brnęła w manowce, niż jej poprzedniczki, atakująca prawdę, mieniąca się po części słusznie radykalną, ponieważ sięgała korzeni życia, lecz ja chętniej nazwałbym ją wykorzeniającą, bo taka była jej działalność. Filozofia nieokiełzana w swych dążeniach, bo zdążająca do przerobienia wszystkiego: społeczeństwa, rodziny, człowieka; chcąc przekształcać, a umiejac tylko burzyć. Na polu społecznem burzyła obraz społeczeństwa, na polu moralnem obraz cnoty, na polu intelektualnem obraz cnoty, w naturze ludzkiej burzyła obraz człowieka, wreszcie w porządku domowym obraz rodziny takiej, jaką Bóg stworzył, a ludzkość uznała i wciąż otoczyła. I czemuż niegdyś Rewolucya, a dziś prądy przewrotowe chcą zastąpić rodzinę, to dzieło Boże? Suknia kapłańska wzbrania mi roztrząsać to, czego wasza czystość chrześcijańska wzdragałaby się słuchać. Śmiałość pomysłu zadziwiła (i to w czasie najwyższego rozgorączkowania, najsilniejszego wrzenia namiętności) samych nowatorów — bo gdy zebrani »bra-

cia« usłyszeli żądania tego, który uważany był za wyrocznie nowej nauki — słowa jego wywołały takie wzburzenie u obecnych, że jeden z nich do głębi oburzony tem wprowadzaniem zbrodni w łono rodziny, zawołał te pamiętne słowa: »Uprawiacie cudzołóstwo«. To wywołało wrażenie, upamiętanie; zgromadzenie, chcące wprowadzić do świętego przybytku rodziny brud i fałsz, ustąpiło.

Dzisiaj ponownie dają się słyszeć głosy żądające, by miłość uświęcona błogosławieństwem kościelnem, miłość zaprzysięgnięta wobec Boga i ludzi, miłość dozgonna, ustąpiła wolnej miłości, a więc takiej, która drwi z błogosławieństwa Kościoła, żadnem zobowiązaniem krępować się nie chce, której trwanie zależne od fantazy, przelotnego kaprysu: echo okrzyku, rzuczonego w XVIII wieku, donośnie powtarza wiek XX.

Przypatrzmy się rodzinie, zobaczmy, na czym siłę swą opiera, a zobaczmy, czemu z taką zaciętością niektórzy dążą do jej obalenia.

To, co najbardziej ochrania rodzinę, a czego ona wzamian najtroskliwiej strzeże, to obok miłości i poszanowania dla tradycji, poszanowanie i miłość przodków. Rodzina to tradycja: tradycja wierzeń, obyczajów i krwi, tradycja cnoty, wspomnień i imienia — co razem wzięte, stanowi miłość i poszanowanie przodków, a więc tego, co w rodzinie najbardziej zachowawcze, a zarazem najdrogocenniejsze.

A wiecie, co jest przeciwstawieniem tradycji i czci praojców? Rewolucya — nie ta rewolucya, która krwawemi głoskami zapisała się w dziejach Francyi, lecz ten kierunek przewro-

towy, który ciągle nad umysłami panuje i wiecznie grozi obaleniem porządku społecznego.

Idea rewolucyjna tak pojęta jest nienawiścią tradycji i rzeczywiście naciera na nią na wszystkich polach, gdzie tylko dosięgnąć jej zdoła, we wszystkich formach, w których tradycja się przejawia. Zwolennicy tej idei mniemają, że tradycja wyklucza postęp, w zapamiętaniu tedy pędzą do zburzenia tego, co ma za sobą promienną przeszłość, a wystawiają wyłącznie nowość — gardzą zarozumiałe, jak barbarzyńcy, wszystkiem, co nie od nich bierze swój początek, gardzą zatem spuścizną przodków, a więc ich wiarą i obyczajem, ich prawami i sławą, a tem samem i nimi samymi, bo czemu to wszystko powstało, jeżeli nie pracą praojców? wieki ubiegłe, to ich umysł i dusza, ich geniusz i życie, ich wytrwałość i krwawica, to tętno serca naszych pradziadów.

W ideach przewrotowych jest drugi pierwiastek rozkładu rodziny: to mniej lub więcej wyraźne zaprzeczenie prawa własności — ono zagraża nie tylko ustrojowi społecznemu, lecz bardziej jeszcze może rodzinie. Uprawiać kawał ziemi ojczystej, dziedziczonej z dziada pradziada, by ją przekazać swemu potomstwu, jeżeli nie powiększony, to wzbogacony pracą i znojem — czyż może być coś bardziej zachowawczego, a równocześnie postępowego? Własność, dziedzictwo, ojcowizna wszak to pamięć przodków, a miłość potomstwa; przekazując dzieciom ziemię, przekazujemy miłość, która się na niej zrodziła, z ojca przechodziła na syna. Własność, to praca i poświęcenie rodziców dla dzieci, to zie-

mia, nosząca ślady ich stóp, dzieło ich zabiegów, to podstawa bytu, położona przez dawne pokolenia dla dzisiejszych pokoleń, to przeszłość, terazniejszość i przyszłość jednego gniazda rodzinnego — a zatem znów tradycja.

Zarzucicie mi może, że to wszystko, to tylko strona materyalna, lecz wszak bez niej idea nie łatwo ostać się może; rodzina, rozrzucona na wszystkie światy strony, zanika i ginie jak te drobne pyłki, które wiatr unosi.

Dążenie do zaprzeczenia, lub ograniczenia prawa posiadania i przekazywania własności w rodzinie, rozbija ten łańcuch materyalny, przykuwający rodzinę do ziemi, rozrywa zatem tych, co dziś na niej stąpają z tymi, co po niej chodzili w przeszłości i w przyszłości stapać mieli; utrudnia zadanie rodzicom, przygotowującym dzieciom w czoła pocie: życie, dobrobyt, spokój, szczęście; zdaje ich bez myśli o przeszłości i przyszłości na łaskę straszliwego egoizmu wszystko do swego »ja« sprowadzającego i sprawiającego, że człowiek sam pochłania owoc swych trosk i zabiegów; usuwa najsilniejszy bodziec do pracy, do której już miłość nie zachęca, a stawia wzamian i to w najlepszym razie za jedyny cel — ludzkość. Piękny cel, niezaprzeczenie, lecz zbyt mglisty i daleki dla niejednego, którego horyzont myślowy szeroko tak nie sięga, a serce nie wybiegając na tak odległe krańce, wydatniej pracowałoby z miłości do dzieci i rodzinnego gniazda.

Ale najsilniejszą napaścią na rodzinę, to zaatakowanie religii. Rodzina chrześcijańska, tak głęboko przesiąknięta jest duchem wiary, że

wszystko, co religii dotyczy — jej dotyczy, co wiarę szarpie — ją szarpie, a nieprzyjaciele wiary stają się tem samem nieprzyjaciółmi społeczności rodzinnej. Uczcie się więc poznawać wrogów waszej rodziny, uważajcie, w którą stronę kierują najgroźniejsze pociski, a zobaczycie, jak ważnym celem ich napaści jest religia.

Głosem z setek tysięcy piersi wybiegającym domagają się wolności i reformy w szkole, a ta wolność i reforma polega na wyzwoleniu się z pod wpływu Kościoła, na przemianie szkoły katolickiej na bezwyznaniową; lecz płonne ich nadzieje póki istnieje rodzina chrześcijańska, stojąca na straży wiary; ona jest siłą odporną, o nią jedynie mogą się rozbić pociski, wymierzone przeciw Kościołowi, ją najpierw muszą obezwładnić, by skutecznie natrzeć na wiarę i dla tego nienawiść religii łączy się z nienawiścią rodziny chrześcijańskiej.

Oto objawy najbardziej zastraszające i najbardziej grożące rozprężeniem rodziny, idee rewolucyjne wypowiadające wojnę

tradycji, łączącej rodzinę ze społeczeństwem,
własności, łączącej rodzinę z ziemią
i religii, łączącej rodzinę z niebem,

a w ten sposób podkopujące z dniem każdym jej podstawy. Szermierze tych przewrotowych dążeń nie zawsze przyznają się do napaści na rodzinę — i cóż dziwnego? wszak napadają na to, czego od tylu stuleci strzeże miłość i cześć; zresztą obluda to nieraz najpewniejsza broń — łatwiej zdobyć twierdzę, na którą w pochodzie zdawało się nie zwracać uwagi.

Ojcowie i matki pamiętajcie! ognisko domowe współ z wiarą w niem królującą, to największa świętość ludzkości — czyż można je kalać bez wywołania okrzyku oburzenia i zgrozy?

Przeto każdy, knujący przeciwko nim zdradę, musi choć czasowo nałożyć maskę fałszu, tem dla nich niebezpieczniejszą, że nie widząc w zbliżającym się wroga, nie przeczuwając zasadki, mogą w chwili napaści być nieprzygotowani, bezsilni.

Podkopywanie fundamentów rodziny nie ustaje; ta praca podziemna ciągle postępuje, bo już nie geniusze-niszczyciele, ale całe roje najmniejszych robotników przewrotu, drażą pod naszymi stopami podstawy zasad i prawdy objawionej. Jeżeli nie chcecie, by ziemia osunęła się z pod nóg waszych, by wasze ogniska zagasły, wstrzymujcie u progu domów waszych idee rewolucyjne, filozofię i literaturę rewolucyjną, bo jeżeli one w dom wasz wejdą, w ślad za nimi przyjdzie i zniszczenie. I oto pierwsza dziś oznaka upadku rodziny: prądy rewolucyjne wciskają się do ognisk waszych.

II.

Nie same doktryny rewolucyjne podkopują dziś rodzinę — współpracują z niemi obyczajowe.

Spójnia rodziny i obyczajów jest ścisła; obyczaje są wytworem rodziny — rodzina podlega oddziaływaniu obyczajów; pycha, chciwość, zmysłowość, pożyteczność we wszystkich przejawach naruszają ich czystość i całość, bo rozwijają w człowieku egoizm zabijający ducha życia ro-

dzinnego. Należałoby właściwie przedstawić wam teraz ogólny obraz współczesnych obyczajów w stosunku do postępu w rodzinie, a mogący streścić się w jednym najwstrętniejszym słowie: egoizm. Nie będziemy jednak zatrzymywać się nad tem, co ma cechy więcej ogólne, ograniczymy się do tego, co najbliższej dotyczy rodziny; otóż najbliższej jej dotyczy to, co ją stwarza: małżeństwo.

Małżeństwo, to akt założenia rodziny; jeżeli obyczaje odnośnie do małżeństwa psują się, rodzina również się psuje. Zapytajcież się sami siebie, jak u was jest pod tym względem? Czy małżeństwo pozostało takim, jakim je uczynił Chrystus? Czy w takim małżeństwie, jakie wy tolerujecie, rodzina może się podnosić? Nie, bo poruszając tu to tylko, co się wspólnie daje omawiać, spostrzeżemy trzy główne czynniki ściśle związane, a psujące rodzinę przez zepsucie małżeństwa: wasze obyczaje utrudniają zawarcie małżeństwa, spaczają małżeństwa zawrzeć się mające, kalamaj małżeństwa już zawarte.

Jednym z głównych symptomów upadku obyczajów i rozprzężenia rodziny, to trudność zawierania małżeństw. Nie zauważyliście, jak trudność ta z każdym dniem rośnie, staje się czasem niemożebnością? Czyż nie jest to troską każdej matki, mającej dziecko nieskazane jeszcze tchnieniem zepsutego wieku? A gdy syn wasz, żegnając lata młodzieńcze, dochodzi już trzydziestki, gdy nadeszła chwila założenia własnego ogniska, jaki lęk jego i was ogarnia? Skąd u was ten niepokój? czemu syn wasz ciągle od racza chwilę stanowczą? Bo oto w czasach roz-

luźnienia obyczajów strach przed małżeństwem staje się coraz ogólniejszym, wzrasta systematycznie.

Zamiast uważać małżeństwo jako przystań, spokój, ozdobę życia, synowie wasi uważają je jako jarzmo, któremu wcześniej czy później trzeba poświęcić wolność.

Opisują, że gdy w starożytnym Rzymie rozwiąłość doszła do kulminacyjnego punktu, stronienie młodych Rzymian od małżeństwa stało się poważną troską Republiki. Prawo — jak mówi pewien publicysta — przypierało, napastowało nieżonatych, by ich tylko nakłonić do małżeństwa, do założenia rodziny — daremnie, nieżonaci opór stawiali. Historia poświadcza, że August dla zachęty, nagrody dla żeniących się ustanowił. »Rzymianie z nich nie korzystali, nieżonaci pozostawali nieżonatymi mimo nalegania prawa, mimo łask władcy«.

Pod tym względem i dzisiejsze społeczeństwo przedstawia wybitne cechy upadku, i gdyby dłużej poszło tą drogą, niezbytbym się dziwił, gdyby wzięto się na podobne jak w Rzymie sposoby celem zaradzenia złemu.

Musimy teraz zadać sobie pytanie: w czym leży przyczyna złego, gdzie zakorzeniona? Nie możemy dziś, jak niegdyś Cezar naprawiać powierzchownie, trzeba leczyć gruntownie.

Miedzy licznymi powodami dwa najwidoczniejsze: rozpusta mężczyzn, zbytek kobiet; u jednych egoizm zmysłowości, u drugich egoizm próżności. Przyznaję, że jedni i drudzy grzeszą w obu kierunkach, lecz tak mężczyznom, jak i kobietom chcę zaznaczyć najjaskrawsze ich winy.

Tak, oczywisty powód stronienia od małżeństwa przygotowujące rozprzężenie rodziny to rozpusta mężczyzny, to niczem niehamowana pogoń za uciechami egoistycznymi, to uprawianie łatwych miłostek, tak żądnych ciągłej zmiany, tak nieznoszących jarzma stałych obowiązków. Czyż trzeba więcej słów tam, gdzie żywy przykład ciągle oczom się nasuwa? Rzadkość życia czystego i niewinnego, panowanie żądz cielesnych, uznane jako przywilej młodości, miłostki nawiązywane nieprzerwanie jak ogniwa łańcucha, a rzucane dla nowego szału i pragnące dla namiętności swobody, niczem niekrępowanej, zmysły nieumiejące nawet ustalić przedmiotu swych pragnień: oto dzisiejsze obyczaje. Jakżeż więc rodzina, przybytek czystych obyczajów, w niewinności jedynie mogąca rozkwitać, nie odczułaby tego ducha czasu? Jakże młodzi ludzie, uniesieni tym szałem i upojeni czarą rozkoszy, nie mają stronić od małżeństwa? Że kalają najpiękniejsze lata młodości, to mnie nie dziwi, bo wszak ohydę stale mają przed oczyma; widzą ją w teatrze, znajdują w książkach, o niej pouczają skandaliczne rozprawy sądowe, wyciągające publicznie na światło dzienne najgorsze brudy życiowe. A jeszcze mniej dziwię się, że syn wasz hulaka stroni od małżeństwa, nakładającego poważne obowiązki, że straciło ono dlań urok, gdyż serce zużyte niegodnymi uciechami, niezdolne już kochać.

Niejedna młoda dziewczyna, której życie okazało już całą swą brzydotę, wzdryga się na myśl małżeństwa, woli nieraz samotność lub ciężko zapracowany kawałek chleba, niż zwią-

zanie życia swego z człowiekiem, który do ogniska domowego nie miałby może nic do wniesienia prócz zużycia, ruiny fizycznej i moralnej.

Lecz, jak już wzmiankowaliśmy, to nie jedyny powód wszystkiego złego; ciężar odpowiedzialności ponoszą i kobiety. Szalony ich zbytek, spowodowany próżnością, grozi ostateczną ruiną przygotowaną już rozpustą mężczyzny. Synowie, wasi tak nie liczący się z groszem, tak nieznający jego wartości, gdy chodzi o zaspokojenie własnych wybryków, stają się dziwnie biegłymi rachmistrzami, gdy chodzi o obliczenie, ile corocznie pochłona fantazyje żony. A cóż będzie, gdy do zwykłych rocznych wydatków przybędzie jeszcze cyfra niezbędna dla zadowolenia, wystrojenia paru córek wcześniej wstępujących w ślady matki? To też wiercie mi, że to raczej z przestrachem, niż z przyjemnością młodzi ludzie obserwują przepych, którym kobiety chcą ich olśnić i myśla! »To piękne, lecz zbyt drogie — na takie wymagania przeciętny mój dochód, to kropla w morzu. Ano czekajmy jeszcze! zawsze dosyć czasu na taki podatek z każdym rokiem wzrastający, a prowadzący do niechybnej ruiny«.

Tak rozumują młodzieńcy najrozrzutniejsi i trudnoby ich przekonywać, że rozumowania błędne, a obliczenia fałszywe.

Inni może trochę późno, to prawda, lecz chcą się ustatkować, zacząć życie spokojne a wygodne; lecz ponieważ znalezienie dożgonnej towarzyski, która do tych wymagań chętnieby się zastosowała, nie mając ambicji błyszczenia, dosyć trudne się okazuje, woli do końca życia pozostać bez tego ogniska, które go tak drogo

kosztuje, a często miasto ciepła rodzinnego sprostawa pod dach ruinę.

Dla tego też coraz więcej napotykamy ludzi uchylających się od małżeństwa i to stanowi pierwszy cios, jaki dzisiejsze obyczaje zadają rodzinie.

Ale otóż i drugi: współczesne obyczaje pacza małżeństwa zawrzeć się mające.

Istnieje choroba wieku niedosyc zaobserwowana, która wgryza się w łono rodziny, jak robak w owoc. Tą chorobą, tą raną coraz bardziej jątrzącą — to małżeństwa źle dobrane. Popelnia się tu lekkomyślności, szaleństwa wprost nie do darowania. Gdy przychodzi chwila, by przez odpowiedni związek ustalić przyszłość dziecka, rodzice, zbyt często niestety ulegający wpływowi ducha czasu, wpadają w wir nedorzecznosci. Próżność jednego pociąga nazwisko, ród, drugiego znów majątek; jedno ubiega się za rodowodem, drugie za bogactwem, a oboje w tych jednostronnych poszukiwaniach zapominają najczęściej o tem, co powinno być na pierwszym planie: o zaletach duszy, o skłonnościach ich serca. Nazywają to »małżeństwem z rozsądku«, gdy przeciwnie należałoby nazwać małżeństwem bez rozsądku, bo tam, gdzie dla fałszywych kombinacji, bądź dla nazwiska, bądź dla majątku, poświęca się serce, duszę, szczęście dziecka — jakąż rolę może grać rozsądek? zamyka się oczy, zasłania się twarz, by nie widzieć przepaści, do której się wtrąca najdroższą istotę.

Nie o to nam chodzi, by łada poruszenie, które w danej chwili odczuło młode, niedoświadczone serce, miało decydować o dożgonnym zwią-

zku; tem mniej pragniemy, by chwilowe uniesienie miało przewagę nad radą i poważnem zastanowieniem starszych; lecz co uważam za szaleństwo zgubne dla rodziny i społeczeństwa, to ten głos przeważający, a czasami jedynie znaczenie mający, który się daje wyrachowaniu, próżności tu, gdzie przedewszystkiem za małżeństwem przemawiać powinien: wspólny szacunek i miłość wzajemna.

Widzimy dziewczę, którego czyste serce rozchyła się do pierwszego uczucia, jak kwiat do pierwszych promieni słonecznych. Jej dusza, rozkwitając, czar młodości roztacza, a w pragnieniach nieuchwytnych przyzywa to, czego nazwać jeszcze nie umie. Czegoż trzeba temu dziecku? Oto duszy jak jej dusza i serca jak jej serce; duszy ze skarbem niewinności i serca ze skarbem uczucia; bez tego wszystko inne dla niej jest niczem; najsławniejsze nazwisko, najliczniejsze miliony nie zastąpią jej tego braku.

Ojciec i matka! jeżeli Opatrzność uchroniła was samych od tak smutnego losu, strzeżcie się, by kiedyś gorzkie łzy dziecka waszego nie były wam zbyt późną nauką, a jego złamane życie nie zaciężyło wam spóźnionym żalem.

Bo i cóż wyradza się zwykle z tych małżeństw niedobrych, z tych związków, na które sama natura się oburza? smutek zawsze, zbrodnie często, krwawy dramat niekiedy.

Następstwem małżeństwa w ten sposób spalonego bywa jego skalanie. Oto żyją obok siebie dwie dusze, przez próżność lub wyrachowanie rodzicielskie, złączone węzłem nierozzerwalnym, dożgonną przysięgą. Akt prawny, normu-

jący ich stosunki materyalne, nie mógł unormować harmonii ich pożycia. Nie kochają się, a wzajemny szacunek, o ile istnieje, nie zbyt hojnie zastąpi brak miłości. Przymusowe, codzienne z sobą przebywanie, jest dla ich serc zawiedzionych gorsze, niż samotność; nuda i tęsknota staje murem między nimi. Nie posiadają zupełnie warunków koniecznych do wspólnego pożycia, zbliżeni przestrzenią, czują tem silniej dusz swoich oddalenie; jeżeli głos obowiązku w nich nie zamarł, to w najlepszym razie ideał, którego dosięgnąćby chcieli, przedstawia się bardzo smutno: to ideał wspólnego znośnienia się. A praca to ciężka, dusza łatwo słabnie, serce szczególnie cierpi nad tem nieustannem zwalczaniem siebie — i gdy do tej lodowatej atmosfery domowej dotrze z zewnątrz najłżejszy powiew ciepła, pokusa może być zbyt silna dla tych dwojga serc, które dotąd sobie obce pozostały. Jeżeli na domiar nieszczęścia prądy współczesne za pomocą książki wśliznęły się do domu, to dochodzą ostatecznie do wniosku, że nie można przecież skazywać się na żywotne cierpienie, że może nie jest tak wielkim występkiem, jak się niektórym zdaje, szukać poza małżeństwem szczęścia, którego w niem znaleźć nie można — i serce, które się już na całe życie z innem związało, marzy teraz o nowym związku, czuje przechodzące pierwsze tchnienie miłości nielegalnej, jak czuje się w powietrzu powiew, zwiastuna burzy.

A wtedy co następuje? zbrodnia obraży majestatu rodziny wchodzi, by jako wróg - niszczyciel ognisko rodzinne sprofanować, skalać, zbu-

rzyć. Zbrodnia, która dawniej w społeczności chrześcijańskiej występowała nader rzadko, zostawiając w rodzinie, którą dotknęła niezatarte piętno hańby, dziś wchodzi między ludzi o tak wytartem czole, że niezdolnych nawet do rumieńca wstydu. Zbrodnia ta, napiętnowana przez wszystkie cywilizacye i wszystkie narody, dziś domaga się prawa bytu, rehabilitacyi; dawniej chyłkiem wślizgiwała się w progi rodzinne, dziś nie otacza się już tajemnicą, nie boi ani światła jawności, ani rozgłosu, owszem beczelnie się przyznaje, rzuca w oczy, tryumfuje niemal.

Oto, w jaki sposób dzisiejsze obyczaje rozrywają spójnię rodziny; a przecie nie wzmiankowałem o tych wyjątkowych rodzajach hańby, poniżających ją. Zapuszczam zasłonę na tę sromotę, którą ludzka sprawiedliwość czasem dosięga — ona jedna ma prawo nazwać ją po imieniu, bo ma obowiązek zważyć ją na szali sprawiedliwości i mieczem swym dosięgnąć jej. Gdybym wam odsłonił brudy, które społeczeństwo kryje nieraz w swych cieniach, dowiedzielibyście się, że to, coście sądzili na wieki pogrzebane w mrokach pogaństwa, spotyka się dziś tam, gdzie do niedawna czczono Chrystusa. Lepiej nie tykać tych okropności, gdzie rodzina spiskuje przeciw rodzinie, ojcostwo przeciw ojcostwu, życie przeciw życiu — takie dotknięcie skalać może.

III.

Przekonaliśmy się już, że zepsucie obyczajów i błędna nauka rewolucyjna powoduje dziś

poniżenie rodziny, zagraża rozluźnieniem jej węzłów — jest prąd jeszcze groźniejszy, to prąd życia społecznego. Rodzina bezpośrednio działa na społeczeństwo, społeczeństwo zaś wpływa na rodzinę i dla tego waham się powiedzieć, że najbardziej zastraszające oznaki upadku rodziny tkwią głównie w społecznych tendencjach naszej epoki. Nie myślę tu bynajmniej ani o formie, ani o przebiegu polityki rządów współczesnych; przez tendencje społeczne rozumiem stosunki zewnętrzne, w które fala życia porywa ludzi składających społeczeństwo, a fala życia społecznego, taka, jaką dziś widzimy, zdaje się dążyć do podcięcia korzeni prastarej instytucji — rodziny, tak, jak potok rwący powoli, lecz nieustannie i skutecznie niszczy korzenie drzew, o które wody swe rozbija.

Szukałem słowa, któreby mogło wszystkie tak różnorodne, a tak zgodnie do zagłady rodziny prowadzące dążenia określić — słowo streszczające w sobie ogół tych zgubnych prądów to: ciągłe zmiany.

Rodzina jest z istoty rzeczy stałą, niezmienną, ciągłą w swem trwaniu; żyć razem pod jednym dachem, pod jedną władzą — odradzać się jedni przez drugich w podobnych warunkach — rozwijać się w tej samej atmosferze, przyjmując te same tchnienia — znaczyć wreszcie wspólnymi siłami powoli, a spokojnie ciągły postęp, oto rodzina: to życie w tradycji, to ruch w stałości.

Owóż śledząc prądy naszego życia społecznego spostrzegamy w niem skrajne przeciw-

stawienie ducha rodziny: zmienność, niestałość, naruszanie ciągłości.

Ludzie i narody ogarnięci są jakąś przerażającą potrzebą ustawicznej zmiany warunków, stanu, miejsca nawet, a te ciągłe zmiany powodują ciągłe osłabienie i chylenie się do upadku rodziny. Nie zauważyliście sami z dziwnem uczuciem lęku tych niesłychanych wahań i zmian majątkowych, tej niestałości posiadania nieznanej ojcom waszym, a grożącej dziś wszędzie społeczności domowej, kwestyonującej jutrzejszy byt tysiąca rodzin? Nie odczuliście, jak dziś wszystko chwieje się, ulega kapryśnym podmuchom fortuny? I cóż uderza w tym ruchu gorączkowym, unoszącym całe pokolenia żadne zmiany, rwące się do nowych, nieznanych światów? Oto wstręt do pracy stałej, płodnej, ale powoli zdążającej do celu, do dobrobytu; namiętność zdobywania bogactw spekulacją, szczęśliwym zbiegiem okoliczności, śmiałością i ryzykiem przedsiębiorstwa, lekkomyślne niedocenywanie wartości ziemi, a szalona pogoń za zbyt ruchomym i szybko toczącym się pieniądzem: oto dążenia naszej epoki tak ogólne, że niewiele znajdzie się rodzin, któreby, zaprzeczając duchowi czasu, ponad wszystko ceniły imię, dziedzictwo i święte tradycje z krwią przejęte.

A jakież wyniki tych tak nagłych, że graniczących niemal z niemożliwością, zmian stosunków majątkowych? To wstrząśnienia niespodziane, w jednym dniu burzące w rodzinie tradycję stuleci, a często rozrywające nawet węzeł rodzinny; to szalone skoki, stawiające dziś

raptownie na najwyższym szczeblu majątkowym wczorajszego biedaka, lub spychające bogacza na dno nędzy; to wybrańcy losu lub ofiary; szczęśliwcy wstydzący się swych najbliższych, lub nieszczęśliwi, których najbliżsi się wstydzą, a jedni i drudzy zadają rodzinie jednakie ciosy i jednakie rany.

Z tych nagłych zmian stosunków majątkowych wypływa dążność do innych zmian; z jakąż gorączką ludzie naszej epoki rwą się do zmiany stanu, sfery, w której dotychczas żyli. Człowiek urodzony i wychowany na wsi, myślą zwraca się do miasta; robotnik, rzemieślnik wielkomiejski za cel swych marzeń uważa stan wolny; nawet ludzie zamożni, niezależni, ze swego stanowiska niezadowoleni, dążą do jeszcze wyższych sfer. Człowiek przez Opatrzność przeznaczony do pług, do obrabiania ziemi ojczystej, zaopatrywania ludzi pracą rąk swoich, na przebój rwie się do pracy umysłowej, do pióra, do sławy; mógł być znakomitą siłą roboczą, zdolnym rzemieślnikiem, prawdziwie użytecznym członkiem społeczeństwa — zostanie bezdusznym autorem, marną umysłowością, może rozsądnikiem zepsucia. A jakimi drogami nie poszedłby, wyszedłszy ze swej sfery, najczęściej rodzina przestaje istnieć dla niego; węzły się zrywają; gdy na drodze do majątku noga mu się pośliznie, wyprą się jego, jeżeli mu się poszczęści, on swoich się zaprze; na drodze sławy dumny ze swego powodzenia, zapomni o swem pochodzeniu, a strzechy ojczysta i ognisko domowe straci bezpowrotnie swój urok. Nie wykluczamy możliwości wyjątków, owszem, my dziś chlubimy się ludźmi

talentu i pracy, którzy wyszedłszy z pod ubogiej strzechy nie tylko z nią nie zerwali, owszem rzucili na nią jasny snop światła, ale to tylko wyjątki, ale to ludzie, w których duszy tlała prawdziwa iskra Boża! lecz te całe zastępy, zrywające się jak ptaki do lotu, a którym niestety skrzydeł braknie?

Ludzie dzisiejsi nie tylko dążą do zmiany stosunków majątkowych, lecz i do zmiany miejsca, słońca, nieba. Dzięki udoskonaleniom naszych czasów, nieznanym dziadom naszym, wzmoгло się życie i ruch w społeczeństwie, lecz z najwspanialszych zdobyczy naukowych, zastosowanych do życia praktycznego, można źle skorzystać. Wynik tej łatwości przenoszenia się z miejsca na miejsce może się dla rodziny zgubnym okazać; ludzie stają się gośćmi we własnym domu, urok ciągłej zmiany miejsca pobytu przewyższa urok zacisza domowego, ruch pociąga i życie urabia się w nieustannym przypływie i odpływie wrażeń i ludzi na życie wprost koczownicze. Hotele, nieledwie codziennie zmieniane, stają się stałym mieszkaniem, wrażenia i twarze, przesuwające się jak w kalejdoskopie, zacierają stopniowo wrażenia przeżyte w domowym ognisku i tych, którzy przy niem pozostali.

Lecz istnieje jeszcze jedna dążność groźniejsza, według mnie od poprzednich dla przyszłości rodziny, a to dążność usuwania dzieci z ich miejsca rodzinnego, odrywanie ich zbyt wczesne i zbyt długie od domowego ogniska. Wszystko składa się na to, by coraz bardziej usuwać dzieci i młodzież od wpływu rodzicielskiego: karyery, instytucje, wychowanie samo.

Czem dziś są karyery z punktu widzenia życia rodzinnego? przyspieszeniem samoistnego życia, zmuszeniem rodziców do rzucania dzieci w wir wielkomiejskiego życia, zanim zdolali zahartować je do niebezpieczeństw tegoż życia. W latach, gdy tak zło, jak i dobro najłatwiej i najsilniej zakorzeniają się w młodej duszy, wysyła się młodzież, by stawiała czoło burzom wszelkich namietności, stykała się z wszelkiem zepsuciem, tak przemożnie władającym w wielkich miastach. Tęgo wymaga nasz wiek — to sprowadza ruinę rodzin.

Czem dziś są z punktu widzenia życia rodzinnego instytucje dobroczynne, dzieła z miłosierdzia wypływające? One też, mimo woli zapewne, przeciwdziałają rodzinie, odrywając od miłości i opieki rodzicielskiej dzieci najmniejsze, maleństwa potrzebujące troskliwości ojca i pieczyoty matki, jak kwiat, potrzebuje rosy od żywoczej i promieni słońca. Zakłady te, w założeniu swem dobre i pożyteczne, jako pomoc niesiona w wyjątkowej potrzebie, łatwo zamieniają się w szkodliwe, gdy zamiast ograniczyć się wyłącznie na usługi biednych, by uzupełnić nad dziećmi opiekę, tak często niewystarczającą, a często całkiem niemożliwą — służą dla wygody majątnych, zwalczając ich z kłopotliwego zajmowania się dziećmi i popierając tem samem ich egoizm i lekkomyślność. Działalność ujemna stanowczo przewyższyłaby dodatnią, gdyby ochronki, jako zakłady ogólnie przyjęte i uznane ubiegały się o wychowywanie, które według planów, mądrością Bożą nakreślonych, jedynie

przez rodziców może być w całej swej rozciągłości i doskonałości uskutecznione ¹⁾.

Wychowanie tymczasem przybiera coraz bardziej charakter wyłącznie publiczny; wychowanie, ten główny obowiązek rodziny, jak się dzisiaj przedstawia? umniejsza z dniem każdym, znosi prawie wpływ rodziców na dzieci w wieku, gdy wrażenia są najgłębsze, a serce i umysł tak podatne i wrażliwe, że jedna chwila może decydować niemal o życiu całem.

Pensjonaty, zakłady gromadzące tłum dzieci oddalonych od domowego ogniska, by dać im wychowanie i wykształcenie odpowiednie, przedstawiają względną wyższość; dobre gdy dają młodym duszom i umysłom to, czego rodzice sami nie byliby w stanie im dostarczyć; lecz abstrahując warunki i sytuacje dość liczne i których zaprzeczyć nie sposób, gdzie wychowanie domowe wprost niemożliwe, idąc za głosem prawdy, muszę powiedzieć: pensjonaty dobre, najlepsze nawet, są z punktu widzenia życia rodzinnego zupełnie nieodpowiednie, mają bardzo złe strony, z nich jedną tylko nadmienię: zawczasie przyzwyczajają dzieci wasze do obchodzenia się bez was, bo w wieku, gdy uczucie budzi się dopiero, gdy życie jeszcze nieskalane, w kwiecie pierwszego uczucia największe skarby zawiera i w pierwszym rozkwicie

¹⁾ Powyższy ustęp nie ma zastosowania w stosunkach Galicyjskich, gdzie ochronki skupiają tylko biedne dzieci, natomiast to, co autor francuski pisze o swym kraju ojczystym odnosi się również i do naszych stosunków w innych zaborach, n. p. w Królestwie Polskiem, gdzie ochronki rozpowszechnione i do użytku zamożnych służą.

największe budzi nadzieje. Szczęśliwie jeszcze, jeżeli w tych zakładach, gdzie zdala od waszych serc dzieci mają czerpać podwójny skarb wiedzy i zasad, znajdą dobrotliwą ręką Boga przygotowane dusze, zdolne zastąpić im wasze dusze, szczęśliwie przedewszystkiem, jeżeli wiara wszczepi im tam uczucia głębokiego poszanowania, posłuszeństwa i miłości dla was, uczucia, które tylko wtedy w pełni daje się rodzicom, jeżeli od zarania życia nauczyło się dawać je Bogu.

Lecz jeżeli jest inaczej, jeżeli dzieci z wami rozłączone nie znalazły się pod wpływem głębokiej wiary i macierzyńskiego poświęcenia, to wychowanie zdala od was, bez was, a może przeciwne woli waszej nie byłoby kształtowaniem życia, byłoby niestety jego spaceniem, zniszczeniem. I gdy po latach, dziecię wasze powróciłoby pod ten dach rodzinny, który niegdyś zęgnało czyste i kochające, odczulibyście w niem coś dziwnie obcego, chłodnego, przykrego i zrozumielibyście, że wychowanie, w odległym źródle czerpane, zrujnowałoby waszą poprzednią pracę — i z lękiem patrzylibyście w przyszłość waszego dziecka.

Nie tu miejsce rozbierać poszczególne te fakta i obmyślać, jak zażegnać te niebezpieczne chmury, wiszące dziś nad rodziną; może mniej gorączkowo rwać się do kariery — może opóźniać czas rozłąki z dziećmi tak potrzebującymi waszego kierownictwa i serca, a starać się o czas i uzdolnienie, by urobić dla ojczyzny najprzód człowieka, a potem dopiero urzędnika, obrońcę, dostojnika.

Zapominamy, iż dla rodziny i społeczeństwa najważniejszym jest, żeby jednostka każda, nim zostanie obowiązkiem urzędnikiem, dzielnym żołnierzem, godnym dostojnikiem, była przede wszystkim — człowiekiem.

A jak zaradzić tej smutnej, a często nieuniknionej konieczności wychowania poza domem rodzicielskim — co czynić, by odpowiedzieć wszystkim wymogom społeczeństwa bez uszczerbku dla rodziny?

Może szukać sposobu, by wychowanie domowe połączyć z publicznem, by zawczasu w jasnych i ciepłych promieniach ogniska rodzinnego wdrażać dzieci do życia społecznego, w świetle wiary i miłości wskazywać jego drogi i cele, hartować do przyszłych walk i trudów.

Jakieby nie było rozwiązanie praktyczne tego problemu, to jedno pewne, że koniecznie trzeba coś uczynić, by zmienić nie tylko w wychowaniu, w karierach, ale we wszystkich stosunkach życia społecznego niżej zaznaczonych, tę ogólną dążność do rozrywania rodziny, której istnienie nie polega na łączności, miłości, stałości.

Jest jeszcze jedna oznaka upadku rodziny — zostawiłem ją na koniec dla tem uważniejszego zastanowienia się nad nią tych, którzy chcą i umieją myśleć, gdyż uważam ją niejako za streszczenie oznak już omówionych, to wzmagająca się dążność tworzenia związków sztucznych, w miejsce związków opatrnościowych, naturalnych, to szerokiem łożyskiem rozlewająca się fala ruchu socjalistycznego.

W dzisiejszych czasach widzimy dwa kierunki na pozór sprzeczne, wręcz przeciwne, krań-

cowe, a w istocie ściśle związane i zarówno groźne dla rodziny: egoizm i socjalizm.

Egoizm zamykający się w sobie, bezpłodny, antyspołeczny — i jako taki wróg rodziny — jest w pokoleniach, które zapoznały naukę Chrystusa naturalnym wynikiem ich doktryn i obyczajów rozwiązyłych, to niszczytel rodziną od 18-go wieku do dziś dnia ruiną znaczący swą drogę. W naturze ludzkiej leży, że człowiek z jednego nadużycia wpada w drugie, z jednej krańcowości w drugą, a szczęśliwie uniknąwszy jednej przepaści, niechybnie stacza się w drugą.

Z egoizmu, sięjącego tylko zniszczenie i śmierć, powstała w pokoleniach nowych, żadnych życia reakcja uzasadniona, lecz która przekraczając granice, okazała się jeszcze zgubniejszą dla rodziny — tą reakcją był socjalizm.

Socjalizm jako nadmierne podniesienie strony społecznej w życiu ludzkim, socjalizm powiewający sztandarem o hasłach wzniosłych, lecz źle tłómaczonych, ukrywa w swem łonie groźne rozsądki zniszczenia.

Jest on zwolennikiem skojarzeń dowolnych, sztucznych, często niedopuszczalnych, a w łonie swem nosi zarodek nienawiści do skojarzeń naturalnych jak rodzina.

Rodzina tedy i socjalizm, to dwa bieguny świata społecznego, odpychające się wzajemnie; obniżenie ducha rodziny znaczy postęp socjalizmu, postęp socjalizmu znaczy upadek rodziny. Miłość rodziny jest nieprzyjaciółką socjalizmu, tak, jak socjalizm wrogiem rodziny; on pragnie zagarnąć wasze dzieci, by uczynić z nich, jak to szumnie nazywa, ludzi dla społeczeństwa, chce

zabrać wasze dobra, by obdarować niemi hojnie społeczeństwo, chce w ręce swe ująć wychowanie, aby była jedna szkoła, jak ją obłudnie nazywa szkoła społeczeństwa. Czuje, że rodzina to ostatnia przeszkoda pochod jego wstrzymująca — usiłuje zatem ją osłabić, by potem obalić.

Jeżeli węzły rodzinne i nadal będą się rozluźniać, tryumf socjalizmu jest zapewniony, bo człowiek, stworzony do życia towarzyskiego, wspólnego, a odrzucenie związków naturalnych, faktycznych, prowadzi go samo przez się do szukania związków zrodzonych w wyobraźni.

Nadchodzi zatem chwila wyboru między rodziną, społecznością naturalną, instytucją Bożą, a socjalizmem wytworem sztucznym, dziełem ludzkim. Wybór nasz postanowiony: nie znamy socjalizmu wczoraj zrodzonego, a dziś już mającego cechy przeżycia, lecz znamy rodzinę zrodzoną sześć tysięcy lat temu, a do dziś dnia młodą, rodzinę, podstawę porządku społecznego, uznajemy taką, jaką była stworzona na początku i jaka została odnowiona przez Słowo Przedwieczne dla dobra, szczęścia i postępu ludzkości.

CZWARTA KONFERENCYA.

Postęp rodziny przez małżeństwo chrześcijańskie.

Wykazaliśmy już, czym jest rodzina w stosunku do społeczeństwa, czym Chrystus w stosunku do rodziny — rozeznaliśmy w prądach życia współczesnego symptomy rozluźnienia węzłów rodzinnych, przepowiadające niejako jej upadek. Zaznaczyliśmy na polu naukowem filozofię rewolucyjną, podkopującą podstawy społeczeństwa domowego przez systematyczne nacieranie na tradycję własność i religię, trzy zachowawcze pierwiastki rodziny; na polu moralnem obyczaje współczesne utrudniające, paczące i rozrywające małżeństwo, a przez to samo niszczące rodzinę — na polu społecznem dążenia do ciągłych zmian, czego ostatecznym wynikiem ruch socyalistyczny, dążnością do związków sztucznych, zagrażający rodzinie jako arcydziełu związku naturalnego.

Obnażyłem ranę dotkliwą, silnie jątrzącą, a ponieważ doktryny budują i doktryny burzą, uważam za odpowiednie przejść teraz do wiel-

kich zachowawczych czynników rodziny — zaczynam od tego, co stanowi samo źródło rodziny, jej istotę — od związku ojca i matki.

Naturalną podstawą rodziny, twórczym jej pierwiastkiem jest związek mężczyzny i kobiety; rzeka życia ludzkiego wypływa z tych dwóch źródeł, stanowiących jedno. Lecz aby związek dwojga ludzi osiągnął swój wyższy cel, stanął na szczycie doskonałości i piękności, musi posiadać dwa warunki: jedność i nierozzerwalność, to znaczy być związkiem między jednym mężczyzną i jedną kobietą i na zawsze. Brak pierwszego warunku wytwarza polygamię, brak drugiego, rozwody. Wydawałoby się pożądanem traktować kaźden z tych rozkładowych czynników rodziny osobno — lecz to utrudniłoby nam jasny pogląd, gdyż w rzeczywistości jeden czynnik z drugiego wypływa, jeden z drugim ściśle się łączy, rozwód prowadzi do poligamii i łamie jedność rodziny, łamiąc nierozzerwalność węzła małżeńskiego. Zresztą poligamia w oczach kaźdego chrześcijanina jest rzeczą tak naganną, że wyklucza konieczność osobnego jej omawiania.

Przystąpimy zatem odrazu do nierozzerwalności małżeńskiej i do rozwodu, będącego jej zaprzeczeniem. Zbadamy, jaka nauka zabezpiecza dogmat nierozzerwalności, zbadamy, czym jest rozwód sam w sobie i w następstwach, wynikających dla postępu lub upadku rodziny i społeczeństwa.

I.

Zbliżamy się do sprawy najdrażliwszej, a zarazem najbardziej decydującej dla rodziny; lecz

zanim przystąpimy do samego rozwodu, wejrzymy, kto właściwie ma władzę utrzymywać surową naukę nierozzerwalności małżeńskiej.

Wyjawszy dwa poszczególne wypadki, nie mające zresztą w danym razie większego znaczenia, Kościół katolicki twierdzi, a każdy katolik obowiązany wierzyć, że małżeństwo chrześcijańskie jest Sakramentem, nadającym związkowi mężczyzny i kobiety piętno trwałości, której żadna moc nawet Kościół nie może rozerwać; że węzeł małżeński mocą Bożego prawa nierozzerwalny — przez śmierć tylko może być zerwany.

W przedmiocie tak wielkiej wagi nie zadowolimy się prostym powtórzeniem zdania Kościoła, lecz postaramy się udowodnić jego twierdzenie, wykazując, że w tym wypadku jak i we wszystkich innych, jedynie Kościół stoi na straży czystości i niezmienności nauki Chrystusowej.

Na początku — mówi Pismo — stworzył Bóg mężczyznę i kobietę »*masculum et feminam fecit eos*«. Dla wyraźniejszego zaznaczenia głębokiej jedności, którą chciał ustanowić między nimi, wyprowadził kobietę z mężczyzny i rzekł: »Rośnijcie i mnożcie się i napełnijcie ziemię«. Jak dopełnił się ten cud, który wsławił kolebkę naszego rodzaju? Bóg spuścił na Adama tajemniczy sen, a podczas, gdy spał, utworzył z żebra jego kobietę, tchnął w nią duszę i dał Adamowi za żonę — Adam zaś uradowany, widząc w drugiej istocie rozkwit własnego życia, zawołał: »oto kość z mojej kości, ciało z mego ciała«. »Dla tego — dodaje Pismo — opuści człowiek ojca i matkę swoją

i złączy się z żoną swoją i będą dwoje w jednym ciełe«.

Oto pierwsze ustanowienie małżeństwa przy narodzinach ludzkości. Prawodawstwo mojżeszowe nie miało zamiaru, jak to nieraz mylnie podają, niszczyć tej instytucji jedności i nierozzerwalności małżeńskiej; prawodawca izraelski upoważniał, to prawda, mężczyznę do porzucenia kobiety niewiernej swej przysiędze — lecz Pismo i tradycja wykazuje, że było to tylko ustępstwo czasowe.

Dokumenta ówczesne udowadniają, że synagoga starożytna uważała za niegodnego w oczach Jehowy tego, kto korzystał z pozwolenia mojżeszowego odtrącenia żony, głośno wyznawała, iż sam Jehowa łączy małżonków i nie chce, by święte imię Jego towarzyszyło rozwodom. I rzecz szczególna, ci kapłani i doktorowie, którzy ilekroć chodziło o zachowanie najdrobniejszego przepisu prawa, odznaczałi się drobiazgowością i skrupulatnością, graniczącą niemal z przesadą — gdy chodziło o zastosowanie prawa pozwalającego na rozwód, okazywali stanowczy opór.

Chrystus bynajmniej nie gani tego zachowania kapłanów izraelskich, przeciwnie, uroczyście cofa pozwolenie mojżeszowe i zastrzega małżeństwu jego pierwotny charakter nierozzerwalności.

Faryzeusze — mówi Św. Mateusz — przystąpili raz do Jezusa, pytając: Godzili się człowiekowi opuścić żonę swoją dla którejkolwiek przyczyny? Który odpowiadając, rzekł im: Nie czytaliście, iż który stworzył człowieka od początku mężczyznę i niewiastę stworzył je? I rzekł,

dla tego opuści człowiek ojca i matkę i złączy się z żoną swoją i będą dwoje w jednym ciele. A tak już nie dwoje, ale jedno ciało, co tedy Bóg złączył, człowiek niech nie rozłącza¹⁾).

A faryzeusze pytali dalej, czemu Mojżesz zezwalał na zrywanie małżeństwa? a Zbawiciel odrzekł, iż uczynił to chwilowe ustępstwo dla zatwardziałych serc żydowskich, »ale od początku tak nie było«.

Jasnym więc jest, że jakkolwiek w pewnych wypadkach Mojżesz uczynił był dla żydów ustępstwo, pozwalające rozłączenie małżonków — Chrystus ustępstwo to zniósł, i przywrócił małżeństwu pierwotną jego nierozzerwalność.

Święty Marek podaje słowa Chrystusa zapowiadające, by człowiek nie rozdzielał, co Bóg złączył i poucza: »Wszelki, który opuszcza żonę swą, a drugą pojmuję, cudzołoży; a kto od męża opuszczoną pojmuję, cudzołoży²⁾«. To samo stosuje się i do żony opuszczającej męża, a powtórzenie tego, prawie dosłowne znajdujemy u Św. Łukasza.

Czy może być coś bardziej stanowczego, jak słowa Wielkiego Apostoła, gdy w liście do Koryntyan, zastrzegając się, że to nie on, lecz sam Zbawiciel mówi, przykazuje, by żona nie porzucała męża swego, a porzuciwszy, nie wchodziła w powtórne śluby, gdyż związana jest pierwszymi tak długo, jak długo mąż jej żyje, jedynie śmierć jego zwraca jej wolność.

¹⁾ Św. Mateusz XXX 3.

²⁾ Św. Marek X. 9.

Koncylia, nieomyłne tłumacze Pisma Św., określiły pod tym względem dogmat katolicki z największą dokładnością. Koncylium Florenckie orzeka, iż dozwolone jest małżonkom rozjeść się z powodu cudzołóstwa, lecz niedozwolonem wchodzić w nowe związki, zważywszy, iż węzeł małżeński prawnie zawarty jest dożgonny. »Cum vinculum matrimonii legitime contracti sit perpetuum«. Koncylium Trydenckie zaś wypowiedziało ostatnie słowo nauki Katolickiej w tej sprawie orzekając, iż ktoby śmiał twierdzić, że Kościół myli się nauczając, że małżeństwo nie może być rozwiązaniem nawet przez cudzołóstwo jednego z małżonków, niech będzie wyklęty.

Dekret ten jest tylko powtórzeniem tego, co Kościół zawsze nauczał, a jego niezłomność w przeszłości jest gwarancją niezłomności w przyszłości.

Namiętności mogą nurtować serca ludzkie i bunt podnosić przeciw dogmatowi, instynktom ich przeciwnemu — dogmat pozostanie niezmienny, prawda się nie zachwieje, Kościół nie ustąpi. Kościół katolicki może wszystko poświęcić, wyjawsz: sprawiedliwości i prawdy; gdy zatwierdza dogmat, głosi prawa w imieniu Boga samego, wtedy mogą nacierać mędrcy z sofizmatami, mowcy z szumnemi wywodami, możni z mieczem — Kościół zniewagę zniesie, obrazę przyjmie, krew przeleje, lecz powie przez usta, mające władzę głoszenia prawdy i rzucania klątwy kłamstwu: »Tak twierdzą na wieki, a na poparcie mych słów znajdę krew tysięcy męczenników«.

Im bardziej dogmat sprzeciwia się zepsutej naturze ludzkiej, tem więcej bohaterskiej odwagi i stałości okazuje Kościół w jego obronie. A właśnie dogmat nierozzerwalności małżeńskiej jest tak bardzo przeciwny namiętnościom, że gdyby Kościół był instytucją ludzką, dawno już siłyby go opuściły, zabrakłoby odwagi, sto razy znalazłby już sposób, dla uniknienia grózb narodów i gniewu panujących, poświęcenia tego dogmatu.

Wszak stałość Kościoła w obronie nierozzerwalności małżeńskiej była w średnich wiekach jedną z głównych przyczyn jego walk z władcami Europy; nigdy dla uniknięcia ich pomsty Kościół ustępstwa nie uczynił. Henryk VIII, dla którego lekkich obyczajów węzły małżeńskie były jarzmem nie do zniesienia, postawił ultimatum: »Rozwód lub odszczepieństwo — rozłączycie mnie z żoną, lub ja się odłączę od Kościoła«. Rzym się nie uląkł, odpowiedział: »Raczej jedno odszczepieństwo więcej, niż jedna prawda mniej — różnowierstwa przechodzą, prawda jest wieczna — niech raczej jeden naród odłączy się, robiąc miejsce innym, a prawda Boża pozostanie na wieki«.

Ten opór niezbrojny, stawiany najmożliwszym tego świata, złorzeczyli wtedy, tak, jak zawsze zresztą nędzni pochlebcy siły materialnej; nie brakło ludzi przebiegłych, którzy bohaterstwo to zwali nieostrożnością, stałość uporem i fanatyzmem zgrzybiałego starca; lecz gdy oni rzucali obelgi — Kościół czynił swoje: strzegł postępu świata, broniąc prawdy.

Ta niezłomna stałość i odwaga Kościoła przeciw tylu przeciwnikom broniącego prawdy,

mającej wartość zachowawczą dla rodziny i społeczeństwa, zatem dla całej ludzkości — nosi wyraźne piętno boskości, a fakt, że jedynie Kościół katolicki wytrwał przy tym dogmacie, który zachwał stałością wszystkich innych wierzeń, dodaje mu blasku i sławy.

Nie będziemy dociekać, co społeczeństwa pogańskie zrobiły i robią dla utrzymania tej podstawy rodziny. Religie narodów starożytnych nie wzniosły się do uznania nierozzerwalności małżeństwa i rozwód był przyznany przez prawodawstwa cywilne i religijne; mówię o nierozzerwalności obopólnej, obowiązującej zarówno mężczyznę i kobietę, gdyż właściwie czasy pogańskie przyznawały tylko mężczyźnie prawo rozwodu, a odmawiały go kobietom; było to uświęcenie władzy męzowskiej, posunięte do uznania despotyzmu męzowskiego, a poniżenia kobiety. Zastrzeżenia te co do rozwodu spotykamy jednak tylko w czasach najwyższego poziomu moralności, gdy nadeszła epoka rozluźnienia i upadku obyczajów, wtedy rozwód obustronny zyskał prawo bytu, wprowadzając do ognisk domowych najstraszniejsze zepsucie.

Gdy Rzym upadający ginął, nurzając się w rozpuście, nie znający granic, nastąpił ten czas przerażającego nierządu, o którym świadczą historycy i poeci współcześni »kobiety rzymskie po kilkanaście razy w paru latach zmieniały związki małżeńskie, zstępując tak z małżeństwa do małżeństwa, jak ze stopnia na stopień, do hańby najsromotniejszej niewoli«.

A dziś gdzież poza Kościołem znajdziecie dogmat nierozzerwalności nieskażony? Patrząc

na Konstantynopol, Kairo, Pekin, ujrzyście tam kobietę bez obrony i litości, wydaną na pastwę najwstrętniejszego despotyzmu — despotyzmu kaprysu, żyjące w hańbie podwójnej, a gorszej nad inne niewole.

Nawet w łonie samego chrześcijaństwa zobaczycie społeczeństwa tem słabsze, im mniej przestrzegające dozgonnej wiary małżeńskiej, im łatwiej godzące się z rozwodem. Cóż poza Kościołem ma siłę utrzymania czystości tej nauki? czy schyzma, czy herezya, czy racjonalizm? Nie, schyzma nie ma dość siły, by utrzymać tę podporę rodziny; ze wszystkich schizm najbardziej stosunkowo zbliżona do naszej nauki, schizma grecka i ta uległa — poświęciła ludzkiej słabości swą nieskazitelną, zezwoliła na rozwód, uprawniając tem samem niewierność małżeńską, zepsucie obyczajów, a oto wynik tego: rozluźnienie małżeństwa i obyczajów, szerzące się w Rosyi, osłabiają rodziny, zagrażają społeczeństwu.

A schizma anglikańska lepiej wytrzymała na stanowisku? Jakżeż miała wytrwać, gdy rozwód żądany, a nie otrzymany w Rzymie przez namiętnościom hołdującego króla — był powodem jej powstania.

A w herezyi kto miał siły, by ostać przy tym dogmacie — czy Luter? on, który świętość zasad poświęcił dla łask możliwych, zezwalając na poligamię landgraфа Heskiego — Luter, który nie tylko, że sam sprofanował godność stanu kapłańskiego związkiem podwójnie świętokradzkim, ale jeszcze w ohydnych przemowach profanował świętość węzła małżeńskiego. Któż więc

ustrzegł tego puklerza rodziny — Kalwin czy Zwingli, Bèze czy Butzer? Nie — wszyscy ci reformatorzy Kościoła Bożego, którzy powinni byli jako oznaką powołania swego, jaśnieć aureolą czystości — wszyscy dla żądzy poświęcili prawdę, namiętności ich nie mogły znieść świętości i trwałości małżeństwa, tak, jak pycha nie mogła znieść pokornie posłuszeństwa i poddania się orzeczeniom władzy papieskiej.

Jeżeli schizma i herezya okazały się tak słabe, cóż powiedzieć o racjonalizmie, który jest ostatecznem zerwaniem z Kościołem Chrystusowym. Jakaż moc posiadali do ustrzeżenia tej chwały rodziny katolickiej ci, którzy w nauce swej zniszczyli pierwiastki chrześcijaństwa i nie umieli obronić nawet elementarnych zasad moralności. Pod tym względem wszystkie odcienia racjonalistów i heretyków zlewają się razem, ulegając wspólnie tej samej słabości i temu samemu błędowi; wszyscy — panteiści czy ateści, sceptycy czy dogmatycy, materyaliści czy spirytualiści nawet najlepsi, najsurowsi gotowi poświęcić bogini Rozkoszy lub bogini Rozumu, ten honor rodziny i chwałę chrześcijaństwa.

Francya wymownym jest tu przykładem, bo z chwilą, gdy w wirze ogólnej anarchii umysłami zawładnęła filozofia racjonalistów, ateuszów, prawodawstwo francuskie dotąd tak głęboko chrześcijańskie i surowe, uległo niemoralności i świętokradztwu szerzącym się w rodzinie i społeczeństwie — uznało rozwód; a jak gdyby dla jaskrawszego zaznaczenia przez Opatrzność w biegu wypadków tego węzła, łączącego rodzinę ze społeczeństwem: nietykalność powagi monarszej

i nierozzerwalność węzła małżeńskiego giną razem, równocześnie w pożodze, ogarniającej kraj i rodzinę.

Dziś wszędzie i coraz donośniej odzywają się tłumnie głosy, domagające się uprawnienia rozwodów — i gdyby sumienie chrześcijańskie nie było tą twierdzą, stawiającą opór fali barbarzyństwa, zobaczylibyśmy w epoce rozkwitu cywilizacji rozwód i poligamię wszechwładnie panujące. Dążenia te przejawiają się dziś we wszystkich formach — w prozie i poezji, w powieści i dramacie żądają rozwodu i to jakiego? nieznanego dotąd światu cywilizowanemu: absolutnego, bez ograniczeń prawnych, bez zastrzeżeń moralnych, a w najwyższym stopniu uwłaczającego chrześcijańskim zasadom moralności.

W tej orgii intelektualnej i moralnej, jaka się przygotowuje, nie można się dopatrzeć wyższych pobudek, któreby rozwód motywowały — to, czego domagają się liczni reformatorzy małżeństwa, a co za nimi powtarza tłum poetów, powieściopisarzy, dramaturgów, to nie ten rozwód, uprawniony przez niektóre prawodawstwa z zastrzeżeniami i warunkami, stanowiącymi niejako ostatni hołd, złożony dogmatowi znieważonemu przez prawo — nie, to nieograniczona łatwość zrywania związków, które przestają nawet być zobowiązaniem — to absolutna niezależność serca uznanego za jedynego sędziego i jedyne go pana — jednym słowem panowanie nieokiełzanych namiętności i nieprawej miłości.

Jest jeden potworny wytwór tych dążeń tak przeciwnych nauce Kościoła — powiedziałbym nie dosyć odczuty jako niebezpieczeństwo

przez ludzi uczciwych: to książki. One wlewają w umysły szerszych, zbyt szerokich warstw pojęcia fałszywe, zgubne; uczą, że tam, gdzie jest prawdziwa, szczerza miłość, tam nie może być grzechu; że w małżeństwach niedobrych wolno iść za głosem serca, bo cnota rozstrzyga; że małżeństwo takie, jakie dziś widzimy pod opieką prawa i błogosławieństwem Kościoła jest niewolą, czemś niedorzecznym, często nieludzkim, antyspołecznym, monstrualnym.

Z tych książek zastępy mężczyzn, kobiet i młodzieży dowiadują się, że rozwód jest prawem serca, a wykroczenie przeciw przysiędze małżeńskiej prawem wolnego człowieka; że trwałość miłości jej bezsensu, a przysięga wierności i posłuszeństwa poniżeniem; że nie można odpowiadać za swe serce, a tylko Bóg znający przyszłość, mógłby nieodwołalnie i dogonnie łączyć dwa istnienia; że ponieważ z całą szczerością można odpowiadać tylko za uczucie chwili obecnej, zatem węzły wieczyste, nierozzerwalne są szaleństwem; że przez proste poszanowanie własnej godności kobieta nie może przyjąć prawa zwróconego brutalnie przeciw niej — prawa zapoznającego jej umysł, duszę, serce, a skazującego ją na całe życie, na łaskę i nieszczęście istoty ludzkiej jej równej, a stawiającej ją w zależnym położeniu.

Czy to już wszystko zło z tych książek wypływające? Nie — kobiety i młode dziewczęta dowiedzą się od autora, nie mogącego pogodzić się z istniejącym porządkiem społecznym, że małżeństwo jest jedną z najwstrętniejszych instytucji, że niema wątpliwości, iż musi być znie-

sione, gdy społeczeństwo postąpi na drodze rozumu i sprawiedliwości, że związek bardziej ludzki, a nie mniej święty, zastąpi z czasem małżeństwo, że będzie mógł zapewnić egzystencję dzieci bez krępowania na wieki wolności tych, którzy im życie dali, że ostatecznie małżeństwo takie, jakie dziś społeczeństwo uznaje, a Kościół uświęca i dogmatem nierozzerwalności krępuje — jest przeciwnem naturze, jest upodleniem mężczyzny, poniżeniem kobiety — jest prostytutką!

Na tem skończmy obrachunek z teraźniejszością, a zwróćmy się jeszcze w czasy odległe, zreasumujmy, cośmy stwierdzili: przed surowym, nieugiętym dogmatem nierozzerwalności małżeństwa wszystkie wierzenia okazały się bezsilne — zachwiało się pogaństwo i schizma i herezya, zachwiało się protestantyzm i anglikanizm i nacjonalizm, a dziś tam, gdzie zabrakło tego hamulca, rozprzegają się wszystkie namiętności i w miarę zaniku jedności małżonków zanika podstawa społeczeństw — rodzina.

I to w imię rozumu i postępu śmieją głosić te zasady niemoralne, mogące usunąć cywilizacji chrześcijańskiej jej najsilniejsze fundamenty i zedrzeć z czoła najpiękniejszą koronę. Lecz dzięki Bogu i katolicyzmowi, mimo wszystkich ustępstw, czynionych na korzyść błędu i fałszu, jedna jedyna nauka nie zachwiała się, nie ustąpiła — oparła się napaści filozofii i literatury, oparła się orzeczeniom prawodawców i przesładowaniom władców — pod groźbą najboleśniejszych ciosów powtórzyła znowu: »Raczej jedno odszczepieństwo więcej, niż jedna prawda mniej«.

Kto ma słuszność — czy Katolicyzm broniący nierozzerwalności, czy nauki przyznające rozwód? Czem jest rozwód sam w sobie, jakie jego następstwa w stosunku do rodziny i społeczeństwa? To kwestye, nad którymi teraz zastanowić się musimy.

II.

Zanim wykażemy smutne wyniki rozwodu, weźmy pod rozwagę, czem on jest w istocie, a zobaczmy, iż zadaje kłam prawdzie, wielkości i prawości człowieka.

Na obrońców rozwodu powołują rozum, szlachetność, ludzkość, a tymczasem rozwód jest ich przeciwstawieniem, zaprzeczeniem: rozumu jako bezsens, szlachetności jako egoizm, ludzkości jako okrucieństwo. Zauważcie, że małżeństwo zawarte przez dwoje ludzi oddających się sobie niepodzielnie, a mających w perspektywie możliwość rozwodu jest zaprzeczeniem najserdeczniejszych uczuć, łączących te dwa serca. Małżeństwo, mające uszczęśliwić małżonków i odpowiedzieć celom natury, posiada przypuszczalnie warunek konieczny dla każdego związku — miłość. Małżeństwo bez miłości jest urąganiem prawu, które je zatwierdza, religii, która go uświęca, a przede wszystkim natury, która się go domaga.

Przypuszczam zatem małżeństwo takim, jakim Bóg chce je mieć: połączeniem dwojga istot kochających się, a na świadka tej miłości biorących społeczeństwo, słyszące ich przysięgę i religię, związkowi ich nadającą boskie znamię Sakramentu. Małżeństwo nie jest zwykłą umową,

gdzie za wspólną ugodą obie osoby unieważnić mogą to, na co poprzednio za wspólną zgodą przystały.

Małżeństwo jest umową na wyjątkowych prawach, mocą której serca się oddają, dusze łączą dla urzeczywistnienia ideału prawdziwej miłości. Kto się łączy zatem pod wpływem szczerzej miłości, ten łączy się na zawsze; związek trwały, miłość wieczna, to potrzeba każdej duszy poważnie biorącej to wielkie, a niestety tak często lekko brane słowo — miłość. W naturze naszej leży, że gdy głęboko kochamy, chcemy tę miłość naszą uśmiertelnić, chcemy, by nawet śmierć, która kiedyś rozłączy ciała wasze, uszanowała węzeł łączący dusze, chcemy, by ten związek i szczęśliwy w czasie, przetrwał wieki i w pełni szczęścia trwał w wieczności.

Wiem, że to pragnienie dusz naszych często pozostaje tylko marzeniem; wiem, że tchnienie nieśmiertelności, podnoszące serce, często ulatuje wraz z miłością, która je przyniosła — lecz to tchnienie, jakkolwiek tak ulotne, niemniej wyraźnie wykazuje, że serce odczuwa potrzebę trwałości związków.

Czyż można wyobrazić sobie coś okropniejszego, jak związek zawarty z tem przeświadczeniem, że wybije kiedyś godzina oznajmiająca: już nie kocha.

Wystawcie sobie człowieka, który w upragniony dzień ślubu powiedziałby swej wybranej: »Droga moja, wybrałem cię z pośród tysięcy jako duszę przez Boga przeznaczoną mej duszy — dziś kocham cię całą potęgą serca mego i udowadniam to, oddając ci się niepodziel-

nie; lecz któż przewidzieć zdoła, jakie uczucie owładnie kiedyś to serce, dziś tak szczęśliwe, że tobie wyłącznie się oddaje i ciebie jedynie kocha? Jeżeli czas, który wszystko niszczy, wprowadzi w dusze nasze jedną z tych burz, niweczących jedno uczucie, by je zastąpić nowem — zgódźmy się dziś, że wtedy oboje zwolnimy serca nasze z pęt je krępujących, że wrócimy im swobodę z chwilą, gdy zgaśnie miłość nasza«.

Czemże jest małżeństwo zawierane w takim przewidywaniu? nie jestże ono urągowskiem samej miłości? Miłość dająca się, a zastrzegająca już, że kiedyś może będzie chciała się wycofać, wykazuje, iż nie jest prawdziwą miłością; małżeństwo widzące w perspektywie rozwód, nie zasługuje nawet na te utarte nazwy: związku, bez zastrzeżeń trwałości, umowy, bez zobowiązań, miłości bez stałości; ten dar, uczyniony z siebie z zastrzeżeniem możności odebrania, czemże jest, jeżeli nie darem fałszywym, kłamliwie miłością zwanym.

Żądanie, by serce nie było nieodwołalnie związanem, nie można inaczej nazwać, jak niskim egoizmem — tylko wstrętne samolubstwo może mieć odwagę mówić osobie rzekomo ukochanej, że wierność będzie trwać tak długo, jak długo w związku tym widzieć będzie szczęście, lecz gdy serce ostygnie z pierwszego zapалу, porzuci tę, której tyle pięknych chwil zawdzięczało, by u nowego źródła szukać zaspokojenia serca.

Zresztą nazwijcie jak chcecie tę miłość, która nie chce związywać się na przyszłość,

daje się, lecz zastrzega możność wycofania, zaczyna żyć przewidując już swój zgon, nie pyta, jakim echem głos zobojeźnienia, wyrok rozłączenia odbije się o to drugie, również miłości łaknące serce — nazwijcie to miłością wolną, idealną, nieuniknionem przeznaczeniem — ja to nazywam szczytem egoizmu, brakiem hartu, podłością.

Cóż to za miłość, która po wspólnie przeżytej promiennej wiosnie życia, po gorących pełnych żaru dniach, widząc nadchodzącą cichą, spokojną, żyjącą wspomnieniami jesień — odwraca serce żadne ciągłych porywów, szuka młodszej, gorętszej, nowej miłości. Co to za miłość zrywająca więzy z chwilą, gdy to pełne blasków uczucie trzeba uznać za obowiązek? Cóż to za miłość, która opuszcza, gdy miejsce jasnego szczęścia zajmie ciche przywiązanie i poświęcenie?

To nie tylko egoizm — to okrucieństwo zdawać związek małżeński za łaskę kaprysu, spotkania czegoś nieprzewidzianego. Przychodzi dzień, gdy z winy waszej niestałości, pozwalacie zbożyć uczuciom z obranej niegdyś drogi, szukacie miłości poza ogniskiem domowym, nudną się staje troskliwość męża, męczącą serdeczność żony, dawna prawa miłość ustępuje nowej nieprawej; nie kochacie już tej istoty, którą niegdyś własnowolnie wybraliście, obrażacie jej najświętsze uczucia i na domiar złego odczuwacie może rodzaj zawiści za ogrom krzywdy jej wyrządzonej — bo serce ludzkie nieraz używa tej dziwnej broni na wyrzuty sumienia: nienawidzi tych, których krzywdzi.

I wtedy związek wyda się wam tyranją i zechcecie korzystać z prawa, rozwód uznającego. A jakież powody podacie? namiętność żadna zaspokojenia znajdzie je zawsze i wszędzie. Może sumienie poszepnie, że temu serce tak szczerze oddanemu zadacie nieuleczalną ranę, lecz rozbudzone instynkta odrzekną, że tam, gdzie miłość uleciała, związek niema racji bytu, bo nic nie zdoła wskrzesić uczucia, gdy zamarło; niech więc i to drugie otrząśnie się ze swej miłości, lub niech zaczerpnie też przy nowym źródłu, może czas ulgę przyniesie; zresztą trudno — miłość was kiedyś złączyła — miłość dzisiaj znów rozdziela.

Niech więc idzie to zimne, twarde serce, niech nowych ofiar swej bezwzględności szuka, lecz na litość, niech nie kala imienia miłości, a nazwie uczucie tem, czem jest: egoizmem, okrucieństwem.

W imię natury, szlachetności, ludzkości zwalczacie nierozzerwalność małżeńską, a tymczasem natura, szlachetność, ludzkość zapiera się tych dążeń. Prawda, istnieje natura zepsuta, zła, upadła, pragnąca rozwodów, lecz ponad nią panuje natura dobra, szlachetna, podniosła, natura udoskonalona przez Chrystusa, żądająca w ludzkości i w czasie — boskości i nieśmiertelności. Ta natura, którą chcecie zbrukać waszemi teoryami, podnosi się wespół z religią i wiarą przeciw pociskom jej grożącym, wykazuje marność i lichotę tych dusz słabych, które nie mogą wznieść się na jej wyżyny, chcą ją poniżyć swymi doktrynami, zelżywszy już poprzednio swymi

obyczajami, ta natura rzuca zwolennikom rozwodu jako słowo groźby i kary — przekleństwo.

Ale przypuściwszy, że rozwód nie byłby ani egoizmem, ani okrucieństwem, czy wtedy miałby rację bytu? Nie, w żadnym razie — w imię rodziny trzeba by zawsze go zwalczać, gdyż rozwód, to obniżenie rodziny, to hańba dla niej, ruina.

Obejmijcie myślą możliwe następstwa wynikające z rozwodu, przyjętego przez prawo — zobaczycie, jak są oplakane i zawsze ostatecznym ich rezultatem zniszczenie rodziny. Powiedzieliśmy już, że małżeństwo to węzeł, podstawa, twierdza ogniska domowego; otóż rozwód to węzeł, który się rozwiązuje, podstawa, która się kruszy, twierdza, która się poddaje, a wszystkie te ciosy godzące bezpośrednio w rodzinę, ranią też społeczeństwo.

Rozwód jest rozbiciem rodziny. Węzeł małżeński związał małżonków w jedną całość; z tej łączności dwojga istot stanowiących jedność, powstaje, rozwija się życie rodziny, przyszłe życie społeczeństwa; trwałość rodziny jest ciągłością tej jedności. Odejmijcie jedności jej ciągłość, a rodzina się rozdzieli, rozbije na części, zamieszanie i anarchia ogarną ognisko domowe; otóż rozwód w ten sposób właśnie także ciągłość jedności: rozcina węzeł łączący pojedyncze istnienia w jedność braterską, jest rozerwaniem, rozdarciem, rozłączeniem istot złączonych wspólnymi węzłami krwi i nazwiska.

A nie widzicie, jak ten miecz przecinający węzły rodzinne, niszczy i podstawy ogniska? Podstawa porządku domowego zarówno jak i spo-

łecznego to obowiązek — obowiązek poznany przez rozum, a przyjęty przez wolę. Usunięcie to pojęcie, a usunięcie podstawę rodziny, usuwając podstawę życia. Otóż rozwód dozwolony przez prawo, a uświęcony przez religię, to pojęcie obowiązku uznane za niezdolne do utrzymania rodziny i rządzenia duszami. Ogłosić prawo rozwodu, to ogłosić, że w społeczności domowej obowiązek, jeżeli wogóle ma jakie znaczenie, to najwyżej drugorzędne, to, współdziałając z pisarzami i doktrynerami szerzącymi zepsucie, uznać, że uczucie jest wszystkim dla rodziny i dla człowieka, że ono ma bezgraniczną władzę kierowania losami. Cóż leży na dnie tych książek tak śmiało domagających się rozwodu — nazywających małżeństwo niewolą, a obowiązki przezeń nałożone tyranią? Oto uczuciowość, wzruszenie, przelotna miłość uznane wszechwładnymi i jedynymi władcami, a przez to samo podstawa rodziny się usuwa, siła jej upada.

Czyż to nie jasne, że wszechwładza uczucia zapożyczająca i odtrącająca obowiązek, to rodzina zdana na los szczęścia, zbieg okoliczności, na błysk, który dziś migoce, a jutro już gaśnie, na powiew wczoraj jeszcze daleki, a dziś sercem miotający. Uczucie przychodzi nie wiadomo skąd i kiedy, wypędza prawowitego władcę, obowiązek, a samo zagarniając jego prawa, obejmuje władzę, przybierając za doradców i zauszników kaprys i namiętność.

W tych warunkach rodzina traci podstawę, małżeństwo nie ma zapewnienia stałości, tradycji, odrodzenia się — szala przechyla się na stronę rozwodu. Wtedy daremnie bezsilne prawo

starać się będzie postawić tamę, stawiając warunki rozwodowi, daremnie usiłować będzie tymi warunkami wznieść dla zagrożonej rodziny zaporę — daremne trudy — rozwód raz przyjęty nie będzie zważał na żadne tamy, żadne zapory — namiętność zachęcona obali wszelkie przeszkody, nie cofnie się przed żadną podłością — zawładnie zwycięzka i dumna zwycięstwem — a wtedy szła wolnej miłości w jednej chwili druzgocący życia całe, ogniska całe, zajmując miejsce spokojnego szczęścia i obowiązku, które nawet w braku gorętszego uczucia umiały opromienić życie rodzinne.

Nie mówcie: prawo może uznać rozwód, bo dla niektórych dusz jest on koniecznością. Dla zadosyćuczynienia tej zupełnej niemożebności wspólnego pożycia małżonków, istnieje uprawniona przez państwo, a tolerowana przez Kościół separacja. Lecz raz jeszcze powtarzam — ostrożnie! potrzeba rozwodu jest prawie zawsze potrzebą egoizmu.

Jeżeli nie wyrobiliście sobie jeszcze jasnego zdania o szkodach, jakie przez uleganie ludzkim namiętnościom wyrządzają prawodawcy, to rzućcie okiem na wyniki praw, uznających rozwody. Spójrzycie na stosunki europejskie ubiegłych a przerazicie się ujrzawszy, z jaką szybkością rozwód, uzyskawszy prawo bytu, przyspieszył upadek rodziny.

Gdy we Francji w końcu 18 wieku, w powodzi zepsucia i nieszczęść, rozwód ukazał się jako dopełnienie miary niedoli i złego, twierdzą, że w trzech pierwszych miesiącach jego wprowadzenia, liczba rozwodów doszła $\frac{1}{3}$ części

małżeństw zawartych. A w latach 50-tych XIX stulecia co widzimy? oto rozwód otrzymał w Anglii nowe ustępstwa, a namiętności tem rozbudzone szerszem rozlały się korytem; dawniej w Wielkiej Brytanii bywało rocznie pięć do sześciu prawie uznanych rozwodów, przypuszczano, że ilość ta wzrośnie n. p. do stosunkowo wysokiej liczby trzydziestu — tymczasem stało się inaczej; po 2 latach sądy zajęte sprawami rozwodowymi nastarczyć nie mogły nawałowi pracy, wydawano po 8 wyroków dziennie, siły dotychczasowe nie wystarczały — i to było zaledwie w drugim roku ułatwień rozwodowych!

Jeżeli do liczby małżeństw rozwiedzionych dodacie ciągle wzrastającą liczbę kobiet i mężczyzn, nie mających odwagi nawet na związek czasowy, przerzucających się z kaprysu w kaprys, z intrygi w intrygę na zasadzie wolnej miłości, z przerażeniem zobaczymy, do czego dąży ta bezgraniczna swoboda uczuć; odrzucająca wszelkie krępujące ją więzy.

Gdzie doprowadzi nas ostatecznie ta zła zrozumiana wolność, ten wstręt do obowiązku? Gdzie granica tej swobody, którą chcecie obdarzyć miłość? Chcecie swobody nawiązywania ciągle nowych węzłów, któreby jednak nigdy nie wiązały? I czemże byłoby społeczeństwo, wśród którego szłaby wolna miłość z swą towarzyszką rozwodem, igrając z sercem ludzkim, bezczeszcząc ognisko domowe, szerząc w rodzinach rozłam, hańbę i ruinę?

Cóż to za społeczeństwo, którego członkowie byłiby jak ziarenka piasku na brzegu morza — lada podmuch to zbliża je, to oddala, ale

nigdy nic stale i trwale nie łączy? gdzie pokrewieństwo, dziedziczność krwi i tradycji w łańcuch i ciągłość łączące? wszak to tylko pojedyncze ogniwa żadnej całości nie tworzące — gdzie więc możność wzrastania w siłę — gdzie możność postępu?

A rodzina jak w tych nieustannych zmianach się ostanie? Jak odnajdzie się w tym wirze, gdzie krew, życia, nazwiska to łączą się, to znów odtrącają; w tym zbiorze różnorodnym, gdzie twarze i dusze nie mają wspólnych dziedzicznych cech, bo ludzie nie mają jedności życia — dziwne typy rodziny, gdzie różna krew w żyłach płynie. Gdzie więc bracia, gdzie siostry, jak ich poznać? smutne to braterstwo, które zbliża i oddala zarazem, gdzie tajemnica pochodzenia ukrywa się pod maską obłudy i kłamstwem nazwiska.

A dzieci? cóż stanie się z temi istotami podzielonemi niejako przez rodziców, wyrrywających je sobie wzajemnie, chcących unieść z sobą choć część serca i duszy tych najbiedniejszych ofiar, będących owocem związku przez rozwód zniweczonego.

Nieszczęsne dzieci — stokroć biedniejsze niż sieroty — w miłości matki czerpią nienawiść ojca, z ust ojca uczą się złorzeczyć matce — biedne dzieci od zarania przepojone goryczą i jadem.

Gdyby rozwód i wolna miłość szersze jeszcze zatoczyły koła, cóż stałoby się z temi rzeszami nieletnich, pozbawionemi nazwiska? jak naprawić to zło fatalne? Pewien filozof podał znakomitą radę: »Powiększyć ilość przytułków«, czyż

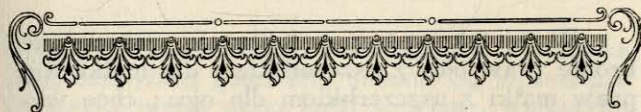
nie cudowny pomysł rozwiązania kwestyi przez takie nagromadzanie wszystkich wydziedziczonych z ogniska domowego? ale rodzina cóż z nią zrobić? czy posiadacie tajemnicę, by przy ciągłym zrywaniu węzłów małżeńskich utrzymać dziedziczność, tradycję, piękno, harmonię, siłę i odradzanie się? Żadnej! — Nie, myślę się, zapominałem o nadzwyczajnym wynalazku tej epoki, tak zresztą bogatej w wynalazki; przez dziwną parodię formuły, która zaznaczyła się w porządku społecznym Francji »Wszyscy Francuzi są równi wobec prawa« zrodziła się myśl uznania w stosunku do rodziny formuły, mającej rzekomo zaznaczyć nową erę odrodzenia: »Wszyscy Francuzi są równi wobec matki«, zastosujmy to prawo nie do jednego narodu, ale do całej ludzkości i cóż z tego wyniknie? występki matki to jedyne dziedzictwo dziecka, bo ojcostwo zagrożone w mrokach, nieznane prawu, jako niezbadane, a niewarta dochodzenia tajemnica.

Oto pomysł podniesienia ludzkości; rozwód, najwyższa niemoralność, przedstawiony jako postępek i sposób odrodzenia.

Lecz dosyć już tych ohydnych obrazów przesunęło się przed naszymi oczami — teraz pomyślmy nad obroną porządku społecznego przez nieskażone obyczaje i nierozzerwalność małżeństwa. Już czas zatrzymać się na tej pochyłości, po której nas wiodą doktryny antychrześcijańskie; rzućmy się na ratunek w te wzburzone fale unoszące rodzinę — rzućmy się śmiało, wspierani dogmatem, którego nic zachwiać nie zdołało — wołajmy pełnym głosem: rozwodu niema

i nie będzie» — wołajmy do namiętności wzywających go: »nie pójdziecie dalej«.

Ojcowie i matki, małżonkowie chrześcijańscy! zrozumiecie wasze powołanie i waszą wielkość — uznajcie i wyznawajcie jedność i nierozdzielność związków waszych — darzcie się obopólnie miłością, którą zaprzysięgliście sobie w obliczu Kościoła błogosławiącego ją na zawsze, na wieczność. Niech pod sztandarem tej miłości, mającej stałość za godło — rodzina wasza wzrasta w czystości, niewinności i szczęściu. Oby jak najbardziej upodobniła się do tej świętej i boskiej Rodziny, mającej Matkę Dziewicę, Syna Boga, a zostającej pod troskliwą opieką Józefa Świętego, dziś najmożniejszego patrona chrześcijańskiej rodziny.



PIĄTA KONFERENCYA.

Postęp rodziny przez ojcówstwo chrześcijańskie.

Jednym z największych wrogów rodziny uznaliśmy rozwód — wykazawszy, czym jest dla społeczności domowej związek ojca i matki, musimy przejść do zbadania poszczególnego ich w rodzinie stanowiska. Zadanie, obowiązki ojca i matki wzajemnie się uzupełniają; przymioty, cechy im właściwe łączą, słowa jednego z nich zdobi obojgu czoła, a zdarza się, że gdy jednego z nich już nie stanie, drugie w osobie swej łączy urząd ojcowski i macierzyński, Opatrznością Bożą na oboje rodziców rozłożony.

W następujących dwóch konferencyach zajmemy się zatem cechami, właściwościami i obowiązkami wybitnymi, zaznaczającymi osobno stanowisko ojcówstwa i macierzyństwa.

Stanowisko ojca w społeczności domowej to władza — a konsekwencją władzy jej wykonywanie. Zbadamy najprzód, czym w zamiarach Opatrzności jest władza ojcu dana, a następnie, jakie wobec niej stanowisko zajmuje chrześcijaństwo i prądy współczesne.

W tej tak ważnej a delikatnej sprawie nie bronie praw ojca z uszczerbkiem dla matki, ani praw matki z uszczerbkiem dla ojca; chcę wykazać obojgu na zasadzie wzajemnej ich godności, treść wzajemnych ich obowiązków, gdyż kapłan, sługa Boży jest opiekunem obojga rodziców, a przez bezstronne głoszenie praw im przyznanych i obowiązków na nich nałożonych dąży do postępu rodziny w duchu Chrystusa.

Zastanowimy się najprzód nad ojcowstwem.

I.

Ojciec przedstawia i uosabia w rodzinie władzę i siłę. Sam rozum wykazuje, że w pojęciu ojcowstwa tkwi pojęcie władzy tak, że ojcostwo bez władzy jest wykluczone.

Ojcostwo rozumie się nieodłączne od władzy przedewszystkiem dla godności stanowiska; sam fakt ojcowstwa sprawia, iż człowiek podniesiony do takiej godności, nie uznaje jako ojciec nikogo nad sobą, wyjąwszy godności w porządku nadnaturalnym.

Brana po ludzku, godność ta przewyższa wszelkie inne — brana po bożemu, jest najwyższem współuczestnictwem w godności Boga, ojca i stwórcy wszechrzeczy. »Każde ojcostwo w niebie i na ziemi od Boga pochodzi« ¹⁾, a jako pojęcie najprostsze, to moc odtworzenia istoty sobie podobnej. Stąd wynika, że godność ojcowstwa jest, w stosunku do istoty, do życia powołany — ponieważ człowiek jest arcydziełem

¹⁾ Efez. III, 15.

Boga, odtwarzać tedy i kształtować człowieka jest najwyższą godnością ludzką. Są wprowadzić godności wyżej przez ludzi stawiane, większymi hołdami otaczane; godność panującego, głowy całego społeczeństwa, w pojęciu mas jest sumą wszystkich godności, lecz w rzeczywistości żadna nie przewyższa godności ojcowskiej — tamte wypływają ze stosunku czysto prawnego, gdy tymczasem godność ojcowska wynika ze stosunku naturalnego, istotnego; to istnienie przechodzące w drugie istnienie, by odtworzyć obraz swój najwierniejszy.

Władza publiczna jest twórcą porządku między osobnikami społeczeństwa składającymi i to stanowi podstawę jej prawowitości — przedstawiciel tej władzy nie jest wszakże twórcą osobników samych; przeciwnie jest z władzą ojcowską — ojciec, przedstawiciel tej władzy, jest zarazem twórcą członków rodziny, jest ich pierwiastkiem; na podobieństwo Boga jest mistrzem tego arcydzieła Bożego, i jako taki piastuje najwyższą godność.

Godność i władza muszą być nieodłączne — godność wypływa z władzy, ponieważ wypływa z tworzenia — potrzebowała jej pomocy do swego istnienia, potrzebuje jej i do obrony i do osiągnięcia celu. Godność bez odpowiedniej władzy byłaby tylko godnością na pokaz, iluzoryczną, musiałaby być bezcelową, a tego w zamiarach Stwórcy przypuścić niepodobna.

Godność ojcowska ma cel wyraźny; zachowanie istoty, której stworzenie stanowi wielkość twórcy. Człowiek współuczestniczący z Bogiem w stwarzaniu, współuczestniczy i w działaniu.

Bóg, będąc Stworzycielem, jest i zachowawcą, a jest zachowawcą, ponieważ jest stworzycielem — innemi słowy w znaczeniu metafizycznym: tworzyć i zachowywać to jedno, gdyż zachowanie w pojęciu filozoficznym jest ciągotą tworzenia.

Oto dlatego każde ojcostwo, mające tworzenie za podstawę, ma zachowanie za cel; ojciec zatem jest opiekunem, obrońcą, jednym słowem zachowawcą rodziny.

Zadanie i obowiązek zachowywania muszą iść łącznie z koniecznością i prawem władzy. Obowiązek zachowywania bez prawa władzy, to bezsens — sprzeczność w słowach, niemożebność w wykonaniu.

Władza jest tem niezbędniejsza dla ojca, iż zadaniem jego bronić i zachowywać istotę najbardziej nieudolną — dziecko. Rzecz szczególna, że to dzieło Boże najdoskonalsze, na króla ziemi przeznaczone, przy pierwszym powitaniu swego królestwa bolesnym płaczem skarży się na nieudolność bronienia i zachowania życia swego; ta bezsilność człowieka - dziecka jest najwymowniejszym stwierdzeniem konieczności władzy i prawa człowieka - ojca. Potwierdzenie władzy jeszcze lepiej się uwydatnia w odpowiedzialności, będącej naturalnym też władzy wynikiem. Odpowiedzialność stoi w prostym stosunku do władzy; kto nad niczem nie włada — za nic nie odpowiada, kto mnogością włada — za wiele odpowiada, gdzie władza ograniczona, tam też ograniczona i odpowiedzialność.

Ta elementarna zasada wszelkiego panowania ma w społeczności rodzinnej pierwsze zasto-

sowanie. Ojciec w dosłownem znaczeniu tego wyrazu odpowiada za rodzinę, za matkę i dzieci; osłania matkę siłą, by ona tem łatwiej osłaniała dzieci troskliwością i serdecznością, cała społeczność domowa na nim się opiera, on cały ciężar na swych barkach nosi — stosowniej może powiedziałbym: na sercu jego spoczywa ten podwójny ciężar, a miłość jego ze szczęściem go dźwiga. Ojcostwo prawe ma poczucie tej odpowiedzialności i jeżeli się tytułu ojcostwa nie wyrzeka, bierze ją na siebie w zupełności — a wtedy konieczne, aby władza przyszła na pomoc i to w zakresie, w stosunku do odpowiedzialności.

Gdy władza tej małej społeczności domowej spojrzy dokoła siebie, widzi dusze mające oparcie na jego duszy, serca z jego sercem związane, życia w jego życiu bezpieczeństwo, obronę puklerz swej słabości mające. Wie, że żona, to uzupełnienie jego samego, dzieci, to przedłużenie jego życia — to młode latorośle, delikatne, za lada powiewem zgąć się mogące, on je ma osłonić, zachować, strzedz; słusznie należy mu się zatem władza tej miary, co odpowiedzialność na niem ciążyąca.

W ten więc sposób władza wyłania się z ojcostwa, jak kwiat z łodygi; złączona jest z jego początkiem, przeznaczeniem, z istotą jego. Natura, w serce ojca wlewając zrozumienie potrzeby władzy, rękę jego darząc siłą — na czole jego wyciska piętno tej godności, rozum zaś uznając to piętno, siłę i potrzebę, głosi ich prawa tak oczywiste, że od sześciu tysięcy lat przewodzące ludzkości.

Rozum współ z naturą wołają, że ojciec to władca rodziny, że władza jego od wieków niezaprzeczalna, najbardziej niezależna ze względu na cel, najbardziej straszna ze względu na odpowiedzialność, nie mająca innych granic prócz wyraźnego nadużycia tejże władzy, ani innych warunków w jej wykonywaniu prócz poszanowania praw, które dziecko-człowiek otrzymało również od Najwyższego.

Jakie są główne własności władzy ojcowskiej? Pierwsza własność to prawo nauczania — prawo to niezaprzeczalne, tylko po niezbitym wykazaniu błędnego nauczania, lub w braku wszelkiego w tym kierunku uzdolnienia, odebraniem być może, a nawet powinno, gdyż Bóg nie uprawnia nauczania fałszów, ani wymaga tego, co przechodzi siły i zdolności.

Poza tymi wyjątkami ojciec to pierwszy nauczyciel dziecka — rozwój władz umysłowych odbywa się pod wpływem słów ojcowskich — słowa te to prawda, która oświeca młody umysł, jak słońce przyrodę. Zapewne, duszę dziecka oświeci wielkie światło, tryskające z całego społeczeństwa, lecz słowo ojca to skupienie i przystosowanie dla dziecięcych oczu tego światła na okół rozproszonego i zbyt olśniewającego — to pośrednictwo miłości w objawieniu prawdy. Gdy ojciec nie może sam kierować pierwszym nauczaniem, wtedy ma obowiązek wyszukać odpowiedniego zastępcę.

Prądy przewrotowe, gdy zawładną jakimś społeczeństwem nie chcą uznać tego prawa ojcowskiego, sobie je przywłaszczają; z dziwną zarozumiałością twierdząc, iż urząd tak trudny,

sztukę tak subtelna, jak początkowe nauczanie dziecka, lepiej wykonają niż ojcowie, obejmują kierownictwo nad dziecięcymi duszami. Znajdują zupełnie naturalnem, żeby ludzie falą wypadków wyniesieni do sfer decydujących, zajęli miejsce ojca i w imię wolności przymusowo zaprowadzali naukę poza wpływem rodzicielskim — sami podawali dzieciom prawdy, które uznać muszą i Boga, którego czcić mają. A cóż jest tą prawdą? ich myśli, ich doktryny — a któż Bogiem? Bóg, któremu oni hołdują, więc najczęściej Bóg niedowiarków, ateuszów. A ponieważ uznanie ich nauki, czczenie ich Boga jest zwykle warunkiem stanowiska, kariery — ojcowstwo zatem pod jarzmem panujących idei przewrotowych staje wobec bolesnego zagadnienia, co wybierać? albo poświęcić dusze dzieci despotyzmowi doktryny narzuconej i Boga narzuconego — lub skazać je na niekorzystanie z tej przymusowej nauki, a co za tem idzie, na wykluczenie jakiegokolwiek kariery liberalnej.

Oto dążenia rewolucyi takiej, o jakiej tu zawsze myślę, rewolucyi w znaczeniu radykalnem. Lecz mimo tego ograniczenia praw ojca, mimo zagarnięcia jego władzy, prawo odwieczne zawsze istnieje — i gdy gmach despotyzmu runie, obalony własną bronią, rząd po nim władzę dzierżący, a dążący do poprawy złego, przywraca przedewszystkiem zgwałcone ojcowskie prawa.

Obok władzy nauczania, ojciec posiada władzę rządzenia; panuje nad umysłami dzieci, nauczając — nad wolą ich, rządząc. W każdej społeczności musi być jakiś rząd, t. j. władza cen-

tralna, podporządkowująca wolę poszczególnych jednostek do celów ogółu, społeczeństwa. Nikt nie zaprzeczy, że rodzina jest społecznością — a ponieważ nią jest, musi mieć rządzącego; ktoś ma rządzić rodziną? matka, dzieci, ojciec, czy wszyscy po trosze? Dzieci rządzić nie mogą, pozostawione sobie, nie mogłyby nawet istnieć, rodzą się jako naturalni poddani najpotrzebniejszego i najprawniejszego z rządów. Matka również rządzić nie może — jeżeli panuje czasem z konieczności nad słabością lub dobrocią ojcowską, usuwając się na drugi plan, jest to wyjątek, a rzadko szczęśliwy wyjątek. Stanowisko matki szczytne i piękne, jak to później zobaczymy, lecz nie polega na rządzeniu rodziną całą. Rządy należą do wyższego siłą, hartem, umysłem — do ojca.

Rewolucya i tu chciała przerabiać dzieło Boże. Najprzód uznała, że w porządku społecznym jest równość między panującymi a podwładnymi, między rozkazującymi a słuchającymi, i to było hasłem rewolucyi w społeczeństwie — następnie uznała, iż w naturze ludzkiej jest równość między duchem i ciałem, to hasło rewolucyi w człowieku — wreszcie — i to miało wywrzeć decydujący wpływ na odrodzenie świata, uznało równość mężczyzny i kobiety — to była rewolucya w łonie rodziny.

Na szczęście większa część kobiet chrześcijańskich nie odpowiedziała na to hasło żądaniem nowych praw, nieczuła pozostała na powab tej równości. Prawda, znalazły się kobiety, które uległy tym nowym mrzonkom, ideał kobiety wyzwolonej, dążącej, by za jakąkolwiek cenę okazać

się równą mężczyźnie, oszołomił niejeden umysł kobiety, przysłonił cel przez Boga i naturę jej wyznaczony — lecz ogół kobiet chrześcijańskich wiernych głosowi rozumu i posłusznych nauce Kościoła oparł się ponętom tej doktryny. Najoczywistszym dowodem, iż kobiety uznają wyższość mężczyzny w rodzinie, to fakt, iż każda zdrowo myśląca pragnie widzieć w przyszłym swym małżonku istotę pod każdym względem wyższą, chęłpi się, gdy jej służy za przewodnika na polu naukowem, społecznem, i każda czułaby się głęboko upokorzona, gdyby jej wykazano jego niższość. Głos wewnętrzny jej mówi, że godność i wielkość jej nie na tem polega, by dać odczuć mężczyźnie, iż tenże posiada władzę w jej przekonaniu nielegalną, bo przywłaszczoną, lecz by samej roztoczyć panowanie, przed którym mężczyzna swą władzę chętnie skłania — panowanie niewyczerpanej miłości i niezmaćonej słodyczy.

Trzeci i ostatni przywilej władzy ojcowskiej, to prawo karania, prawo w każdym społeczeństwie niezbędne. Odejmiście rządzącym tę potęgę naprawiania i zachowywania a bezpieczeństwa, byt społeczeństwa zostaną zagrożone. Władza publiczna ustanowiona jest dla ochrony dobra i sprawiedliwości; jej zadaniem pomścić dobro złem znieważone — sprawiedliwość zelżoną nieprawością; to stróż, opiekun prawa — uchybienie względem niego popełnione domaga się zadosyćuczynienia, gdyż jak mówi Pismo »prawość wywyższa narody, a ich nieszczęścia są tryumfem ich nieprawości«. Prawo karania zatem niezbędne do kierowania społeczeństwem, jest rów-

niez niezbędnem do kierowania rodziną; czemże byłaby władza rozkazywania bez władzy zmuszania do posłuszeństwa i karania opornych.

Ojciec rządzący rodziną ma na celu: wychowanie dziecka, urobienie człowieka, a dopięcie tego celu zawarunkowane jest możliwością naprawiania i karania złego. Dziecko posiada częstokroć usposobienie, utrudniające wychowanie, złe skłonności, instynkta, które trzeba przełamać, by wyrobić charakter — ukarać dziecko, by ukształtować człowieka.

Nie mam na myśli specjalnie kar cielesnych, choć i one mają znaczenie przez nasz wiek zapoznane; zważmy, iż młodzieńcza dusza podnosi bunt; serce ma zachcenia, życie szorstkości — dozwolicie duszy i sercu rozwijać się dowolnie, nie spróbowaawszy tej rady, »Różdżką Duch święty dziateczki bić radzi«, dozwolicie fali życia płynąć bez należytego ujęcia jej, bez koniecznego nieraz skarcenia, a dziecko stanie się samolubne, zuchwałe, nie dające się pokierować i niezależność granicząca z dzikością uniemożliwi wszelki postęp.

Każde prawodawstwo tedy, któreby ojca rozbrajało z władzy, stawałoby samo wszędzie wrogów postępu — krusząc w rękę ojcowskiem moc i narzędzie kary, kruszyłoby równocześnie możliwość prowadzenia dziecka, stwarzania człowieka, usuwałoby środek, który nieraz okazał się nader skutecznym w pochodzie cywilizacji.

Nie żądamy dla ojca bezgranicznej władzy, jaką miał w pogaństwie i jaką zachował do dzisiaj u niektórych ludów barbarzyńskich; pogaństwo nie знаło prawa miłości i dlatego władza

przechodziła w despotyzm; inaczej jest w chrześcijaństwie, gdzie miłość równoważy i pomaga władzy. Zresztą prawo stoi na straży, by ukrócić despotyzm, a obronić słabego i pamiętajmy, że jeżeli władza ojcowska przechodząc swe granice, nadała niektórym chwilom w dziejach charakter barbarzyństwa i zgubną się okazała, to znów stałe zmniejszanie, a ostatecznie zanik, zagłada tej władzy, byłaby upadkiem, zanikiem rodziny — gdyż społeczność ta, cała jej wielkość, siła i jedność opiera się na ojcu, uzbrojonym do strzeżenia jej w najnaturalniejszą i najprawowitszą władzę.

Oto jak się przedstawia władza ojcowska w świetle rozumu i natury — oto jej godność, siła i odpowiedzialność zasilona przez Opatrzność potrójnem prawem: nauczania, rządzenia i karania — to najwyższa przedstawicielka władzy Bożej w porządku naturalnym, najdzielniejsza obrona rodziny, największa zachowawcza siła społeczeństwa. Narody nią uzbrojone stały czoło potędze czasu — ona była tajemnicą ich żywotności i długiego trwania przyrzeczonego tak narodom, jak i poszczególnym jednostkom przestrzegającym miłości, czci i poszanowania ojców swych.

Dzięki tej sile Izrael stał się świetnym, a rzadkim przykładem narodu żyjącego i rozwijającego się przez długie wieki, a rządzącego jedynie władzą Boską i ojcowską — to stanowiło sławę narodu wybranego. Uznawanie tej władzy ochroniło też od całkowitego upadku nawet społeczeństwa pogańskie, noszące już w swem łonie zarodki śmierci; Rzym starożytny posiadał kult

rodziny i religijne. poszanowanie ojcowstwa, oparł się też tylu niesnaskom wewnętrznym, odniósł tyle zwycięstw na zewnątrz — upadek Rzymu schodzi się z upadkiem rodziny — upadek rodziny z upadkiem ojcowstwa.

Temu poszanowaniu władzy ojcowskiej zawdzięczają i inne nowożytnie państwa, jak n. p. Chiny, że mimo wewnętrznych rewolucyi, państwo szarpiących, mimo zepsucia toczącego je, dotąd się ostały; władza ojca posunięta tam, co prawda, do autokracji, szacunek do bałwochwaltwa, lecz mimo tego przekroczenia dozwolonych granic stanowi siłę kraj utrzymującą.

Przeciwnie, jak się przedstawia przyszłość narodów obnażających z majestatu powagę ojcowską i zdzierających aureole czci, która przez wieki całe uwieńczyła skroń ojca? Dla mnie to groźba mniej lub więcej oddalonej, lecz nieuniknionej zaguby dla tej tak spiesznym tempem idącej cywilizacji; z jednej strony przedwczesna dojrzałość dziecka, z drugiej ciągle obniżanie władzy ojcowskiej, a chyłkiem między nimi wślizguje się i dalej posuwa rozluźnienie węzłów rodziny.

Ten świat dzisiejszy, względnie nowy, wydaje mi się pod tym względem równie zgrzybiałym, jak starożytny — to drzewo, które soki odżywcze przestają już zasilać i jeżeli Chrześcijaństwo w pomoc nie przyjdzie, jeżeli swymi wiecznie świeżymi sokami nie zasili je, jeżeli rozłożyste drzewo ojcowstwa, chroniące narody całe pod swymi potężnymi konarami nie zakwitnie znów w całej okazałości, to cywilizacja nie

dopnie swego celu i mimo bogactwa materialnego i umysłowego nie ujdzie zagłady.

Przekonał się już, że w ojcowskiej władzy leży siła zachowawcza i postęp — teraz sprawdzimy, kto lepiej jej broni: duch czasu czy chrześcijaństwo?

II.

Czem stała się dziś władza ojcowska? Darmem staranoby się ukryć, że na dnie wszystkich dążeń, starań stanowiących prądy doby obecnej, jest mniej lub więcej bezpośredni zamach na prawa ojcowskie — zamach często narazie prawie nieuchwytny, trudny do określenia, lecz nie mniej przez to istniejący i groźny. Spytajcie o to ojców rodzin — oni to najbardziej wyczuwają, najlepiej też odpowiedzą; powiedzą, że nie odbierają już od dzieci tych oznak głębokiej czci, jaką niegdyś ojcom sami okazywali, że berło władzy w rękach im się chwieje, że łańcuch łączący ich z dziećmi gnie się i rozrywa.

Zastanawiając się nad głównymi przyczynami rozprzężenia rodziny zaznaczyliśmy jako jeden z ważniejszych czynników prądy naukowe, spostrzegliśmy, że pojęcia rewolucyi i rodziny wzajemnie się odpychają.

Idee przewrotowe, wrogie rodzinie, przede wszystkim wrogie są władzy ojcowskiej, odczuwają w niej potęgę wyższą, boskiego pochodzenia i lękają się jej przewagi. Pozorna obrona praw ojca, którą szumnie posługują się niekiedy przeciwnicy, to sidła zastawione na niedoświad-

czonych; rewolucya nienawidzi władzy ojcowskiej, gdyż jest wrogiem władzy wogóle, a władza ojcowska jest władzą - wzorem, przez nakazywanie posłuszeństwa dla siebie urabiająca w duszach cześć i poszanowanie dla wszelkiej innej władzy.

Streszczeniem zasad rewolucyjnych jest równość w najrozleglejszym znaczeniu tego słowa, a hasło to wprost przeciwne idei ojcostwa. Słyszeliśmy już tyle okrzyków wznoszonych na cześć równości, że mimowoli pytamy, czy po równości mężczyzny i kobiety nie zaczną głosić równości praw ojca i dzieci? Kto może zaręczyć, że do tego nie dojdzie? głoszenie równości w każdym kierunku nie jest niczem innym, jak rozwinieciem zupełnem innej, ogólniejszej i radykalniejszej zasady: absolutnej niezależności człowieka na ziemi.

Jeżeli już uznano: niezawisłość od Kościoła, niezależność od Chrystusa, niezależność od panującego, czemuż nie mianoby uznać i niezależności od ojca? do tego rewolucyjne prądy dążą, lecz zwycięstwo tu odniesione znaczyłoby kres ich tryumfalnego pochodu — gdyż po tej ostatecznej klęsce władzy, albo społeczeństwo zginęłoby niechybnie przytłoczone tryumfem rewolucyi, lub rewolucya sama zostałaby pogrzebana pod gruzami społeczeństwa.

Przed oczyma naszymi przyszłość zasłonięta, lecz w teraźniejszości jasno widzimy rozwój idei rewolucyjnych — do nas zatem należy w środowisku, w którym nas Opatrzność postawiła, słowem i czynem przeciwstawiać im działalność spokojną a odradzającą.

Nie stawiamy żądań niezgodnych z rzeczywistością i słusznymi wymogami wieku; zdajemy sobie dokładnie z tych wymagań sprawę, lecz właśnie dla tego, że patrzymy trzeźwo i widzimy, jak prądy dzisiejsze domagają się nadzwyczajnego poszanowania dla ludzkości w ogóle, dla indywidualności w szczególe, a wszystko, co nie ma piętna nowości ostatniej doby, nazywają barbarzyńskim, zacofanem, ze czci odzierają — uważamy za swój obowiązek pomścić pamięć ojców, znieważoną przez niewdzięczne pokolenia, i powiedzieć wam, synom tego wieku: pamiętajcie, iż ci praojcowie, którymi dziś gardzicie, zapoznając ich wartość i wielkość, należą też do ludzkości, byli ludźmi jak wy, zdolnymi zrozumieć prawdę i pragnąć dobra, że oni tworzyli społeczeństwa tych stuleci, które złotymi głosekami wyrwały się na kartach dziejowych, oni torowali drogi przyszłości, oni stworzyli dla rodziny prawa i warunki, w których społeczeństwa długo i chlubnie się rozwijały, że w każdym razie warunki, w których dzisiaj żyje rodzina, nie przeszły jeszcze przez ogień prób i doświadczeń, nie wydały dotąd plonów i że dozwolonem jest człowiekowi, szukającemu w przeszłości wskazówek dla przyszłości, zapytać, komu wieki późniejsze słuszość przyznają.

Zanim historia sąd w tej mierze wyda, do nas należy zastanowić się nad chwilą obecną i gorącym sezcem, obejmując ludzkość całą i nasze społeczeństwo, poważnie zastanowić się nad sposobem podniesienia tej podstawy życia domowego i społecznego — władzy ojcowskiej.

Jest to sprawa tem bardziej nagląca, iż nie tylko doktryny i prawa zdążają do poniżenia ojcowskiej władzy, ale same obyczaje do tego prowadzą. Synowie, oszołomieni ideą niezależności, marzą o wyswobodzeniu się z pod ojcowskiego jarzma — młodociani marnotrawcy, którzy już pod okiem ojca, rozbrojonego z praw swoich, trwonią bezmyślnie majątek, rachując na przyszłe dziedzictwo, którzy w rozwiązłem swem życiu mają niejako prąd i prawodawstwa współczesne za spółników i popleczników i tem więcej hardzi wobec władzy ojcowskiej, im bardziej ta władza wobec nich oględna — synowie myślący, iż prawo zwalniające ich z chwilą pełnoletności od tego rzekomego jarzma, zwalnia ich również od poszanowania, miłości i posłuszeństwa — synowie ci zapominają prawdy wyrażonej przez poważnego myśliciela: iż dziecko zawsze pozostaje małoletniem wobec rodziców, nawet gdy jest pełnoletniem wobec prawa i że władza ojcowska jest dozgonna.

Lecz to nie jest jeszcze kres złego — nie dosyć, że w życiu codziennym ojcostwo tyle doznaje upokorzeń, oto jeszcze na kartach książek, na deskach teatralnych widzimy powagę ojca obnażaną z godności i majestatu. Przed oczami rozbawionych widzów i czytelników przesuwają się smutne typy, noszące piętno wszelkiej brzydoty: to ojcowie egoiści, brutale, zarozumiałcy, marnotrawcy, przeżyci, rozpustnicy, wystawieni na publiczne urągawisko, to purpura królewska dla zohydzenia wobec tłumu w błocie unurzana.

A co najsmutniejsze, to słabość ojcowska, podająca rękę synowskiej zuchwałości, sama podkopująca swą powagę. Ojcowie zaślepieni dają oszukać się blichтром serdeczności wyzutej z poszanowania, przyjmują ją miasto należytej uległości; zapominają nieszczęśli, że poufałość względem tego, kto ma prawo do poszanowania, wyradza się często w lekceważenie, szyderstwo. Ileż takich przykładów, na które serce się ścisła, natura oburza, możnaby przytoczyć — zobaczylibyście jakie okrucieństwo, dzikość wytwarza ta pogarda władzy ojcowskiej ciągle zwiększająca się w rodzinach, gdzie chrystyanizm zanika. Ojcowie pracą i wiekiem złamani, przez nieopatrzną swą miłość z mienia wyrzuci, opuszczeni przez dzieci, używające teraz owoców pracy rąk ojcowskich. Synowie, którzy dzięki wysiłkom rodzicielskim czerpać mogli u źródła wiedzy i nauki — chełpią się swymi wiadomościami, wyszydzając nieuctwo, zacołanie tego, który o głodzie i chłodzie pracując, cieszył się, że jaśną przyszłość dziecku gotuje.

Porzućmy już te smutne obrazy, a zobaczmy, co czyni Chrześcijaństwo, celem wywyższenia tej władzy, którą wiek nasz tak obniżyć pragnie.

Chrześcijaństwo odziedziczyło po narodzie izraelskim cześć prawdziwego Boga i poszanowanie ojca i dziedzictwo to powiększyło otaczając jeszcze większą chwałą, niż starożytność.

Katolicyzm, zatwierdzający każdą prawowitą władzę, uświęca w sposób szczególny władzę ojcowską; ustanawia ojca królem rodziny, wymaga od dzieci posłuszeństwa, od żony uległo-

ści. Św. Paweł mówi: »Losy niechaj będą podane mężom swym jako Panu; albowiem mąż jest głową żony, jako Chrystus jest głową Kościoła: on zbawicielem ciała jego. Ale jako Kościół poddany jest Chrystusowi, tak też żony mężom swoim we wszystkim«¹⁾.

Jakież wygląda w świetle tej nauki równość mężczyzny i kobiety dziś głoszona? Kobieta chrześcijańska nie może jednak uważać się na stanowisko jej wyznaczone, bo źródło jej wielkości nie tu leży. Jeżeli chrześcijaństwo żąda od niej posłuszeństwa, to w imię tej boskiej nauki zapewnia jej równocześnie opiekę, której nieraz tak potrzebuje, wzamian za uległość obiecuje jej miłość, zwracając się do mężczyzny mówi: »Mężowie miłujcie żony wasze, jako Chrystus umiłował Kościół«²⁾.

Ta harmonia władzy i miłości, władzy broniącej miłość, a miłości posłusznej władzy, to arcydzieło Boże udoskonalone przez Chrystusa, a uświęcone przez małżeństwo. Nie słuchać ojca rodziny chrześcijańskiej, to niesłuchać, przedstawiciela Chrystusa, pomazańca Jego, powagi Bożej, rozkazującej przez usta ojcowskie, to nie słuchać samego Chrystusa.

Słowo ojciec wyraża taką godność i świętość, że Kościół posługuje się nim dla oznaczenia tego, co ma w najwyższym poszanowaniu. Człowiek, który się wyrzekł ojcostwa krwi, by nad duszami uzyskać ojcostwo ducha, który troskę o bliźnich przeniósł nad swe szczęście

doczesne i garstkę dusz swej pieczy powierzonych do szczęścia wiecznego prowadzi — to ojciec duchowny, ojciec parafii. Biskup, ten pasterz za większą ilość dusz odpowiedzialny, to ojciec dyecezyi — a Ten, którego Bóg ustanowił Głową całego Kościoła najwyższą troskę, najwyższą odpowiedzialność nań nałożył, to ojciec całego Kościoła Katolickiego — to Ojciec święty.

Sława, piękność, świętość słowa ojciec, to odbłask naturalny tej potęgi, jaką jest ojcostwo chrześcijańskie. Tam, gdzie duch Chrystusa prawdziwie żyje, zbytecznem jest określanie i strzeżenie przez prawodawstwa stosunku ojca i dzieci; miłość i wiara, natura i łaska to straż postawiona u boku tego władcy przez niebo i ziemię. Ustawy, głoszące właściwości i prawa władzy ojcowskiej, nadają tylko publiczny charakter władzy będącej wynikiem wiary i obyczajów, stworzonych w ludzkości przez wieki chrześcijaństwa.

Ojciec łączył w swej osobie godność kapłańską z majestatem królewskim opromienionym blaskiem miłości — otoczony był poszanowaniem, równajacem się niemal czci religijnej; jeżeli nadto wiek jego był sędziwy, jeżeli pokolenia rozmnożyły się pod tem berłem, którego siła rządząca zdawała się tem silniejsza, im ręka starca słabszą była, jeżeli otaczało go już nie tylko grono dzieci, lecz i wnuków wieniec — wtedy on, jako patriarchy rodowi zajmował miejsce najwyższe, którego nikt nie śmiałby mu zaprzeczyć.

¹⁾ Do Efezów r. 22.

²⁾ Do Efezów r. 22.

O gdybyśmy tak mogli, nie tracąc kosztownych zdobyczy cywilizacyi, przenieść pod dach nasz święte obyczaje praojców naszych. Jakżeż różne od dzisiejszych były dawne ogniska rodzinne, te zacisza, w których królowała wiara, pobożność, prostota, gdzie mieszkali chrześcijanie nie posiadający częstokroć tysięcznej części waszej wiedzy, a mimo to dzieci z ust ojca czerpały mądrość, której wy przy całej waszej wyższości umysłowej wpoić im nie umiecie, mądrość: kochania, szanowania, słuchania ojca.

Gdzież moc swej żywotności czerpały obyczaje dziś nam tak obce? W głębokiej wierze uznającej w władzy ojcowskiej Chrystusa rządzącego rodziną.

Do was się zwracam ojcowie — uskarżacie się, iż władza wasza bezsilnie się ugina pod naciskiem buntu, jeżeli nie pogardy waszych dzieci — kogóż winicie za tę klęskę? Sami zdeptaliście koronę co wam czoła zdobiła, Chrystus okrywał was swym majestatem, wieńczył swą aureolą, wy dobrowolnie otrząsnęliście je z siebie. Czyż się nie stało co było do przewidzenia? Wasze dzieci widzą was takimi, jakimi sami, odrzuciwszy boskie piętno, uczyniliście się — ludźmi, tylko ludźmi i to takimi, których władzę raczej tolerują, niż przyznają. Wy ojcowie nie jesteście dziś chrześcijanami, wasze dzieci są może dotychczas nimi choć z pozoru, lecz naśladowując wasze odstępstwo, wkrótce przestaną być nimi zupełnie. Strzeżcie się, aby nie poznać za późno, co znaczy kierować dziećmi, nie wychowanemi nauką Chrystusa. Oby was Bóg zachował od tego strasznego nieszczęścia,

jakiem jest upokorzenie miłości przez niewdzięczność, a władzy przez pogardę. Powróćcie wszyscy do Chrystusa, służcie Mu, ukochajcie Go, uznajcie życiem waszem władzę Jego, niech Chrystus, panując w sercach waszych, panuje nad waszemi dziećmi — niech władza ojcowska odnajdzie w Nim potęgę i majestat, podniesione potęgą i majestatem Boga.

SZÓSTA KONFERENCYA.

Postęp rodziny
przez macierzyństwo chrześcijańskie.

Mówiliśmy o powadze ojcowskiej, wykazaliśmy, że godność i odpowiedzialność tego stanowiska wymaga władzy uzbrojonej w prawo nauczania, kierowania i karania. Stwierdziliśmy, że prądy i dążenia współczesne wrogie są władzy ojcowskiej; doktryny, prawodawstwa i obyczaje sprzysięgły się przeciwko niej — że poniżanie powagi i władzy ojcowskiej powoduje rozdział moralny w całej rodzinie. Podnosiliśmy zatem z jednej strony majestat, jakim chrześcijaństwo otoczyło ojca, z drugiej zaś niebezpieczeństwo dziś mu grożące, ale nie zatrzymaliśmy się nad możliwością złego użycia tej ojcowskiej władzy. Zanim przeto przejdziemy do kwestyi, którą z kolei zająć się zamierzamy, chcę zrobić krótką uwagę, że władza ojca może być w dwójaki sposób źle użyta: przez nadużycie praw swoich, lub przez wyrzeczenie się ich; nadużycie przeważnie w stosunku do żony, gdy prze-

chodzi w despotyzm, wyrzeczenie się przeważnie w stosunku do dzieci, gdy staje się słabością. W naturze ludzkiej leży, że poczucie władzy łatwo prowadzi do samowładztwa, władza bez miłości do tyranii — miłość zatem musi być przeciwwagą, złagodzeniem władzy stosownie do słów Apostoła Pawła, który napominając »jako Kościół poddany jest Chrystusowi, tak też żony swoim mężom we wszystkim«¹⁾ dodaje zaraz: »Mężowie miłujcie żony wasze, jako i Chrystus umiłował Kościół i samego siebie wydał zań«²⁾.

Nie mniej zgubnem jest wyrzeczenie się władzy, to prowadzi rodzinę do zagłady, a w naszych czasach znacznie dotkliwiej daje się odczuć, niż nadużycie władzy; na jednego ojca grzeszącego zbyt bezwzględnem wykonywaniem władzy, z pewnością przypada dziesięciu grzeszących słabością, a nierzadko spotykamy to podwójne zło wspólnie rodzinie szkodzące: ojciec twardy, wymagający dla matki, a zbyt miękki, pobłażliwy dla dzieci.

Zrobiwszy tę ostatnią uwagę o ojcowstwie, zwrócimy się teraz do zbadania stanowiska, jakie matka zajmuje w rodzinie.

Jak ojciec w zamiarach Opatrzności jest uosobieniem władzy, tak matka uosobieniem poświęcenia. Konieczność posłuszeństwa pozornie ją poniża — poświęcenie natomiast podnosi ją, utwierdza jej przewagę, wpływ, panowanie moralne, nie mniejsze znaczenie mające, niż wła-

¹⁾ Do Efezów.²⁾ Do Efezów.

dza ojcowska. Kobieta może się czuć upokorzona potrzebą posłuszeństwa, nigdy potrzebą poświęcenia, w niem leży godność i wielkość jej. Zastanowimy się najprzód nad istotą stanowiska macierzyńskiego i nad tem, co czyni chrześcijaństwo dla wzniesienia matki na wysokość jej zadania.

I.

Dla wykazania i udowodnienia, że poświęcenie, to zadanie przez Opatrzność matce wyznaczone, wystarczyłoby odwołać się do serc macierzyńskich, a równocześnie do uczuć i wspomnień dziecięcych.

Wyraz matka to pierwszy, który usta dziecińcy nawet bez uczenia się wymawiają, to pierwsze odezwanie się serca, pozostawia na wieki w duszy oddźwięk niewysłowionego uroku. Człowiek może się stać z czasem nieczułym, obojętnym na wszystko — jedyne imię zdolne obudzić go z martwoty, wzruszyć, to imię matki; może zapomnieć wszystko, nawet Boga — matki zapomnieć nie zdolny; w sercu, gdzie ból bezbrzeżny przeszedł, zostawiając wokół zniszczenie i gruzy, jedynie obraz matki ostać się może. Nieraz, gdy już tylko pamięć o niej pozostała, a i nasze życie na schyłku, wtedy w tych ostatnich blaskach, rzucanych przez zachodzące życie, jawi się postać świetlana, tem piękniejsza, im dłuższe były dni rozłąki, a serce stęsknione i odmłodzone tem wspomnieniem z miłością wpastruje się, witając ukochane rysy.

Na czem polega urok tego słowa matka? urok niezrównany, jeszcze pełen życia, choć

w nas serce już zamiera, pełen młodości, choć my już wiekiem pochyleni?

To słowo jest najnaturalniejszym, najżywszym wyrażeniem tego, co duszy naszej niczem zastąpić się nie da, ono zawiera pojęcie uczuć najświętszych, najczystszych, gdy źródłem tego uroku miłość. Matka to najśłodsze uosobienie miłości na ziemi, jej twarz opromieniona najmielszym uśmiechem, bo serce strzeże największego skarbu. Serce matki krynicą miłości — miłość treścią jej życia. Dziecię dziewięć miesięcy spoczywało przy jej sercu, powoli kształtowało się w jej łonie, czerpiąc soki życiowe w jej miłości i jej krwi; bicie serca macierzyńskiego wpływało na poczynające się życie, pod jego ciepłem ono kiełkowało, jego uderzenia ożywiły je i do ruchu powołały i gdy wreszcie węzeł, łączący te dwie istoty w jedno życie, przerywa się, gdy obok matki spocznie drobna postać dziecięcia, zaczynającego życie samoistne — te dwie istoty fizycznie już rozerwane, są niemal tak samo ścisłe jak przez poprzednie miesiące złączone.

Gdy matka po raz pierwszy do piersi tuli swe maleństwo od tak dawna już ukochane i strzeżone, czuje, iż miłość potęguje się w jej duszy, iż życie jej coraz mocniej łączy się z tem nowem, z niej samej zaczerpniętem życiem, iż tylko pod tchnieniem jej miłości ono może być bezpiecznem — tylko pod skrzydłem jej poświęcenia może wzrastać.

Po tym promieniu uczuć macierzyńskich wpływa w jej rozjaśnioną duszę objawienie; w pełni światła widzi prawo życia swego, rozumie, czemu Bóg dobrotliwy takie nieprzebrane

skarby miłości wlał w jej serce — patrząc na tę nieporadną, bezsilną, a tak drogą istotkę, pojmując, że odtąd życie jej pójdzie za hasłem miłości i poświęcenia.

Jak soki odżywcze, zasilając drzewo, przechodzą przez liście, kwiat wspinały tworzą, by jak najpiękniejszy owoc przygotować, tak miłość matki zasilać ma duszę i ciało dziecka, by rozwinąć je najprzód w kwiat Bogu i jej samej miły, a następnie w owoc pożyteczny Bogu i społeczeństwu, a stanowiący jej chwałę, treść pracy jej i życia.

Matka czuje, iż musi kochać swe dziecko; to jej obowiązek, potrzeba jej, szczęście, to też kocha je całą potęgą swej duszy, a dziecko odczuwa to i rozumie i dla tego w późniejszym wieku na wspomnienie matki fala rozrzewnienia napływa mu w duszę.

Jakiż cel miała Opatrzność, tworząc serce matki taką niewyczerpaną krynica miłości? Jeżeli miłość jest tak wrodzoną sercu matki, to dla tego, że prawem jej życia — prawem rządzącym, wzniosłem, lecz trudnym i nie mogącym zawładnąć bez współudziału miłości — jest poświęcenie.

Macierzyństwo pierwszej objawia się w cierpieniach niż w radości — i to w tem przedziwnem połączeniu bólu i radości, bólu wydania na świat nowego życia, radości powitania swej dziewczyny, objawia się matce zasadnicze prawo, stanowiące treść jej życia: prawo miłości, prawo poświęcenia. Czuje się powołaną do wielkiego ukochania, ponieważ jest powołaną do wielkiego poświęcenia. Ojciec otrzymał władzę, by mógł

rządzić — matka otrzymała miłość, by mogła się poświęcać; to najwznioslejsze, lecz zarazem najtrudniejsze posłannictwo na ziemi.

Zbytecznem byłoby tu wysławiać wielkość poświęcenia; w naszych pojęciach zaparcie się siebie króluje nad wszystkimi cnotami; lecz skąd pochodzi to uwielbienie i podziw dla poświęcenia? zapewne stąd, że egoizm najgłębiej zakorzeniony w naturze naszej, więc zaparcie się siebie, będące jego przeciwstawieniem, wydaje się nam najwznioslejszem, jako najrzadszy i najbardziej bohaterski wysiłek duszy:

Otóż matka posiada w sercu swem wrodzone pragnienie tego bohaterstwa, ono jej żywiołem do tego stopnia, że jeżeli zabraknie jej pierwiastka poświęcenia, życie zdaje się kłamać swemu założeniu, bezgraniczna pustka przed nią się otwiera, grunt pod nogami się usuwa, egoizm nią władnie i często manowcami dąży do niepłodności.

Droga poświęcenia twarda, ciernista, trzeba sił, by nią iść wytrwale, trzeba stałego bodźca, by nie ustać, nim się dotrze do celu. Bóg dał te siły, dał podniecie, dając przewodnią gwiazdę miłości, bo jak pięknie o niej mówi autor Naśladowania: »Wielką rzeczą jest miłość i wielkiem ze wszech miar dobrem, które jedynie lekkiem czyni wszystko, co jest trudne. Bo dźwiga wszelki ciężar bez utrudzenia i wszelkiej goryczy słodczy i smakowitość nadaje. Miłość ciężaru nie czuje, o trudy nie dba, porywa się nad siły, o niepodobieństwo nie pyta, bo wszystko mniema dla siebie podobnem i dozwolonem. Zda się do wszystkiego i wiele dokaże i skuteczni

tam, gdzie nie kochający ustaje i upada. Kto kocha, ten rozumie, co ten głos znaczy».

Bóg wszystkie dzieła swe mądrze obmyślił i wszędzie, gdzie ustanowił ciężki, trudny obowiązek, przydał mu na pomoc miłość — co rozum i natura uważają za niewykonalne, miłość to wykona. Miłość prawdy, prowadząc uczonego poprzez tysiączne przeszkody, doprowadziła do odkryć wiekopomnych; miłość piękna pozwala artyście przewyciężyć wszelkie trudności, by ideał duszy przelać w marmurowe kształty; miłość ojczyzny rozrywa szaniec nieprzyjacielskie, wystawia na niebezpieczeństwa pierś bohatera, byle sztandar wolności swobodnie na ojczyściej ziemi powiewał. Możemy przyjąć za prawo doświadczeniem wieków potwierdzone, że serca, w których Bóg rozpała większy ogień miłości, przeznaczają do większych poświęceń.

Lecz czemuże wytłómaczyć powołanie matki do poświęcenia? co ją zmusza do postępowania tą drogą? Co? jej macierzyństwo — powołana do poświęcenia, bo powołana do stwarzania życia — przyjmuje poświęcenie i cierpienie, bo chce życie mnożyć.

Zdawałoby się, że posłannictwo tworzenia nowych istnień powinno być tylko szczęściem niezmaconem żadnym bólem; może byłoby tak, gdyby stan niewinności zawładnął był stale światem, lecz od upadku człowieka Bóg powstawanie życia naznaczył piętnem cierpienia. Odtąd poświęcenie i ból stały się prawem życia i płodności; nic wielkiego, pięknego, potężnego nie powstaje na ziemi bez poświęcenia; to, co nie było choć pośrednio owocem trudu i ofiary,

z pewnością nie zasługuje na uwagę. Poświęcenie, to streszczenie ekonomii chrystyanizmu, prawodawstwa ludzkiej natury, harmonii życia społecznego.

Otóż, jeżeli w każdej dziedzinie poświęcenie jest warunkiem płodności, to przedewszystkiem w rodzinie. Według ogólnych reguł, rządzących naszą zepsutą naturą, poświęcenie jest w stosunku prostym do rzeczy stwarzanej, dzieło stworzone w stosunku do wielkości poświęcenia — zatem, jeżeli do istnienia i rozwoju wszystko na świecie potrzebuje odpowiedniego poświęcenia, przeto w porządku czysto ludzkim nic nie wymaga większego poświęcenia, jak tworzenie i wychowanie człowieka, gdyż niema doskonalszego stworzenia jak człowiek.

Bóg sam ogłosił to wielkie prawo; w chwili, gdy natura i człowiek drżeli jeszcze pod ciosem pierwszego ludzkiego upadku, rzekł do mężczyzny: »w pocie czoła chleb twój jeść będziesz«, a do kobiety: »w boleściach rodzić będziesz«. I tak mężczyzna i kobieta skazani na różną, lecz zawsze z cierpieniem połączoną dolę. Jak ziemia nie będzie płodna bez ciężkiej pracy mężczyzny, tak też i życie ludzkie nie będzie płodne bez cierpień kobiety. Ewa, matka rodzaju ludzkiego, więcej niż mężczyzna podlega prawu cierpienia i poświęcenia, gdyż ona głównie jest źródłem życia ludzkiego, wykonawcą arcydzieła Bożego, człowieka.

Życie ludzkie jest tak zawarunkowane, że kobieta ma do wyboru: albo przyjąć cierpienie z narażeniem własnego życia, albo skazać na wyschnięcie źródło twórcze życia.

Matka, by odpowiedzieć swemu posłannictwu, musi przyjąć trojaki obowiązek, ściśle z sobą związane: wydawania na świat, karmienia i wychowywania dzieci.

Kobieta podnosi się do godności matki, gdy pierwsze dziecko na świat przychodzi — godność tę okupić musi cierpieniem; sztuka ludzka do pewnych granic uśmierzyć je zdolna, lecz prawo natury przez Boga ustanowione i ogłoszone w zasadzie pozostać musi na wieki niezmiennem.

Dziecię już żyjące nakłada na matkę drugi obowiązek: karmienia; karmiąc, uzupełnia niejako dzieło tworzenia, wlewając nowe siły w maleństwo, rozpoczynając realną fasę swego istnienia; fizyczna łączność matki z dzieckiem na pozór już przerwana, nowymi zacieśnia się węzłami. To przelanie swych sił, odżywianie kosztem swego organizmu tej wątłej istoty, w której się widzi swój obraz i swoje życie, wydaje mi się tak naturalnem, tak z natury rzeczy wypływającym i tak zamiarom Opatrzności odpowiadającym, że matki, uchylające się od tego obowiązku, psują tem, w mojem przekonaniu, harmonię natury, pozbywają się zaszczytu i piękności. Jakżeż pięknym zaiste obraz dziecięcia, tulącego się do matki, z chciwością czerpiącego z piersi matczynej pokarm odżywczy, jak niegdyś z łona jej czerpało życie samo. Nie mogę zrozumieć matek, które bez poważnego powodu usuwają się od karmienia — powoławszy dziecko do życia, nie chcą kosztować pierwszych radości macierzyńskich, nie chcą uznać, że zaczawszy dzieło muszą je konsekwentnie dalej prowadzić. Jeżeli karmiąc, cierpi fizycznie, jeżeli to chwilowo wy-

czerpuje, to przecież widok dziecka, dzięki życiodajnemu jej pokarmowi, coraz bardziej się rozwijającego, stokrotnie wszystko wynagradza.

Trzeci wreszcie obowiązek, wymagający największego zaparcia się siebie — to wychowanie, będące dokończeniem dzieła tworzenia. Matka, która sama nie wychowała, nie jest matką w najpiękniejszym znaczeniu tego słowa — nie tchnęła w dzieło swoje duszy swojej. Nie będę szeroko mówić o wychowaniu, wzmiankuje o niem tylko jako o najszczytniejszem poświęceniu; wszyscy, którzy rękę i serce przyłożyli kiedykolwiek do dzieła wychowania, matki czy nauczycielki, wiedzą, iż to wymaga najdłuższej pracy, największych trudów.

Szczęśliwe matki, które niejedno przebolewały, przepłakały, wychowując swe dzieci — lzy te błogosławione padają na młode, czułe serca, jak róża niebieska na kwiaty; trudy matki, jej praca i miłość opromienia kiedyś pięknoscią i wielkością życie dzieci, a dzieci, owoc miłości przeobrażonej w poświęcenie, staną się jej chwałą i błogosławieństwem.

Ekonomiści bez wiary, nie widzący w ludzkości nic prócz strony zewnętrznej, materyjalnej, wygłaszali swego czasu zdania przeciw zbytniemu mnożeniu się rodziny, dziś posiew ich tak dobrze się przyjął, że ludzie dbali o dobro kraju z przerażeniem patrzą, iż przyrost ludności niemal z każdym rokiem się zmniejsza i stoją bezradnie wobec pytania, co będzie, jeżeli stanowczy zwrot ku lepszemu rychło nie nadejdzie. System dwojga dzieci, którego ojczyzną była Francya, szeroko rozłożył swe korze-

nie i raz jeszcze dowiódł jak łatwo burzyć, jak trudno budować.¹⁾

Kościół i Pismo święte, wiara i objawienie zarówno jak rozum i natura uważają płodność za błogosławieństwo. Przekleństwo pada z ręki znieważonego Boga na ognisko domowe, które wskutek ohydneho egoizmu lub zbrodni pozostają samotne, gasnąc marnie — błogosławieństwo Boże spływa na rodziny, gdzie poświęcenie i cnota chętnie życie mnożą; przez usta proroka woła Pan: błogosławiony jesteś i dobrze będzie tobie »Beatus es, et bene Tibi erit«, synowie twoi rósć i rozwijać się będą pod okiem twojem, otaczając stół twój jak młode gałązki drzewa oliwnego »Fili Tui sicut novellae olivarum in circuitu mensae suae« »Oto tak błogosławion będzie człowiek, który się boi Pana«¹⁾.

Dzieci, te żywe świadectwa zachowania prawa Bożego w rodzinie, stają się błogosławieństwem rodziców, rodziny, ojczyzny; będąc rozmnożeniem życia przez rodziców, stają się wzajemian pomnożeniem cnoty tychże. Wkładając na nich obowiązki ciągle wzrastające, naginają ich do dobrego i bronią wstępu różnorodnym występkom.

Wzgląd na dzieci nakazuje rodzicom utrzymanie swej godności, świecenia przykładem, składania ich do panowania nad sobą, do łagodności, cierpliwości, spokoju, rozważa w wydawaniu rozkazów. Błędy dzieci, będące nieraz dziedzicznym nabytkiem, wykazują rodzicom w czym oni sami nad sobą pracować winni; ich niekarność jest

¹⁾ Psalm 27.

wskazówką i bodźcem do rozumnego stosowania władzy.

Prostota młodych serc, niewinność duszy, to najpiękniejsza woń tych świeżych kwiatów zdobiących zacisze domowe, im więcej ich wplata się w wieniec rodziny, tem wyżej ona może wznieść się moralnie.

Liczne grono dzieci nie tylko dodatnio wpływa na rodziców, lecz i na rodzeństwo. Oprócz rzadkich wyjątków, które jednak przyznać trzeba, jedno dziecko odczuwa zazwyczaj złą stronę samotności, braku stałego towarzystwa i przeważnie trudne jest do prowadzenia. Widząc się niejako punktem środkowym, wokoło którego skupia się cała troskliwość, cała miłość rodzicielska, nie mając rodzeństwa dzielącego z nim pieczęty i uśmiechy ojca i matki, jest zwykle wymagającym, egoistą, zajmującym wszystkich swą małą osobką, nieraz staje się tyranem w domu; uczucia bezinteresowne, braterskie stosowanie się do innych z pewnem poświęceniem swego samolubnego ja, to bywa uśpione w duszach jednaków.

Przeciwnie, dzieci wychowujące się w gronie rodzeństwa rozwijają w sobie od wczesnych lat instynktu społeczne, charakter w zetknięciu się z innymi dziećmi nabiera tęgości, wyrabia się, szlachetnieje, przyzwyczajają się w tej małej społeczności, złożonej z sióstr i braci, do karności względem rodziców, ustępowania i zgodności z rodzeństwem, opieki nad słabszymi.

W ten sposób zarówno rodzice, jak dzieci odczuwają błogosławieństwo liczniejszej rodziny, odczuwa je nadto społeczeństwo i ojczyzna. Któż

lepiej służyć jej będzie, czy ci, którzy bądź przez egoizm, bądź przez wyrachowanie ogniska swego nie rozniecają, czy ci, którzy bez względu na swoje wygody przyspasabiają dla kraju zastęp dzielnych synów, nauczonych poświęcać się dla dobra ogółu i przygotowanych, by później w swych ogniskach znów mnożyć liczbę pożytecznych członków?

Oto chwała, piękność, wielkość, najwspanialsze dziedzictwo rodziny, bo cóż dorównać może dziedzictwu życia ludzkiego?

Komuż szczególnie przypisać należy tę chwałę i wielkość rodziny? matce — matce poświęcającej się, cierpiącej, matce przez niebo i ziemię błogosławionej, iż nie uchyliła się przed brzemieniem obowiązków. Oto dla czego matki nasze, mając taką godnością, takim blaskiem opromienione czoła mogą uchylić je przed mężczyzną, nie tracąc nic ze swego majestatu — gdyż koroną ich życia dzieci, a purpurą poświęcenie.

II.

Zobaczyliśmy jak wszystkie uczucia w duszy matki wzajemnie się posilkuja, tworząc jednolitą całość. Imię matki pełne niewypowiedzianego czaru równoznaczne jest z miłością serce jej przepelniającą — miłość powołuje ją do poświęcenia, sił dodaje — poświęcenie zaś zapewnia rozmnożenie rodziny, będące błogosławieństwem i chlubą ogniska. Wszystko zatem łączy się z poświęceniem, wypływającym z miłości, a wpływającym na płodność — kto zrozumiał istotę poświęcenia, zrozumiał tajemnicę rodziny.

Idzie nam obecnie o poznanie, kto miał władzę nakłonienia kobiety do przyjęcia w całej rozciągłości i surowości tego ciężkiego prawa poświęcenia. W dzisiejszym stanie ogólnego upadku moralności, jedynie nauka chrześcijańska posiada władzę i moc podniesienia kobiety i utrzymania jej na wysokości macierzyńskiego posłannictwa.

Z naszego punktu zapatrywania wychodząc, śmiało powiedzieć możemy, że rozróżniamy tylko dwie doktryny: jedna zaprzeczająca i usuwająca poświęcenie, druga uznająca i nakazująca je. Zastosowanie pierwszej doktryny dało jako rezultat, rzekomo najbardziej pożądany dla postępu świata: kobietę wolną. Otóż ta kobieta wolna, powołana do życia, jako twór doby obecnej, żywy protest przeszłości, zbawienie przyszłości, to znana nam już córka Ewy, dźwigająca ciężar wieków zepsucia, nie tylko, że niezdolna odrodzić świat, ale sama potrzebująca odrodzenia; ta kobieta, rzekomo rehabilitowana w swych prawach, jest tylko oddana na pastwę namiętnościom. Słusznie nazwana wolną, gdyż wyzwala się ze wszystkiego: z posłuszeństwa córki, uległości żony, obowiązków matki, a przede wszystkim z pod prawa poświęcenia — jest zbliżoną do typu kobiety urobionej przez pogaństwo w czasach zepsutych i psujących — jest egoistką, niepłodną, zaprzadaną w niewolę zmysłów i kaprysu.

Ponieważ zło jest odwrotną stroną dobra, jak cień światła, przeto zanim wam powiem, jak matka w źródle chrześcijaństwa czerpie moc poświęcenia, a w poświęceniu chwałę liczego po-

tomstwa, chcę wprzód pokazać wam typ kobiety, jaką niestety nieraz w łonie naszego społeczeństwa spotykamy. Taka kobieta, jeżeli nie odrzuca całkowicie, to tylko połowicznie uznaje prawa poświęcenia, więcej przybiera pozory, niż istotę nauki Chrystusa, to smutne przeciwstawienie ideału macierzyństwa chrześcijańskiego. W pierwszych dniach życia naznaczono ją wprawdzie stygmatem Chrztu świętego, w dzieciństwie przystąpiła do Sakramentu Pokuty i Sakramentu Ołtarza, ale w rzeczywistości dziś nie jest już chrześcijanką — przypomina raczej kobietę rzymską ze smutnych czasów upadku Romy. Ma wstręt do licznej rodziny i dla tego skazuje na wygaśnięcie ognisko domowe, ono też smutne dla niej, jak mury więzienne, do których ciepły promień słońca nigdy nie zaglądnie, ani czysty śmiech dziecięcy nigdy nie zadźwięczy; małżeństwo ciąży jej jak niewola, radaby krępujące rozbić okowy, dom nudzi, uległość przeraża, dzieci odrazą przejmują, ród ginie, a ona nie mając celu, nie rozumiejąc obowiązku, szuka zapomnienia dławiącej nudy, szuka rozrywki, nie bacząc, czy ta ją nie hańbi — oto kobieta, która wyłamała się z pod prawa Bożego.

I jakżeż Chrześcijanka mogła zejść na takie manowce, jak mogła upaść tak nisko? Odpowiedź łatwa — wyzwalając się samowolnie z przykazań Bożych, zatraciła poczucie poświęcenia — egoizm nią zawładnął, siejąc w jej sercu zniszczenie.

Kobieta, dla tego, że powołaniem jej miłość i poświęcenie, z chwilą, gdy z tej drogi schodzi, tego powołania uznać nie chce, tem łatwiej

wpada w przepaść bezdennego egoizmu. Egoizm wyklucza poświęcenie, lecz nie wyklucza miłości¹⁾; to nie rzeka o wyschniętem, bezwodnem łożysku, lecz przeciwnie rzeka często o wezbranej fali, lecz której biegu odpowiednio nie ujęto, groźna więc i powodująca klęski — oto dla czego kobiety egoistki częstokroć niesławą okrywają swe rodziny, ubliżają godności kobiety i matki.

Miłość, która płynąć drogami przez Boga jej wyznaczonemi, miała wypływając z jednego serca zasilać drugie, u niej jedynie do siebie samej się zwraca, marnując siły bezcelowo — zamiast wzbici się pełnym lotem z odwagą, hartem, uduchowieniem — pełza bojaźliwie lub unosi się lekko-myślnie, zmysłowo: egoizm utracą orle skrzydła, gasi ogień boski, dusi życiodajny płomień poświęcenia. Kobieta samolubna odrzuca samą myśl macierzyństwa, cierpienie ją przeraża, nie pojmuje, by można od niej wymagać takiej ofiary, śmiesznem wydaje się jej żądanie Kościoła: współdziałania w celach Bożych, spłacenia długu naturze, spełnienia swego posłannictwa. Nie zawahałaby się przed żadnymi środkami, byle młodości swej i swobody nie utracić, a wiemy, że na tem polu nie brak pomysłowości — tu usłużny lekarz chętnie rad i zabiegów udziela — tam mąż lub przyjaciel ułatwić gotów. Egoizm mylnie tłómacząc słowa, odnoszące się nie do tych co przestrzegają, lecz przeciwnie do tych, któ-

¹⁾ Miłości, będącej właściwie porywem zmysłów, niskim instynktem, ale stanowczo wyklucza wielką, szlachetną miłość, oddającą serce i duszę niepodzielnie.

rzy łamiąc prawo Boże na karę zasłużyli, straszne obrazy stawia przed oczyma szepcząc: »Jeżeli matką zostaniesz, umrzesz — ta chwila nie tylko okropnem cierpieniem będzie, ty życiem ją przypłacisz; wybieraj więc: macierzyństwo i śmierć, czy życie i użycie«.

Zresztą egoizm wielu ma popleczników, często przeważający głos zabiera tu próżność — jest ona despotyczna i kobieta próżna staje się jej niewolnicą — zaspokojenie próżności staje się celem życia, ołtarzem, na którym jako całopalenie składa obowiązki, godność, uczciwość. Macierzyństwo wymaga stosunkowo długiego okresu przymusowego zaniechania wieczorów, zabaw, na których jest się otoczoną, podziwianą, gdzie serca podbija się urodą, a oczy strojem — wyzbyć się tego wszystkiego, — salony przepojone flirtem, szmerem uwielbienia, ślizgami rozmowami, przepychem — zamienić na skromny pokój dziecinny pełen niewinnego gwaru, szczebiotu, naiwnych pieśczęt dziecięcych, na atmosferę spokoju i cichego szczęścia — na to odważyć się nie może.

Jeśli mimo tej całej odrazy została matką, serce nie umie ocenić tego szczęścia, nie rozumie uroku naiwności i niewinności, nie umie dzielić łez i radości dziecięcych, zapoznaje promienną rzeczywistość; karmi serce niezdrowemi marzeniami, a dzieci, będące dla niej tylko ciężarem, oddaje w opiekę rąk obcych, płatnych. W tych tedy warunkach, jako żona nieodpowiadająca celom Boga i natury, lub jako matka wbrew woli i chęci, nie pozyska prawdziwego

szczęścia; źle jej będzie bez dzieci, bo przyjdzie godzina, gdy odczuje pustkę i bezcelowość swego życia — źle z dziećmi, gdyż uważać je będzie jako zło przymusowe. Zaniedbanie i lekceważenie obowiązków matki często wiedzie do zaniedbania wierności małżeńskiej, do upadku rodziny — zwróćmy się z gorącym sercem do tej nieszczęsnej, podajmy jej pomocną rękę, by zawróciła z niebezpiecznej drogi, zachęćmy do innego życia, pokazując piękny obraz chrześcijanki, idącej za hasłem poświęcenia.

Postępując choćby tylko za głosem natury, o ile jej złe instynkta nie spaczyły, matka znajduje w swem sercu wrodzoną skłonność, dążność do poświęcenia, lecz skłonność ta dopiero pod wpływem nauki Chrystusowej rozwija się w całej pełni, dosięga szczytu doskonałości.

Krzyż Zbawiciela, wyraz najdoskonalszej miłości i najwyższego poświęcenia, dodaje siłę, rozjaśnia drogę życia. Zanim jeszcze podmuch zepsutego świata mógł naruszyć dziewiczość młodego serca, w duszy chrześcijanki krzyż i poświęcenie wyrły się jako godła zbawienia; wiara została wpojona w jej życie jako objawienie poświęcenia na Golgocie, pobożność rozwinęła się u stóp Chrystusa za całą ludzkosć życia dającego — a gdy po raz pierwszy cudem miłości Jezus do serca jej zawitał, gdy sercem czystem, gorejącem dzięki Mu składała, jakżeż wtedy do duszy jej przemówił Zbawiciel zstępujący z łaską i miłością, lecz wzamian żądający również miłości i poświęcenia. Ileż to gorących, anielskich serc, przejętych niewysłowioną wdzięcznością i gorliwością pragnęło w tym

najjaśniejszym dniu życia złożyć choćby największą z siebie ofiarę, a w poświęceniu widział gwiazdę przewodnią.

Jeżeli młoda chrześcijanka patrzy w przyszłość, myśląc do czego Bóg ją powoła, jeżeli wyobrażnia jej chce odchylić zaslonę przyszłość tę osłaniającą — jeżeli przypuszcza, że powołaniem tem będzie stan małżeński — to prawie napewno młode, niewinne serce snuje marzenia o poświęceniu. Może niejasno pojmując obowiązki, jakie małżeństwo na nią nałoży, lecz w sercu i myśli kojarzy się prawie bezwiednie obraz małżeństwa z macierzyństwem. Widzi siebie przy boku człowieka ukochanego, w gronie jasnym, tulących się do niej główkę, szczęśliwa, gdy będzie umiała ich uszczęśliwić, z radością znosząca trudy i troski, byle tylko na niej samej zaciężyły.

A kiedy okres marzeń i pragnień kończy się przysięgą złożoną u stóp ołtarza, gdy kapłan w imię Boga na nową drogę życia pobłogosławi — gdy potem dalekie wizye mają się urzeczywistnić, gdy dzień jej macierzyństwa już bliższy — wiecie, jakie wtedy jej sny złote, jakie myśli kołyszą jej wyobraźnię? Oto niedługo nowy cel jej zabłyśnie — ta mała istotka dziś pod jej sercem spoczywająca, zawsze w tem sercu pierwsze miejsce zajmować będzie; z drżeniem radości widzi dziecko jako małego, ukochanego tyrana, dla którego dni i noce poświęcić trzeba, wyrzec się siebie, swoich upodobań, każdą myśl odtąd do niego odnosić. Ona teraz przedewszystkiem matką będzie — jeżeli o siebie dbać musi, to dla tego, że teraz dla dziecka potrzebna — jeżeli siebie kształci, to dla tego, żeby

kiedyś kształcić duszę i umysł dziecka. Jakież piękne, święte marzenia młodej matki w przededniu upragnionego macierzyństwa; ją myśl cierpienia nie przeraża, gdyż uśmiech dziecka nie będzie później sowitem wynagrodzeniem? nie szemrze, gdy grono ją otaczające coraz bardziej się powiększa, a jeżeli patrząc na przyszłość licznej gromadki, zaniepokoi się o los dziatwy, wznosi myśl do Boga, polecając je Temu, który o liliach polnych pamięta; sama wytęży tylko starania, by serca dziecięce białością i czystością lilii podobne były.

Nie uchyla się, by tworzyć nowe życie, tembardziej, by je wzmocnić, rozwinąć. Dumna z przysługującego jej prawa karmienia dziecka, za nic w świecie bez ważnego powodu nie powierzyłaby tego obowiązku kobiecie płatnej; chce, by dzieci jej wyłącznie życie, siły, zdrowie zawdzięczały.

Gdy dziecię wyjdzie już z lat niemowlęcych, wtedy przed matką otwiera się nowe pole działania, obowiązek będący uzupełnieniem poprzednich, ale wymagający więcej cierpliwości, pracy, trudów rozłożonych na długie lata dzieciństwa i młodości: obowiązek wychowania, przelania swej duszy w duszę dziecka. Młodociane życie trzeba urobić, wyrzeźbić na wzór i podobieństwo Chrystusa. Jeżeli dotychczas matka rozrywki i przyjemności swe poświęcała, by troskliwością i czunością otoczyć rozwijające się życie — ileż więcej czuwania i troskliwości wymaga teraz rozwijająca się dusza. Jak śledzić trzeba każdy ruch, każde słowo, by ująć niewidzialną nitkę myśli co je sprowadziła; jak

kierować każdym drgnieniem serca, by tylko to, co dobre i piękne oddźwięk w niem znalazło; jak otoczyć rozumną serdecznością i czułością, by dziecko miłość matki zawsze za niewyczerpaną skarbnicę uczuć uważało, w każdej chwili we łzach czy w uśmiechu czerpać w niej pociechę i zrozumienie mogło; jak zastosować się do rozwijających myśli i uczuć, by dla dziecka być równocześnie doradcą i młodym przyjacielem — na to każda matka łatwo znajdzie odpowiedź, jeżeli od chwili przyjścia na świat dziecięcia będzie z niem i dla niego żyć. Jasna, wyraźna przed nią ściele się droga, lecz celu nie osiągnie, jeżeli za przewodnika nie stanie poświęcenie.

Matkom słabszego serca, którym takie zaparcie się siebie, oddanie dzieciom wolnych chwil wydawałoby się przechodzącym ich siły, muszę zwrócić uwagę, że te trudy z takim szczęściem, z takim wewnętrznym rozradowaniem są połączone, że możnaby je porównać z lekką jak mgła chmurką, która ledwo się na błękiecie pokaże, już rozwiewa się i ginie; lecz taka chmurka spotyka się tylko na wypogodzonym niebie, takie poświęcenie tylko w sercu matki Chrześcijanki.

Jeżeli rozkaz poświęcenia przyjęty z całkowitem poddaniem wydał liczną rodzinę, jeżeli ona wzrasta w czci i miłości Boga, jeżeli jeden duch wszystkich ożywia, to ognisko domowe jest przybytkiem cichego, spokojnego szczęścia. Nie przeczę, są wyjątki, lecz trzeba przyjać za regułę, że w liczniejszych rodzinach więcej szczęścia. Jeśli z powątpiewaniem przyjęlibyście to twierdzenie, to ja z głębi serca do was wołam,

że tak jest, że sam tego doświadczyłem, że w to wierzę. Nawet po spustoszeniu, które śmierć w drogiem gronie poczyniła, nawet po długich latach rozłączenia, odczuwam jak dźwięk miłego, przebrzmiałego głosu szczęście, którego doznałem w otoczeniu sióstr i braci. Całą duszą wierzę w szczęście licznej rodziny, i choć ten urok życia dawno dla mnie już zaginął bezpowrotnie, u innych umiem zawsze odczuć go głęboko. Nigdy czyste, promienne uciechy rodziny, która zadanie swe spełniła, mnożąc życie, nie będzie udziałem tych, którzy zamknęli się w skorupie egoizmu, bojąc się trosk rodzicielskich. Widząc w ognisku domowym matkę, jako serce tego życia, wznosiłem się myślą do Pana — wołając: Boże mój, wlej ducha poświęcenia w serca wszystkich matek — niech z źródła życia wypływa i źródło szczęścia, dla dobra rodziny, dla postępu ludzkości.

Omówiwszy poszczególne stanowisko ojca i matki w rodzinie, powinienem był może dla nadania cech pewnej całości powiedzieć i o stanowisku dziecka, będącej tejże rodziny uzupełnieniem — czas na to nie pozwolił, trzeba by poprzednio zająć się kwestyą wychowania, o której na razie tylko wzmiankowałem. Na tem więc kończę to, co chciałem wam powiedzieć o postępie życia rodziny przez Chrystusa. Temat obszerny, niełatwy do wyczerpania, lecz celem moim bynajmniej nie było wyczerpać, lecz zacerpnąć z niego tyle, by dać wam możność zrozumienia, że tajemnica postępu, do którego

tak usilnie dążymy, leży w ognisku domowym, w którym panuje Chrystus.

A jeżeli chcecie sami jeszcze rozpatrzyć, co Chryścijaństwo zrobiło dla podniesienia ludzkości i postępu społecznego, przypatrzcie się w świetle historii temu dziełu Bożemu — chrześcijańskiej rodzinie.

Rodzina, to drzewo tysiące lat trwające. Korzenie jego tkwią w kolebce rodzaju ludzkiego; ręka Kościoła zaszczepliła na niem życie Chrystusowe tak, iż odtąd rozwijało się z pięknnością i blaskiem, jakie przez pierwsze 4000 lat jego istnienia nieznanne były. Patrzcie jak przy ogólnem poniżeniu upadającej pogańskiej ludzkości, jaśnieją te wzory życia chrześcijańskiego, stworzone nauką Zbawiciela: ojcowie i matki, mężowie i żony, młodzieńcy i dziewice, promienne ideały chrześcijaństwa, blaskiem swym rozjaśniające dzieje świata, przesuwają się ciche a miłością Bożą pałające, krwią męczeńską oblane, a z radosnym uśmiechem na ustach, wielcy duchem, choć słabi ciałem, jako skończone ideały piękna zaklęte w nieśmiertelne kształty rylcem rzeźbiarza, malarza pędzlem, słowem złotoustego pieśniarza.

Nie poprzestańcie na tem, myślą i sercem wejdźcie pod dach błogostawiony, gdzie życie odzwierciedla wieki minione; zobaczcie, jak cała rodzina złączona jedną wiarą, korzy się przed Chrystusem, którego wielkość i piękność na nią splywa; zobaczcie na czole rodziców i dzieci stygmat Boży, zobaczcie w ich otoczeniu domowników tym samym duchem przejętych — domowników przyjaciół i współpracowników,

a nie płatnych wrogów, jakich dziś zwykle spotykamy.

W świetle, jakie życie tak pojęte rzuca na umysł ludzi umiejących myśleć, zobaczcie jakiej doniosłości społecznej jest istnienie rodziny chrześcijańskiej — zapytajcie, do jakich szczytów dobra i piękna może dojść społeczeństwo, w którym każde ognisko domowe będzie świątynią, gdzie życie ludzkie poznawszy i ukochawszy Chrystusa, podniesie się na jego wyżyny — wtedy zrozumiecie dla czego Kościół Katolicki, pragnący prawdziwego postępu wywiera na rodzinę tak głęboki, ciężką pracą nieraz zdobywany wpływ.

Z jaką boską troskliwością pracuje nad zachowaniem, powiększeniem, udoskonaleniem rodziny — jaką miłością otacza kolebkę dziecka, jakim poszanowaniem groby przodków, jaką pieczołowitością ognisko, przy którym pod okiem Opatrzności wzrastają pokolenia. Jaką czujność roztacza nad źródłem życia ludzkiego, jaką czystością i świętością pragnie otoczyć powołanie rodzicielskie, zohydzone przez egoizm. Któż czuwa tak jak Kościół nad władzą i prawami ojca, miłością i poświęceniem matki, przywiązaniem i posłuszeństwem dziecięciem!?

Obyście pod opieką Kościoła matki naszej wzrastali coraz bardziej w Chrystusie — to cel mojej pracy, to gorące pragnienie serca żadnego szczęścia braci, chwały ojczyzny i postępu ludzkości.

PIERWSZA KONFERENCJA

CZĘŚĆ DRUGA.

POSTĘP

PRZEZ WYCHOWANIE CHRZEŚCIJAŃSKIE.



PIERWSZA KONFERENCYA.

Postęp przez wychowanie chrześcijańskie.

Rwestya wychowania zajmuje dziś najpoważniejszy umysł — wszyscy dostrzegają w tej dziedzinie wielkie braki, wszyscy spieszą z radą i pomocą. Dziecko jest centrum, koło którego ścierają się różnorodne zdania i poglądy, i nie dziw, bo to przyszłość rodziny, społeczeństwa, narodu.

W wychowaniu żaden szczegół nie może być obojętnym, ale przede wszystkim zwrócić należy uwagę na podstawowe, ogólne zasady, których w wychowaniu nie można pominąć bez ujmy dla tworzącego się charakteru, bez spaczenia późniejszego życia człowieka. W niniejszej pracy uwzględnimy tylko te najważniejsze czynniki, niestety zbyt często zapominane lub lekceważone, — a przecież wszyscy ludzie dobrej woli powinni wspólnymi siłami podjąć się tego pięknego dzieła: podniesienia ludzkości przez wychowanie dziecka i uczczenia Boga przez postęp ludzkości. Aby jednak tej pracy sprostać, trzeba wznieść się na te wyżyny, gdzie myśl wyzwolona z więzów namietności spotyka i poznaje światło i prawdę.

Dzieje świata wykazują w jak niestrudżonym pochodzie dąży ludzkość do postępu, jak od 20-stu wieków, tj. od początku swego istnienia, chrześcijaństwo w dążeniach tych przoduje. Uznawszy tę prawdę jako fakt ogólnie przyjęty i niezaprzeczalny, przyjrzymy się teraz, jaka łączność zachodzi między postępowaniem a wychowaniem, między wychowaniem a chrześcijaństwem.

I.

Wychować człowieka to znaczy prowadzić istotę jeszcze słabą, wskazując cel, do którego potem o własnych siłach zmierzać musi. Prawem obowiązującym w każdym wychowaniu jest, by się odbywało w warunkach zastosowanych do natury i uzdolnień istot wychowywanych.

Otóż tutaj, jaskrawo zaznacza się granica oddzielająca człowieka od całego otoczenia, i jasno przedstawia się przewodnie prawo jego wychowania. Człowiek jest istotą rozumną i wolną, dla tego natura jego domaga się wychowania przez rozum i wolę; poddać jego rozwój działaniu siły nieprzewidzianej, ślepego losowi, to postępować wbrew jego naturze. Rozumny i wolny, człowiek stworzony jest do życia wspólnego, społecznego, rozwój jego zatem musi postępować pod złożonym wpływem jego wolności osobistej i społeczeństwa.

Inne stworzenia, będąc w normalnych warunkach życiowych, same dochodzą do rozwoju w drodze różnorodnych przemian. Wyniosła palma pustyni, kryształ w łonie ziemi rozwijają się i dochodzą do szczytu swego rozwoju i piękna bez żadnego obcego współdziałania.

Najwspanialsze rośliny i zwierzęta w tenże sposób dosiegają najwyższej doskonałości swego gatunku, a jeżeli ludzie jeszcze je potem urabiają, przekształcają, to nie dla udoskonalenia ich, lecz dla przystosowania do swych celów.

Człowiek przeciwnie, by osiągnąć zupełny rozwój, to znaczy dojść do doskonałości jako człowiek, musi być wychowany, musi być pod działaniem, które go urabia, które wpływa na jego stronę zewnętrzną i wewnętrzną — co jest niezbędnym warunkiem rozwoju życia ludzkiego. Za pomocą rozumu człowiek ma poznać ideał swej doskonałości, za pomocą wolnej woli ma go zdobyć; a ponieważ stworzony jest z poczuciem życia społecznego i u społeczeństwa ma czerpać swój rozwój, musi zatem jako istota również rozumna i wolna współdziałać z jego rozumem i wolą, by wspomagać go w dążeniu do doskonałości i uzyskaniu tejże.

Rodzice, lub zastępujący ich wychowawcy, mogą rozwinąć w dziecku wrodzone jego zdolności i nadać im kierunek potrzebny dla wzbogacenia społeczeństwa w jednostkę nie oderwaną od życia ogółu, niezależną od fantazyi i trafa, lecz uzdolnioną do życia wspólnego; istotę wolną, świadomą swych celów, żadną wielkości. Lecz to jeszcze nie wszystko — człowiek przychodzi na świat już z plamą grzechową i jako taki poddany prawu rozwoju połączonego z trudem i walką. W tem cała trudność; gdyby człowiek rodził się bez zmaży, to należałoby tylko zostawić go sobie samemu, aby wrodzone dobre instynkty same się rozwinęły, czyni i życie poszło za głosem natury — wtedy wycho-

wanie byłoby zbyt cennym. Niestety jednak jest inaczej — ktokolwiek śledził rozwój dziecka, nie mógł nie zauważyć jego złych skłonności stopniowo występujących i ci nawet, którzy nie chcą uznać wraz z Kościołem katolickim jako pierwszej przyczyny skalania ludzkiej natury: grzechu pierworodnego — i ci nie mogą zaprzeczyć zepsutej natury, już w zaraniu życia się objawiającej.

Tych, którzy w naturze ludzkiej upatrują tylko dobre popędy, można śmiało posądzić, że czynią to jedynie dla oszczędzenia trudu poprawy sobie i innym; działalność ich zgubna, bo pleni zło. Nie ma rady — musi się uznać, że człowiek od urodzenia skłonny do złego i dla tego nie można zezwolić, by szedł za głosem natury, owszem trzeba nim kierować, wychowywać, zaprawiać do przeciwdziałania jej.

Dziecko i wychowawca muszą wspólnie zwalczać objawy zepsutej natury; wychowawca ma nadać kierunek pracy, a dziecko podjąć ją. Dziecko nie może być biernym w wychowaniu, nie można go kształtować bez jego współudziału, ono musi być czynnym — nie wychowawca ma łamać wolę dziecka, lecz ono samo musi ją nagiąć, przełamywać — musi zwalczać w sobie namiętności, będące zarówno przeszkodą w postępie indywidualnym człowieka, jak i w ogólnym postępie ludzkości. Jedynie w ten sposób przez wychowanie dziecko może stać się prawdziwym człowiekiem — w takim prowadzeniu opartem na rozumie, wolności, szlachetności czerpie swą siłę, wielkość i godność, staje się człowiekiem

idącym za postępem i kulturą, tylko w ten sposób uzyskuje wartość jako człowiek.

Otóż tutaj odnajdujemy ten węzeł tajemny, łączący wychowanie jednostki z postępem ogółu, gdyż prawdziwy postęp musi polegać na rzeczywistej wartości człowieka. Postęp jednostki to jej udoskonalenie — postęp ludzkości zatem, to zwiększenie jej wartości; chrześcijaństwo najskuteczniej prowadzi do postępu, bo przez swe cudowne oddziaływanie najbardziej podnosi wartość człowieka. Ten sam cel musi postawić sobie wychowanie — stopniowo i harmonijnie rozwijać, zwiększać, doskonalić naturalne zdolności i siły dziecka. Sposób i duch wychowania pewnej epoki, to przebieg postępu ludzkości w danej epoce; wychowanie stwarza człowieka pod względem intelektualnym i moralnym, nazywa go swym stygmatem, a jeżeli strona zewnętrzna dziecka wyraźnie świadczy o sposobie wychowania, to coś dopiero za niestarte znaki rzeźbi ono na stronie wewnętrznej, na młodej duszy!

Wychowanie nie tylko wyróżnia człowieka z pośród całego świata żywego i nieżywego, ale zaznacza jeszcze różnicę między pojedynczymi osobnikami, uwydatnia stopniowy pochod cywilizacji.

Cywilizacja, to wielkie i wzniosłe pojęcie, jeżeli je bierzemy nie z punktu widzenia ludzi płytkich i powierzchownych, lecz tak, jak je rozumie duch chrześcijański. Cywilizacja to nie zdobycze i wynalazki choćby tak cenne, jak ujarzmienie przez człowieka sił przyrody i nagięcie ich do swych własnych celów — to nie

cuda przemysłu i sztuki — nie — społeczeństwo może to wszystko posiadać i tem władać, a być mimo to społeczeństwem barbarzyńskim. To wszystko dotyczy mniejszej strony człowieka, jego ciała — prawdziwa zaś kultura dotyczy duszy. Kultura to rozwój życia duchowego, podniesienie duszy, to kształtowanie ludzi, mających myśl i serce wzniesione ku górze, to wspólne oddziaływanie na siebie umysłów, serc i dusz, to bratnia praca, przy której umysły się rozjaśniają, serca oczyszczają, a dusze doskonala — jednym słowem to podniesienie strony moralnej, będącej jedynem właściwym kryterjum doskonałości społeczeństwa i wysokości jego kultury.

Jeżeli z łona społeczeństwa wydobywają się niegodziwości i zbrodnie bez wywołania głębokiego oburzenia ogółu, jeżeli prawdziwa cnota, poświęcenie, niezdolne wzruszyć serc i wstrząsnąć umysłów, wtedy bez względu na stan ekonomiczny i intelektualny musimy zaznaczyć, że poziom kulturalny danego społeczeństwa niski, a zatrącenie poczucia moralnego zagraża mu upadkiem.

Przeciwnie, choć społeczeństwo ekonomicznie zubożałe, politycznie zależne, intelektualnie mniej wyrobione, jeżeli tylko w sercach ogółu każda wzniosła idea, każdy wielki czyn znajduje oddźwięk, jeżeli nie zgasł święty ogień zapału i miłości ideałów, jeżeli nieszczęście go nie łamie, ale je uszlachetnia tak, iż z godnością je dźwiga, — jeżeli dobro społeczne wyżej jest stawiane nad korzyści jednostki, jeżeli zatem

poczucie moralne silnie rozwinięte, to mimo najcięższych warunków kultura jego stoi wysoko.

Zrozumiałem tedy jest, czemu kultura, będąca właściwie jednoznaczne pojęciem z postępem, tak ściśle złączona jest z wychowaniem; wszak ono z niego się wyłania jak roślina z korzeni, jak kwiat z łodygi; jest jego naturalnym owocem, jest skutkiem oddziaływającym nieustannie na przyczynę, która je stworzyła. Postęp i wychowanie łączą się tak ściśle, tak się nawzajem uzależniają, że nieomal zlewają w nierozdzielalną całość, bo wychowanie to też kształtowanie człowieka, podnoszenie poczucia etycznego w nowych pokoleniach.

Ta identyczność celów udowadnia niezbicie, że od wychowania zawisł postęp ludzkości, bo od niego zależy zwiększenie wartości człowieka, poziom cywilizacji. Im lepsze wychowanie, tem wyższa kultura; kto nie był wychowany, pozostaje przez całe życie niewyrobionem duchowo dzieckiem, z błędami i wadami pierwotnej natury, gdyż choć zrodzony w środowisku cywilizacji, jednak wyższe i lepsze instynkty nie zostały w dzieciństwie wydobyte i pokierowane, a złe wykorzenione.

Iluż to takich ludzi spotykamy, których pojęcia, obyczaje i czyny urągają naszej cywilizacji; złe popędy ich od młodości nigdy nie były krępowane, — nie podlegali żadnej karności i posłuszeństwu, nikt ich wad nie poskramiał i do panowania nad nimi nie przyuczał, kochająca ręka nigdy nie skarciła; wychowanie polegało na swobodnem rozwijaniu się wrodzonych instynktów — czyż więc może tu być mowa o kul-

turze? Materyalna strona cywilizacji widoczna w ich mieszkaniach, w ubraniu, ruchach, lecz niema jej w duszy ni w sercu. Miły, układowy, czytany, wykształcony, wybitny może w pewnym kierunku człowiek jest w gruncie egoistą, nieużytym, twardym, bezlitośnym; kulturalny na zewnątrz, w istocie barbarzyńca.

Teraz zamiast jednostki przedstawmy sobie naród, który w dziejowym zaraniu nie przezwyciężał swoich instynktów; naród ten posiada wiedzę, lecz nie posiada wiary, ma rozum lecz niema zasad, zna nienawiść, bunt, pogardę, bezbożność, rozwiązłość, — nieznana mu natomiast miłość, posłuszeństwo, szacunek, pobożność, czystość; w łonie swem posiada wielkie i potężne siły, lecz niestety nie nauczony do wznoszenia za ich pomocą twierdz moralnych, nie umie ich opanować, owszem, one go zmagają.

Czyż wiele trzeba, by upadł naród przepojony barbarzyństwem, hołdujący prawu pięści? Jedno kółko, które zawadzi w jego olbrzymim mechanizmie, jeden człowiek, przedstawiciel siły, któremu ręka chwilowo osłabnie i zachwieje się — a już wszystkie namiętności wybuchną niczem niewstrzymane i jak niepohamowany żywioł zaleją kraj cały. Zdumienie i przerażenie ogarnia na myśl, że w społeczeństwie uznanem za kulturalne, znajdować się może taka dzicz instynktów, dyszących żądzą nienawiści i zemsty, lub niszczących — dla samej rozkoszy niszczenia. A jednak to bardzo zrozumiałe; jednostki tworzą naród i jeżeli one nie zostały w młodości odpowiednio wychowane, t. j. uzdolnione do walki z namiętnościami, ze złem — jakżeż

mają później stworzyć społeczeństwo, umięjące poskromić swe instynkty? Dla tego to wychowanie jest kwestią zawsze żywotną, bo wychowanie dzisiejszej młodzieży jest związkiem kultury przyszłego społeczeństwa, — całą troskliwość i miłość tedy na tym związku skupić należy.

II.

Aby wychowanie prowadziło do postępu, musi być głęboko religijne i chrześcijańskie. De Maitre pisał do pewnej rozumnej i bogobojnej matki o jej dziecku: »Jeżeli cnota została w niem tak głęboko zakorzeniona, jeśli występki znajdował je zawsze niedostępnem, jeżeli weszło w życie tak dobrze uzbrojone — zawdzięcza to odwadze, jaką miałaś odrzucając fałszywe poglądy twej epoki o wychowaniu dzieci, nadając im kierunek głęboko religijny«. Spółcześni szarlatani, którzy zniesławili imię filozofa, podawali zupełnie inne metody; pracowali niezmordowanie nad rozdziałem moralności od religii.

Praca ta do dziś dnia nie ustała, owszem z większą zaciętością jest prowadzona, coraz więcej zdobywa zwolenników, coraz dalsze zatacza kręgi; dawniej starano się otrząsnąć z religii, dziś już i z moralności.

Zważmy, czy wychowanie w tych warunkach byłoby możliwe? Jak brak religii i etyki pogodzić z tymi niezaprzeczalnymi pewnikami: że niema wychowania bez moralności, niema moralności bez religii — czyli że prawdziwie dobre wychowanie musi być religijne.

Wychowawca musi okiem pełnem miłości zagłębiać się w duszę dziecka, by wydobyć z niej to, co najczystsze i najszlachetniejsze, by dać tym wyższym instynktom rozwój najdoskonalszy i harmonijny.

Poczuciem, tkwiącem najgłębiej w duszy ludzkiej, jest potrzeba Boga i wiary. Gdy człowiek zdoła się wyzwolić z despotyzmu zmysłów i tyranii egoizmu, wtedy pragnienie Boga, dotychczas może utajone na dnie duszy, powstanie w pełni sił, dotąd niewolą zmysłów gnębionych — wtedy dusza łaknąca i spragniona nieskończoności wzywa Boga. On jeden mocen uśmierzyć jej pragnienie, bo On jej tchnieniem, jej początkiem, jej życiem i celem.

Dusza dziecka, podmuchem złego jeszcze nieskalana, bliska jest Boga; wiara znajduje oddźwięk w czystym sercu i błogosławiony wpływ nań wywiera; młode, niewinne serce dla Boga otwarte, On też z darami wiary doń zstępuje i panuje. Wiara dziecku szepce: »To Bóg twój«, a ono z miłością garnie się do Niego, i z całą ufnością woła »Ojcie nasz«.

Wychowawca, który nie wykorzysta tej skłonności dziecka i nie rozwinie jej, paczy tem samem wychowanie i cios śmiertelny zadaje życiu moralnemu: jego obowiązkiem utrwaląć obraz Boga, królestwo Boże w duszy umocnić, zacieśnić stosunek duszy do Stwórcy przez cześć, modlitwę i pracę wewnętrzną. Inaczej to wrodzone pragnienie czczenia i miłowania, jeżeli nie będzie ku wyższym celom skierowane, dziecko zwróci wyłącznie ku stworzeniom, lub ku sobie samemu.

Nic boleśnieszego jak widok dziecka chowanego bez wiary, bez pobożności — na usta płyną słowa Jeremiasza płaczącego nad nieszczęsną Jerozolimą, gdyż i tu ruina zagraża życiu, które ledwo się rozwija. Co skłoni dziecko do zwalczania egoizmu, samowoli, krnąbrności, gniewu, kłamstwa, jeżeli nie potęgą wiary? jaka siła i jakie rozumowanie zdolne w wieku młodzińczym zachować niewinność i czystość? Wychowanie bez wiary to życie, którego pierwszym czynem pogrzebanie ideału, to przyznanie człowiekowi władzy, a równocześnie odebranie mu siły.

Przyznajemy tedy, że wychowanie musi być religijne, lecz jakaż religia ma być wpojona w duszę? czy to jedno z tych wierzeń fantastycznych lub nieokreślonych? czy z tych co najwięcej swobody zapewniają człowiekowi? Nie — wiara, którą wpoić mamy dzieciom naszym, to wiara ojców i pradiadów, wiara chrześcijańska, wiara katolicka.

Mówiliśmy o kulturze i barbarzyństwie — otóż narody całej kuli ziemskiej rozdzielić można na dwie wielkie grupy ludzi: cywilizowanych i barbarzyńców; te dwa przeciwległe bieguny świata moralnego. Istnieją prawda, grupy pośrednie ludzi nawpół cywilizowanych, nawpół barbarzyńców, lecz to tylko stany przejściowe społeczeństw wznoszących się do kultury, lub od niej odpadających.

Kultura idąca ciągle naprzód, coraz wyżej, stoi pod sztandarem katolicyzmu i chrystyanizmu; barbarzyństwo cofające się w swym pochodzie, upadające, sztandaru tego dotąd nie poznało,

nie ukochało lub...co gorzej odrzuciło. Jakież instynkta przeważają w narodach nie ogarniętych duchem Chrystusa? jakie braki w nich odczuwamy? Brak ludzkości i miłości, brak poświęcenia i pokory, braterstwa i wolności, sprawiedliwości i szczerości; a natomiast na tej nieuprawionej glebie bujnie rozrasta się okrucieństwo i nienawiść, egoizm i pycha, służalstwo i niewola, niesprawiedliwość i przebiegłość. Prawda, że i w społeczeństwach cywilizowanych występki te nie są w zupełności wypełnione, lecz tu stają zawsze w sprzeczności z prawem i duchem ogółu; gdy tymczasem u barbarzyńców stanowią właściwe podłoże pojęć panujących, nikt ich nie potępia i nie przeciwdziała. W narodach kulturalnych niesprawiedliwość, fałsz, okrucieństwo spotkają się zawsze z surowym sądem, a jeżeli chwilowe warunki nie pozwalają sile moralnej natychmiast pokonać brutalną siłę fizyczną, służącą złym celom — to wcześniej czy później święte oburzenie weźmie górę i zwycięży niższe instynkta, torując dalej drogę postępowi.

Czem wytłumaczyć tę bezmierną przepaść, między tymi dwoma, krańcowo różniącymi się światami? Jakież to hasło, które tu zwyciężcom drogę toruje, gdy tymczasem tam bezradnie sami się wyniszczają.

Proste i jasne, coraz to dalej rozbrzmiewające hasło: Krzyż — »In hoc signo vinces« w tym znaku zwyciężysz — to hasło poznania i przejęcia się duchem Chrystusa, hasło prawdziwego postępu.

Krzyż dziś wyciąga swe ramiona nad stolicą — nawet krajów do niedawna rdzennie barbarzyńskich, zapowiadając, że mroki wkrótce się rozjaśnią, że nowa fala pracowników przybędzie zastępom z niestygnącym zapałem, idących zawsze naprzód.

Granice chrześcijaństwa — to granice kultury; jednostka czy społeczeństwo dobrowolnie usuwające się z pod godła Chrystusa, usuwają się tem samem z pod dobroczynnych promieni cywilizacji; dusza jednostki czy dusza narodu jest wtedy ruiną siły moralnej, zniszczonej przez dzień namiętności.

Odróżniamy dwa odrębne światy, lecz nie są one bynajmniej oddzielone granicami geograficznymi, ani przez morza, ani przez góry; w łonie społeczeństw barbarzyńskich znajdujemy ludzi kultury, chrześcijan; boski posiew prawdy przedwiecznej rzucony na wszystkie świata strony, wszędzie choć w małej ilości się przyjął i wydał pożądane owoce. Cywilizacja dotarła do Chin i do Indyi, do Oceanu i Madagaskaru — tu i tam wykwiła jak przepyszny, choć odosobniony kwiat, jak życiodajna oaza na pustyni.

Lecz jeżeli znajdujemy cywilizację wśród barbarzyńców, to znajdujemy również barbarzyńców w centrum cywilizacji i barbarzyńców noszących jeszcze znamię Chrztu w duszy, lecz zrywających wszystko co z Chrystusem wiąże. Niestety zbyt znany u nas ten typ; potomkowie rycerzy co piersią własną zasłaniali kraj przed zalewem dziczy, którzy z pieśnią o Maryi na ustach bronili Krzyża przed wrogiem mu półksiężycem, potomkowie rodzin składających

Bogu i ojczyźnie... życie w ofierze — dziś moralni nędzarze bez wiary, bez zasad, bez Boga.

To najstraszniejsi przeciwnicy postępu, to prawdziwi barbarzyńcy; zapoznając wszelkie dobro duchowe hołdują zmysłom — niektórzy słowami przyznają się do Chrystusa, lecz czynami się wyrzekają — uznają Jego wielkość jako człowieka, a przeczą Jego Bóstwu — uznają konieczność religii i moralności, lecz sami chcą głosić nową moralność i nowe dogmaty.

Każda dusza zatem, albo idzie za nauką Chrystusa, w czyn ją wprowadza i tem samem posuwa się za sztandarem cywilizacji, albo zaprzeczając ideałowi dobra i piękna uosobionemu w Chrystusie, cofa się do barbarzyństwa. Te dwa światy ciągle się wzajemnie zmagają, a barbarzyństwo niełatwo jest pokonać — zwycięzcą jedynie może być Chrystus. On jeden pokonać może dusze prawdą, serca miłością, wolę władzą.

Któż zwycięży? oto pytanie niezmiernej doniosłości, którego rozstrzygnięcie zależy od wychowania. Aby kultura coraz szersze kręgi zataczała, aby postęp blaskiem swym opromienił ludzkość całą, trzeba silnego i powszechnego odzicia, odrodzenia ducha chrześcijańskiego. Odrodzenie, pełnię sił żywotnych sprowadzi przede wszystkim wychowanie głęboko religijne, wpajające w młode pokolenie zasady wiary i etyki Chrystusowej. Chrystus i jego nauka muszą być wryte w serca dzieci, muszą z niemi wzrastać i rozwijać się — Chrystus musi panować w ich umyśle i w ich sercu, w ich duszy i w ich woli, musi przeniknąć całą ich istotę.

Patrzac na dzisiejsze niedowiarstwo i niemoralność, ze strachem zapytujemy co przyszłość przyniesie; uważamy, iż stoimy wobec bolesnej zagadki, a nie zdajemy sobie sprawy, że klucz do rozwiązania tej zagadki w naszym ręku leży; że przyszłość i jej społeczeństwo będzie takim, jakim my je uczynimy; że naszym wielkiem zadaniem jest tę przyszłość przygotować, wychowując jej pracowników. I dziś wszyscy ludzie dobrej woli bez względu na stan i położenie socyalne, duchowni i świeccy, rodzice i nauczyciele, ubodzy i bogaci powinni w tej pracy społecznej zjednoczyć swe siły. Budowanie jasnej przyszłości, pochod kultury nie zależy od pewnej kasty ludzi, nie został powierzony tej lub tamtej warstwie narodu; tak jak dotąd miliony pokoleń i tysiące stanów nań pracowało i zeń korzystało, tak i dzisiaj wszyscy muszą złożyć daninę swej pracy, wiekom przyszłym. Słowem czy czynem, piórem czy przykładem, zachętą czy upomnieniem trzeba w dziecięcych umysłach i duszach utrwać Boską naukę, aby Chrystus zapanował niepodzielnie nad światem, prowadząc go do szczytów doskonałości.

DRUGA KONFERENCYA.

Postęp w wychowaniu przez wiarę chrześcijańską.

Stwierdziliśmy już, że postęp zależy od wychowania, ponieważ prawdziwy postęp jest zwiększeniem wartości człowieka, a tylko wychowanie zdolne tę wartość powiększyć. Wychowanie powinno być związane z chrześcijaństwem, ponieważ jedynie duch Chrystusa stwarza istotną kulturę, krzyżem zaznaczając granicę między cywilizacją a barbarzyństwem.

Poznawszy te prawdy podstawowe, należy teraz przejść do szczegółów i zobaczyć jak chrześcijaństwo rozwiązuje problem wychowania postępowego. Ponieważ wychowanie ma zwiększyć wartość człowieka, trzeba zbadać uzdolnienia tegoż człowieka i wykazać, w jaki sposób wychowanie chrześcijańskie rozwijając wrodzone zdolności, podnosi je do doskonałości.

W każdym dziele najpierwszą, najważniejszą rzeczą jest przygotowanie podstaw, na których ono się wzniesie. Tak też i w dziele wychowania przedewszystkiem trzeba założyć podwaliny, na których cały gmach życiowy bezpiecznie oprzeć można. Otóż zdolnością, którą za

punkt oparcia całego życia ludzkiego uważać można — jest rozum. Rozum, to wzrok duszy śledzący za prawdą; dusza postawiona w obliczu prawdy patrzy na nią, uznaje, przyjmuje, przyswaja ją sobie, łączy się z nią za pośrednictwem rozumu. Rozum, to węzeł małżeński między duszą a prawdą; im głębszą jest prawda, którą dusza wchłania, tem doskonalszy rozum. Stąd łatwy podział intelligencji; ludzie posiadający ją w bardzo małym stopniu, pojmują tylko rzeczy łatwo wytłumaczyć się dające, same rzucające się w oczy; ludzie średniej intelligencji do pewnych tylko granic myślą się wgłębiają, odznaczając się zaś najwyższą intelligencją przenikają samą treść, istotę rzeczy. Takim jest rozum ludzki — trzeba tedy znaleźć tajemnicę jego rozwoju i wydoskonalenia, bo jakkolwiek rozwój ten skutecznia się przeważnie za pomocą nauki, gromadzenia wiedzy — są to przecież środki późniejsze, które poprzedzić musi pierwsze ukształtowanie umysłu.

Musimy naprzód udowodnić, że tylko chrześcijaństwo, a przedewszystkiem katolicyzm może dać naszym silne podwaliny w wychowaniu, gdyż on jedynie posiada warunki niezbędne do podstawowego urobienia umysłu.

I.

Istotne kształcenie umysłu polega zupełnie na czem innem, niż to sądzi większość ludzi, a nawet zawodowych wychowawców. Uczy się dzieci trochę historii, trochę geografii, trochę języków, trochę nauk przyrodniczych — jednym słowem wszystkiego po trosze; potem gdy dojdą

do wieku dojrzałego, robi się z nich specjalistów na polu nauki, sztuki, literatury — smutny widok przedstawiają nieraz ci specjaliści, nie posiadający często najelementarniejszych zasad życiowych. Nie ich to wszakże wina, ale systemu ogólnie przyjętego. Bo czyż rozwój intelektu może polegać na masowem nagromadzeniu różnorodnych wiadomości, albo wyłącznem poświęceniu się badania jednej, oderwanej gałęzi wiedzy? Tu zachodzi zasadniczy błąd — nieznaczkowania prawdziwego rozwoju umysłu od pozorów tegoż rozwoju; to, jak pewien autor słusznie powiedział, uważanie ozdoby człowieka, za niego samego.

Człowiek, to żywe dzieło, to żyjąca świątynia stworzona przez boskiego Mistrza; podstawą jej rozum. — Lecz na czymże sam rozum musi być oparty, by życie na niem się wspierając nie zachwiało się, lecz coraz wyżej wznosić mogło?

By ciężar życia niosąc ostać się wszelkim burzom, rozum musi mieć niewzruszalną, głęboką podwalinę: zasady. Poznanie wielkich praw i wzniosłych zasad stwarza podłoże życia intelektualnego. Tu rozum znajdzie glebę żyzną, na której powinien zaczepić swe korzenie, by czerpiąc obfite soki odżywcze, dojść do pełni rozwoju.

Człowiek, podobnie jak drzewo, musi głęboko się zakorzenić, jeżeli chce stać pewnie, silnie. Dąb, nim wzniesie swe czoło ponad inne drzewa, naprzód daleko w ziemię zapuszcza potężne swe korzenie. Podobnie młodzież, zasadami i przekonaniem jak korzeniami powinna trzy-

mać się prawd podstawowych, poznanych w latach dziecięcych; jej rozum musi te prawdy objąć splotem nierozzerwalnym — wtedy i tylko wtedy człowiek może się wznieść, nie bacząc na grożące burze. Na co zda się z punktu widzenia przeznaczenia życia naszego cała znajomość matematyki i historii, fizyki i astronomii, jeżeli zabraknie przewodniej idei? Na co ciężar różnorodnych systemów filozoficznych obarczający młode głowy, jeżeli prawdy zasadnicze z nich się wymykają i jeżeli błędnie pokierowana nauka, skaże człowieka na błądzenie przez całe życie po manowcach niepewności?

Cóż zyskała młodzież wdzierając się z bolesnym uporem w tyle tajemnic życia — jeżeli po tak ciężkiej pracy stoi bezradnie z gnębiącym pytaniem: jaki cel, jakie obowiązujące prawo w życiu? Jeżeli przed temi zagadnieniami, które napróżno staracie się usunąć, — bo wszystko ciągle je przypomina »skąd idziesz? dokąd idziesz?« rozum wasz bez ustalonego dogmatu, bez punktu oparcia, zmuszony odpowiedzieć — »nie wiem«. Co stanie się kiedyś z tym rozumem bez godła, tą duszą bez wiary, tą wiedzą bez kierunku? Jakże życie pozbawione oparcia będzie mogło bezpiecznie wzrastać? jak człowiek bez przekonań opanuje swe namietności, przełamie siłę ich wsteczną — na czym oprze się, by się ostać przed ich naporem, jeżeli nie ma opoki niewzruszalnych zasad — jeżeli ojciec, który nim kierował, szkoła, która go kształciła, wpoili mu jedynie powątpiewanie, a dla praktycznego rozwiązania zagadnień życia, karmili umysł wyłącznie hipotezami filozoficznymi.

Warunkiem niezbędnym tedy dla urobienia umysłu i dania podstaw życiowych, jest oparcie duszy dziecięcej na podwalinie zasad i niezachwianej pewności.

Lecz w jakiż sposób zasady zakorzeniają się w umyśle? Odpowiedź na to jedyna: przez upewnianie. Chodzi o to, by podać duszy grunt do oparcia, umocnić w dziedzinie prawdy — to zdziałać może upewnianie, słowo twórcze, zakładające w duszy kamień węgielny, słowo wypowiedziane przez usta rodzicielskie, a więc dziecięcą władzę i wyrocznię.

Dziecię odczuwa konieczność wierzenia — rodzice tej potrzebie odpowiadają zapewnieniem. Tu uwydatnia się działanie Boga w człowieku — do młodej, budzącej się duszyczki woła Słowo Przedwieczne przez usta ojca i matki: »Ja, który jestem miłością, ja, który się nie myślę, mówię ci: oto prawda — wzywam cię — odpowiedz mi«. A prawda z głębi dziecięcej duszy odpowiada na to wezwanie, bo rozum nawet w tych pierwszych przeblysłkach nie jest wyłącznie bierny; czynność jego polega na powtórzeniu wewnątrz słów, które go doszły z zewnątrz.

To jedyna, stosowna droga wprowadzania dziecka w życie umysłowe. Próbowano jeszcze innych, mianowicie wstrzymania się od wszelkiego nauczania, lub roztrząsania wszystkiego, czego się uczy — pierwszy to nihilizm, drugi sceptycyzm, a oba sposoby dążą do odebrania wszelkiej podstawy kształtowania człowieka. Twórca pierwszego pomysłu, Jan Jakób Rousseau postawił jako ideał wychowania, sy-

stem polegający na usunięciu życia intelektualnego, moralnego i religijnego z pod wszelkiego wpływu. Wyjawszy pewien rozwój umysłowy, zupełnie zresztą oderwany od sumienia i życia moralnego, do lat 14-tu z wychowania korzysta jedynie strona fizyczna; ciało rozwija się pod wpływem natury, lecz dusza i sumienie pogrążone w śnie głębokim, do chwili, aż same się przebudzą. Do 14-tu lat nie należy mówić dziecku, ani o duszy, ani o Bogu, ani o cnocie, ani o religii, nie stawiać żadnych wymagań w imię etyki, aby ono wolne od jakichbądź przesądów wybrało samo etykę, doktrynę, religię i bóstwo, którym chce powierzyć ster życia swego.

Inni przeciwnicy metody upewniania nie zaszli tak daleko w swoich żądaniach — zgadzają się, by dziecko jak najwcześniej było zaznajamiane z życiem duszy i sumienia — lecz w jakiż sposób? przez rozumowanie i roztrząsanie. Odrzucają wychowanie, które w imię jakiejś władzy mówi dziecku: »wierz, ponieważ tak powiedziałem, bądź pewne, ponieważ ja tak cię zapewniam«.

Temu tak naturalnemu postępowaniu przeciwnostawiają sztuczne — żądają metody, w której mówi się dziecku: »wierz, ponieważ widzisz, bądź pewne, ponieważ dowiodłem«. O dziwna logika ludzka! żądasz, by młody umysł osadził twe dowody, kiedy on nie może jeszcze pojąć najelementarniejszych zasad tych doświadczeń — gdy chodzi o położenie fundamentów, zachowujesz się jak gdyby cały gmach był już wzniesiony — powołujesz się na rozumowanie, a wszak dopiero zabierasz się do kształtowania rozumu.

Zaiste godna podziwu metoda — sam Rousseau by ją określił jako »zaczynanie od końca« — ja zaś mówię, że to uśmiercanie dzieła, które jeszcze nie powstało. Wszak zaczynać trzeba od położenia niewzruszalnych podwalin, a wy zaczynacie od kopania przepaści bezdennych — sprzeciwiacie się prawom natury, a ona zemści się niweczając wasze zamiary. Chcieliście przedwczesnem rozumowaniem stworzyć człowieka rozumu, otrzymacie racjonalistę — baliście się wpoić mu dogmaty, a zaszczepiliście mu sceptycyzm — nie chcieliście na tej roli siać prawd podstawowych i użyżniać ich słowem zapewnającym, wyschnie ta ugorom leżąca ziemia, wichry błędnej nauki przejdą po niej przed czasem i prawda nigdy nie skielkuje. Młodzieniec nie będzie miał przekonań, tylko mniemania i to mniemania zmienne, niepewne, od zdania innych zależne. Nie śmieliście upewnić go wobec jego budzącej się myśli o stałych i niezmiennych dogmatach chrześcijańskich — będzie więc błądzić po labiryncie ludzkich domniemań, nie zaznawszy nigdy spokoju na łonie prawdy.

W naturze dziecka leży, że odczuwa potrzebę wierzenia, zarówno jak czczenia — wyście tej wrodzonej potrzebie nie uczynili zadość — na was spadnie odpowiedzialność, jeżeli wasz wychowanek, przyszły obywatel kraju, nie okaże w życiu hartu i niezłomności; jeżeli w przełomowej chwili życiowej, gdy z jednej strony sprawiedliwość i prawda, z drugiej fałsz i nieprawość staną do walki — a zło podstępne odniesie zwycięstwo — on, uczeń wasz, opuści szranki liczebnie słabszych, niewolniczo korząc

czoło przed silniejszymi. Wasze to nauki stworzą zastępy ludzi słabych, bo bez punktu oparcia — chwiejnych bo bez przekonań, bez dogmatu.

II.

Główny błąd, jaki wykazaliśmy w rozwoju umysłowym: brak zasad i pewności przekonań, to błąd każdego wychowania, które nie chce, lub nie śmie być otwarcie chrześcijańskiem i katolickiem. Wychowanie takie, dane bądź przez rodzinę, bądź przez szkołę zaznajamia raczej z przeczeniem, niż z nauką i dlatego łamie raczej, niż umacnia młode umysły.

Spojrzyjcie na rodzinę wydziedziczoną z wiary, opanowaną przez tak długo wszechwładny racjonalizm. Rodzice nie przemawiają w imię władzy uznanej za niezaprzeczną — pewność, ze słowami głębokiej wiary nie zstępuje przez ich usta do dusz dziecięcych. Jakże bezsilna matka bez wiary, próbująca podać umysłowi dziecka pewne prawa wierzeń i podstawę przekonań — ona nie zdoła sprostać zadaniu prawdziwego rozwinięcia intelektu dziecka i ugruntowania w niem prawdy, kiedy w jej własnym umyśle przeczenie obaliło fundamenta.

Zupełnie inaczej przedstawia się praca matki chrześcijanki, matki wierzącej. Ona Słowem Przedwiecznem poświadcza boską prawdę, którą dziecku wpaja, ona z katechizmem w rękę objawia mu dogmat katolicki, tajemnice nauki Chrystusowej — poucza, że Chrystus to człowiek i Bóg zarazem, że Mu się zatem cześć boska należy — że Kościół to dzieło Boga, a nie

pomysł ludzki i każdy chrześcijanin obowiązany wierzyć jego słowu i stosować się do praw jego — dalej, że Chrystus umarł dla zbawienia ludzkości, a ustanowił Kościół dla dalszego prowadzenia dzieła odrodzenia — że szczęście nieba przeznaczone dla tych, którzy wierzą w Chrystusa i słuchają Jego Kościoła.

Tak mówi matka dziecku, nieraz w obecności ojca — lecz jakiegoż ojca? sceptyka, panteisty lub ateisty może! I przyjdzie dzień, gdy dziecko, jeżeli nie z ust tegoż ojca, to z książki będącej jego ewangelią, zapozna się z zaprzeczeniem swych dotychczasowych wierzeń — z zaprzeczeniem boskości Chrystusa, zaprzeczeniem istnienia Boga samego. I mimowoli zwątpienie wkradnie się do duszy: czyżby matka w błąd wprowadzała? A jeżeli zwróci się do ojca z pełnem zaufaniem, jakąż w najlepszym razie otrzyma odpowiedź? że dziś jeszcze temi zagadnieniami nie powinno się zajmować, bo i tak pojąć ich nie zdoła. To jeszcze najdelikatniejsza forma przeczenia, trzymanego w granicach przez ojca, umiającego uszanować prostotę i wiarę dziecka — lecz bądź co bądź stanowcze przeczenie.

Jakże zachowa się wrażliwy umysł dziecka wobec gorliwego objaśniania matki, a uporczywego przemilczania tych kwestyi przez ojca — wobec otwartego upewniania z jednej, a źle ukrywanego przeczenia z drugiej strony? Słowa płynące z ojcowskich i macierzyńskich ust, z serc zarówno kochających, a tak sprzeczne, tak przeciwnie — jaki kierunek nadadzą jego wierze, przekonaniom, zasadom?

A cóż powiedzieć, gdy jest stokroć gorzej — gdy ojciec odmawia matce prawa wpajania dziecku jej własnych przekonań, a narzuca wychowanie po swojej myśli i żąda, by ona tym duchem się przejęła — gdy zarówno matkę jak i Kościół odsuwa od wpływu na umysł dziecięcy i sam despotycznie zagarnia władzę nad jego intelektem. I cóż się stanie, jeżeli matka ulegnie fałszywie pojętej konieczności dzielenia wspólnie błędnych mniemań — jeżeli poświęci wolność przekonań i duchową niezależność — jeżeli władzę mężowską przeniesie nad władzę Kościoła? — Jakież podstawy dadzą nauki ojca, który nie wierzy, matki, która nie ma siły i odwagi ostać się przy swej wierze?

Przypuśćmy jednak, że ojciec nie posunął się do tej ostateczności — uszanował przekonania żony i zgodził się, by przez usta matki, duszą jego dziecka rządziła władza przez niego nie uznawana — wychowanie na tem się nie kończy — dziecko z domu rodzicielskiego przechodzi do szkoły. Tam, nauczyciel zajmie miejsce matki — chwila zarówno ważna dla serca matki, jak i dla przyszłości dziecka. Ono nieraz zaledwie dziesięcioletnie, oddane często bez możliwości rodzicielskiego nadzoru pod wpływ człowieka obcego, zapewne sumiennego, uczciwego, lecz czy także prawdziwie wierzącego?

Wychowawco — zaklinam cię, odpowiedz — jak zbliżysz się do tego młodego umysłu i serca, gdzie każde, nieopatrznie nawet rzucone słowo ryje niezatarte ślady? Kim jesteś? w którym imieniu przemawiasz? jakie twe godło i wiara twoja? kto twoim mistrzem? czy masz stałe

niezbite przekorania, czy tylko przypuszczenia, wątpliwości? Co dasz temu dziecku, które oderwane od serca matki przychodzi czerpać u ciebie skarby wiedzy i ducha na życie całe. Jeżeli znasz wartość umysłu i prawdy, nie zawahasz się przed narzuceniem tej dziecinie swego sposobu myślenia? jakim prawem podasz jako prawdę czczy system, utopię, złudzenie? Może nie będziesz miał tej odwagi — może przeciwnie, niczego nie narzucisz, nic nie określisz, przed umysłem łakącym, duszą spragnioną prawdy przeprowadzisz nagie fakta historyczne ludzkich poszukiwań i błędzeń — dasz mu pojęcie o wszystkim, ale pewności żadnej — na słabe siły dziecka złożysz ciężki obowiązek wyboru religii, zasad Boga — z wszelkiem prawdopodobieństwem, że nigdy w życiu nie dojdzie do ich posiadania — i to będzie twoje dzieło!

Któż nie odczuje głębokiego ciosu, jaki go dzi w dziecięcą duszę niedowiarstwem matki, przeczeniem ojca, obojętnością obojga, późniejszym kierunkiem szkoły — któż nie zabojele nad tą raną w młodej piersi jęczącą?

A teraz co czeka młodzieńca wyzwolonego już z pod rygoru szkolnego, a częściowo niezależnego i od rodziców, wstępującego w mury uniwersyteckie? Wystawcie go sobie, samego wśród prądów intelektualnych większego miasta — spieszącego usłyszeć mistrzów wiedzy. Oto z nateżeniem słucha słów padających z wysokości katedry, głoszących, iż »człowiek ma duszę nieśmiertelną, chrystyanizm zajmuje pierwsze miejsce wśród różnorodnych religii, że Chry-

stus jest najwyższem objawieniem, Kościół najwspanialszą instytucją« — lecz oto tysiączne pytania cisną się teraz słuchaczowi na usta i pyta: »wara chrześcijańska szczytna — lecz czy boska? objawienie Chrystusa i prawa Kościoła czy obowiązujące? Chrystus jestże Bogiem?« Odpowiedź brzmi: »Zagadnienia te są wprawdzie ważne, lecz filozofia ich nie rozwiązuje — jedni zapewniają — drudzy przeczą. Bóg cię stworzył istotą rozumną i wolną, ty sam masz wybierać między zapewnieniem, a przeczeniem«.

To nie wystarcza młodzieńcowi — słucha wykładów innego mistrza, człowieka młodego, śmiałego, pewnego siebie. Od niego dowiaduje się, że »Chrystus jest tylko człowiekiem, mędrcem, reformatorem — że to, co prostaczkowie nazywają cudem, nadprzyrodzonym, boskiem, to czcze słowa, nic więcej«. — Prawda, że takie umysły jak Augustyn, Tomasz z Akwinu i setki głębokich myślicieli wręcz przeciwne zdania głosili i stwierdzali — lecz świat postępuje i dzisiejszemu prelegentowi oślepiionemu własną wielkością, wygłaszającemu tak stanowczo swe przekonania, wydają się te potężne postacie przeszłości dziwnie małe i niewyraźne. Dziwne też uczucie wstrząsa słuchaczem darmo szukającym pewności i prawdy, a znajdującym tylko wątpliwości — nie opuszcza jednak rąk bezradnie — oczekuje wykładów trzeciego z profesorów, wszak wiadomo, że on przynosi ostatnie słowo wiedzy; cóż on twierdzi? Oto pojęcie Boga — ducha, to bezsens — świat jest wieczny, a prawda wiecznie zmienna. — Bóg to natura, Bóg to siła,

Bóg to prawo matematyczne, — niemal, że nie twierdzi, iż Bóg to nicość, Bóg to zło. — Dla niego nie istnieje ani chrystyanizm, ani Kościół, ani Bóg — istnieje tylko i wyłącznie człowiek, zdążający o własnych siłach do nieokreślonego postępu.

Słyszac tak nieśmiało twierdzenia, a tak zuchwałe przeczenia, co czynić ma młodzieniec? Na co przyda się teraz, po usłyszeniu tylu sprzecznych zdań, pogoń za nowemi? co mu przyjdzie z tego, jeżeli na wzór młodych Greków poszukiwać będzie wciąż nowych mowców, by usłyszeć wszystkie systemy filozoficzne, wszystkie utopie nowożytnych Aten. Co mu przyjdzie z poznania sposobu myślenia Platonów, Zenonów, Arystotelesów naszych czasów, którzy nie chcąc znać Chrystusa ani Jego nauki, przywłaszczają sobie Jego boskie miano, wołając »Jam jest Prawda«. To może jedyny punkt styczny tych mistrzów ludzkiej mądrości: pod tym jednym względem są zawsze, przy wszystkich zmianach niezmienni — takimi byli już za czasów starożytnej Grecyi i Romy, takimi w pierwszych wiekach chrześcijaństwa i takimi widzimy ich dzisiaj — coraz z innymi systemami, zawsze z tą samą pychą.

Jakżeż więc znaleźć tę niezbędną podstawę, bez której życie zawsze chwiejne — nie może nigdy wznieść się na wyżyny — jakże ją znaleźć wśród chaosu wątpliwości i przeczenia, gdy młodzieniec za każdym krokiem czuje, że wszystko gnie się i łamie? Jakże w tym mroku zwalczających, i w proch rozsypujących się systemów, dojrzy on światło prawdy? jak na

tych gruzach rozum zdoła się zakorzenić — jak życie ugruntuje się na pewnych podwalinach, żeby stopniowo wznosić się, wzrastać, utwierdzać i rozwijać w całym blasku? A gdy nadejdą burze życiowe, gdy nawałnica namiętności zaciemni widnokrąg — w chwilach ciężkich nawet dla tych, których umysł czerpał u źródła światłości — jeżeli dusza błędzić będzie rzucona jak łódź bez steru, z fali na falę — jaką pomoc dadzą te prawdy chwiejne, niepewne?

Jeżeli w ciężkiej walce namiętności spustoszeniem zaznaczą swe przejście, gruzy zostawiając po sobie — jakże ten wyznawca racjonalizmu, syn sceptycyzmu, niewiary, podniesie się z upadku?

By się podźwignąć, trzeba mieć punkt oparcia — on tego nie ma. — Rozum, na którym życie opierać się miało, jest już ruiną, ruiną prowadzącą tyle innych. Ileż takich nieszczęsnych ofiar niewiary przesuwają się przed naszymi oczyma? Nie przestąpiwszy jeszcze progu młodości są już ruiną serca i sumienia, ruiną woli i umysłu; wiodą bezcelowy żywot z sercem bez miłości, z wolą bez siły, duszą bez cnót, umysłem bez przekonań, nie widząc nawet przed sobą nadziei zmartwychpowstania.

Jedno zatem pozostaje, oto, by na gruncie chrześcijańskim znaleźć głębę żyzną, gdzie rozum może zapuścić głęboko korzenie, rozrastać i dojść w życiodajnych promieniach pewności i prawdy, do pełni swego rozwoju.

III.

Wychowanie prawdziwie chrześcijańskie i katolickie działa na umysł dziecka w sposób następujący: zapewnia ze Słowem Przedwiecznem prawdy, ze względu na przeznaczenie człowieka najważniejsze — zapewnia je z niezmniejszoną mocą i powagą, a prawda tak stanowczo i bezwzględnie potwierdzona rozwija się w ciągłym postępie, by doprowadzić rozum do doskonałości.

To przede wszystkim nadaje wychowaniu głęboko katolickiemu niezaprzeczną wyższość i pierwszeństwo, że ono jedynie daje rozumowi niezachwiane podwaliny zakorzeniając go w Chrystusie, opierając na boskim fundamencie — i można powiedzieć o ludziach w tym duchu wychowanych, co Święty Paweł mówi o chrześcijanach z Kolossy: »w wierze ugruntowani, stateczni, a nieporuszeni«¹⁾.

Jak wznoszą się w głębi duszy te podstawy wychowania chrześcijańskiego i jak rozum znajduje w tem pierwszym upewnieniu źródło dalszego postępu i doskonałości?

Doskonałość rozumu polega na zjednoczeniu się z pierwiastkiem, treścią rzeczy — na niem musi się oprzeć, by osiągnąć trwałość i siłę. Otóż takim pierwiastkiem, treścią — jest przede wszystkim Słowo Wcielone, Słowo twórcze i objawiające. »Wszystko się przez Nie stało: a bez Niego nic się nie stało, co się stało«²⁾. Oprócz więc rozum na Słowie Przedwiecznem, to oprócz

¹⁾ Do Kolossan I—XXIII.

²⁾ Ewang. Św. Jana I—III.

na pierwiastku wszechrzeczy; to myśl dziecka złączyć z myślą Słowa, zjednoczyć rozum ludzki z boskim rozumem — oprzeć go na Bogu samym. To właśnie cechuje wychowanie umysłowe chrześcijańskie, a przede wszystkim katolickie.

Czy to wychowanie zaczęte przez matkę, a prowadzone dalej przez szkołę, czy zasady wpajane przez usta kapłana, lub też osób świeckich, to mniej ważne — byle kierowane w tym duchu i z tym celem. Każdy wychowawca katolicki, gdy ma przemawiać do umysłu dziecka, może i powinien mu powiedzieć: »Ta nauka nie jest moją nauką — ta filozofia, którą w krótkości ci podaję w słowach tak prostych jak wzniosłych, tak nielicznych jak głębokich, nie jest owocem mej mądrości, ani dziełem mego geniuszu — to Słowo, to Chrystus do ciebie mówi, to mądrość Boża płynie z mych ust. Ta nauka nie przychodzi do ciebie jak człowiek szukający prawdy — ona jest prawdą objawioną, prawdą istotną — ona jedna może powiedzieć: »Jam jest Prawda«. Ta nauka nie roztrząsa, lecz oznajmia — nie przychodzi drogą długich rozumowań ludzkich, nie przychodzi w cieniu, z którego przekonywanie ją wyprowadza — lecz jak promień słońca, który nie potrzebuje być oświetlonym, bo on sam oświeca wszystko, każdego człowieka na świat przychodzącego i nie potrzebując dla objawienia się innej światłości, jak własną — mówi: oto jestem! Nauka ta nie przynosi tak jak systemy ludzkie części prawdy, lecz całą prawdę — ona umysłu twego nie zajmuje imionami licznych filozofów,

lecz ryje na nim jedno boskie imię — Słowo. Ono streszczeniem tego, co rozum uczy ludzkość, co objawienie uczy Kościół — mądrością najwyższą, ujawniającą się człowiekowi, by go doprowadzić do doskonałości, »nauczając każdego człowieka we wszelakiej mądrości, abyśmy wystawili każdego człowieka doskonałym w Chrystusie Jezusie«¹⁾.

W ten sposób, dziecko wychowane w duchu katolickim nigdy nie rozumowało, a ma rozwiązanie zagadnienia, które dręczyło tylu myślicieli. Wie kto Bóg — czym jest dusza — jak powstał świat — gdzie ludzkość dąży; wie, przez co przejść trzeba, by dotrzeć do celu, co czeka po tem ziemskim życiu, co czynić, by osiągnąć przeznaczenie. Kościół przed dziecięcym umysłem nie stawiał nawet pytań, podał mu od razu zapewnienie. Jeżeli w nauce katechizmu posługuje się formą pytań, to tylko dla ułatwienia, nigdy dla wzbudzenia wątpliwości. Poruszać wątpliwości, to zaciemniać światło — dać od razu stanowcze rozwiązanie, to okazać światło w całym blasku. Tak czyni Kościół przez usta matki, wychowawcy — dając dziecku rozwiązanie wszystkich prawd złączonych z treścią, przeznaczeniem, kierowaniem życia. »Dziecko — mówi pewien znakomity mowca — wie wszystko, zanim domysli się, co to znaczy wiedzieć«. Każdy, kto czci Słowo żyjące i przemawiające w Kościele, musi z uwielbieniem schylić czoło, nawet niechrześcijanin musi uznać wielkość tej idei: wpajania w umysł dziecka ze Słowem Chry-

stusowem całej prawdy. Boska to zaprawdę szkoła podająca myśl Bożą w nauce od Boga pochodzącej, w imię instytucji będącej dziełem Bożem, a tem samem nadająca nauczaniu powagę Bożego zapewnienia.

I zaiste, naukę tę stwierdzającą prawdę daje władza, z którą nic na ziemi równać się nie może: ludzka pozornie — boska istotnie. Rodzice, nauczyciele streszczający dziecku dogmat katolicki, są wprowadzić tylko ludźmi ułomnymi, jak wszyscy ludzie w ogóle — matka i ojciec podający dziecku w słowach pełnych miłości tajemnice chrześcijańskie, może to prosi wieśniacy lub robotnicy, nie mający nic wspólnego z wiedzą i systemami filozoficznymi. Czyż dziecko ma zawierzyć ich słowom? Jak może niezawierzyć? czyż nie wiecie, kto tarczą naukę ich osłania, kto ją broni, kto z nimi i przed nimi te same prawdy głosił?

Oto pasterz parafii i wszyscy katolicycy duszpasterze, potem pasterz dyecezyi i wszyscy biskupi, dalej najwyższy Pomazaniec, Ojciec i Głowa Kościoła katolickiego, wreszcie sam Boski Mistrz—Jezus Chrystus. A to, co dzisiaj Kościół uczy od 2000 lat, wyznawały i nauczały niezliczone zastępy świętych mężów i niewiast, apostołowie i ewangelisci; miłością i krwią stwierdzały tysiące dziewic i męczenników; słowem i pismem rozszerzały te jaśniejące pochodnie Kościoła, najpotężniejsze jego filary, święci Ojcowie i Doktorzy, kaznodzieje i filozofowie; przykładem uczyli surowi asceci i bogobojni zakonnicy.

Lecz może spytacie, czym dla dziecka ta nauka i powaga? jak może przyjąć zasady, któ-

¹⁾ Św. Paweł do Koloss. 1—XXVIII.

rych rozum jego objąć nie jest w stanie i świadectwa, z których powagi sprawy sobie nie zdaje? Nie ma wiedzy bez możliwości zrozumienia nauki i osądzenia wartości świadectw — jakże więc, na podstawie wiadomości przyjętej bez współudziału rozumu, istota rozumna będzie mogła wznieść się na wyżyny?

Dziecko, nim zrozumie, już wierzy, przyjmuje bezkrytycznie i tej właściwości, potrzeby jego natury, żadna siła nie zmieni. Ta potrzeba życia intelektualnego, moralnego i religijnego, musi otrzymać przez prawdę, która sama się daje i przez władzę, która sama się stwierdza — zasady, podstawy i punkt wyjścia dla życia. Śledźmy dalej tę Bożą pracę, podziwiamy jednolitość Jego dzieła — zobaczymy, jak to zawierzenie zapewnieniu najwyższej władzy i prawdziwości przez Nią głoszonej, rozjaśnia się powoli, wzrasta stopniowo w światłość prawdziwą i dochodzi do rozpoznania przez istotę rozumną.

W umyśle, do którego ziarno prawdy było rzucone, że się tak wyrażę w cieniu, powstaje w miarę jak ten umysł dojrzewa, zorza coraz wyraźniejsza, która wreszcie w pełnem świetle okazuje mu prawdę i władzę, które już w zaraniu młodości rozum jako takie przyjął. Inaczej mówiąc, w młodej duszy posiadającej dar podwójnego, naturalnego i nadnaturalnego życia, rozwidniają dwie zorze, coraz szerszymi kręgami rozciągające światło i odpowiadające sobie: zorza prawd naturalnych i zorza prawd nadnaturalnych.

W miarę jak dziecko wzrasta, umysł jego potężnieje, porządek i zgodność prawd natural-

nych, rzuconych w głąb jego umysłu przez Słowo twórcze, a rozwinięte przez usta wychowawców, rozjaśnia się coraz bardziej — jego głos wewnętrzny odpowiada głosowi zewnętrznemu i spostrzega, że to, co odbiera z zewnątrz jest niejako odgłosem tego, co mu brzmi wewnątrz. To, czemu dotychczas tylko potakiwał, teraz już pojmuje, może wyrozumować — a choć nigdy nie podał tych prawd w wątpliwość, może je teraz dowieść. Rozumowanie nie jest dla niego bynajmniej punktem wyjścia, lecz jednym szczeblem naprzód dla jego intelektu; nie jest podstawą gmachu, lecz jego uwieńczeniem, a uwieńczenie będzie tem wspanialsze, im głębiej będą tkwić fundamenta na niewzruszalnym gruncie przekonania.

Stopnie, przez które przechodzi dziecko w porządku prawd naturalnych, czekają go również w porządku prawd nadnaturalnych, złożonych w jego duszy przez Objawienie. Boski siew tych prawd rzucony przez Chrystusa, pozostaje w niej jak ziarno w ziemi. Jest on w małym chrześcijaninie jak światło ukryte, poprzedzające używanie rozumu — i gdy Kościół przychodzi potwierdzić dogmat objawiony, gdy kilkoletniemu dziecku mówi o tajemnicy Trójcy świętej, o Boskości i człowieczeństwie Chrystusa, głos wewnętrzny odpowiada głosowi zewnętrznemu, światło wewnętrzne zewnętrznemu, umysł dziecka pod działaniem łaski skłania się do nauki Kościoła. Tu tak samo jak w porządku naturalnym wszystko zaczyna się przez stanowcze upewnienie i wyraźnie określony dogmat — nie, by znieruchomić, zastygnać w duszy dziecka, lecz, by roz-

wijać się stopniowo, z latami, przez poznanie. Zasady rozumu również jak i dogmaty objawienia, złożone w młodej duszy przez rodziców i Kościół, nie pozostają tam w ciemności — nieznacznie lecz ciągle postępujące światło rozjaśnia coraz wyraźniej te dwa światy jego myśli — odkrywają mu ich podstawy, ich szczyty i wzajemny ich stosunek. W prawdach, w które wierzył, nie rozumiejąc ich, odkrywa teraz harmonię, piękno, dobro; nie tylko wierzy, ale już widzi, że słusznie wierzy — świat prawd nadnaturalnych ukazuje mu się promienny światłem i mądrością, a wzamian świat prawd naturalnych odzwierciedla mu światło bożej jasności, zwane wiarą. Rozum odkrywając mu podstawy świata wyższego, świata ducha, umacnia jego wiarę przez wszystko, co mu odsłania i przez wszystko, co ukrywa.

Tak tedy w porządku naturalnym jak i nadnaturalnym rozwija się umysł dziecka, i jeżeli nic nie wstrzymuje normalnego biegu życia, rozwijają się pojęcia tych dwóch światów równolegle, nieustannie postępując. Ogniwo ciągłości tego łańcucha nic nie zrywa — dziecko zawsze wierzyło, nigdy nie wątpiło — zawsze było pewne, nigdy nie przeczyło — przeciwnie, — każda godzina, każdy ruch, każde zwrócenie oczu na Boga i na siebie samego, wskazywały mu coraz wyraźniej powody i rację wierzenia.

Chrześcijanin w tym duchu wychowany, doznaje nie tylko radości, ale i uniesienia z poznania prawdy — prawda przygotowuje mu ucztę niebiańską — zanurza się w jej nurtach błogosławionych i zaznaje w jej blasku świętych upojeń.

Synowie wieku sceptycyzmu, wolnomyślności, nie znają tego czystego wesela, tej pogody jaką wiara w dzieciństwie wlana w serce, a nieustannie wzrastająca, daje rozumowi w czasie jego pełnego rozkwitu. Wielu z was zna to inne szczęście, gdy w chwili ciszy i uspokojenia zbiera się skrzętnie szczątki wiary ocalone wśród nawalnicy — lecz przeważnie nie zaznaliście pełni szczęścia wiary — wiary z dniem każdym głębszej, trwalszej, silniejszej — nie zrównanego szczęścia prawdy poznanej w prostocie, a następnie oświetlonej, umocnionej wiedzą i rozumem.

Ci, którzy przeszli z wiarą nietkniętą przez całe życie — ci, którzy nigdy nie uronili nic z tej prawdy ustami matki w serce wpojonej — niech z głębi serca, ze łzą dziękczynną zawołają: Błogosławionym bądź Panie, iż objawiłeś Twe Słowo już w zaraniu mego życia. O wiaro! o Kościele matko nasza! gdybyż wszyscy ludzie was znali — gdyby wiedzieli co to za szczęście wierzyć od dzieciństwa — wierzyć w pewność coraz się utrwalającą — życzyliby tego, co moje serce życzy wszystkim dzieciom: znalezienia w Chrystusie, przez chrześcijańskie wychowanie objawionym, prawdziwej radości i prawdziwego postępu umysłu.



TRZECIA KONFERENCYA.

Postęp w wychowaniu przez miłość chrześcijańską.

Wskazawszy braki wychowania, które nie chce, lub nie śmie być chrześcijańskie i katolickie, przeciwstawiliśmy mu wychowanie oparte na nauce Chrystusowej. Śledziliśmy pracę bożą w młodym umyśle — widzieliśmy jak katolicyzm naprzód składa w nim wraz ze Słowem Przedwiecznem prawdę, potwierdza ją powagą Boską — jak następnie prawda powoli rozwija się, rozjaśnia, by z biegiem lat doprowadzić umysł do doskonałości.

Sprawdzając do tych podstawowych początków kształcenie intelektu, nie myślałem bynajmniej zaprzeczać ważności i godności wiedzy — chciałem tylko zaznaczyć doniosłość błędu znacznie większego, niż się to na pozór wydaje, mianowicie: pomieszanie dwóch tak różnych pojęć jak: dodatkowy, późniejszy rozwój umysłu i — rozwój jego istotny, podstawowy, bez którego dziecko nie może stać się człowiekiem. Błąd to niezmierniej wagi, bo godzi nawet w najbogaciej uposażone umysły, raniąc je nieuleczalnie; to też przy dzisiejszym kwitnącym stanie wiedzy, nauki, literatury Europa przedstawia

dziwny widok — najwyższego wzniesienia i najniższego upadku.

Na czem polegają te łatwe tryumfy nad myślą ludzką, które dziś kłamstwo święci? skąd ich zwycięstwa bez walki, upakarzające szlachetność duszy i godność umysłu? Przysnaję, iż różne są powody tego zjawiska intelektualnego i moralnego życia, lecz niezaprzeczalnie głównym powodem jest to, iż rozum ludzki nie zagłębia się dziś swymi korzeniami w prawdzie — nie ma korzeni, bo nie ma zasad, a nie ma zasad bo nie otrzymał prawdy od władzy niewątpliwej. Brak stanowczego zapewnienia pozbawia umysł punktu oparcia, a życie podstaw. Zbieramy niemoc; jeżeli zatem chcemy podnieść ludzkość, dajmy rozumowi właściwe podstawy: oprzyjmy go na Słowie, bo Ono prawdziwą światłością, życiem i postępem ludzkim.

Na kształtowaniu umysłu nie kończy się jeszcze wychowanie człowieka — to dopiero początek. Poznaliśmy podstawę, teraz przejdziemy do środka. Pierwszą czynnością wychowawcy jest nauczyć wierzyć — drugą, nauczyć kochać. Jak widzimy braki w umyśle, który nie rozwijał się w wierze, tak też spostrzegamy braki w sercu, które nie rozwijało się w miłości. Szczera miłość w sercu tego, kto wychowuje i tego kogo się wychowuje, stanowi główny, a niezbędny warunek dla kształcenia serca dziecka — chrześcijaństwo zaś jedynie zdolne stworzyć miłość, któraby temu warunkowi w zupełności odpowiadała.

I.

Zanim wykażemy, jak miłość wywiązuje się ze swego zadania w wychowaniu człowieka, rzutem oka obejmijmy rozwój życia ludzkiego, a zobaczymy, że miłość objawia się wszędzie jako najwyższe prawo wychowania, bo jest najwyższym prawem życia.

Patrzcie na kwiat zwrócony do pierwszych słonecznych promieni, by wchłaniać jego życiodajne światło i ciepło — otwiera swe listki, rozpościera jak najszerzej, by dobroczynne słońce do jego wnętrza, do kielicha przeniknęło. Życie ludzkie, ten najpiękniejszy kwiat Bożego siewu, w podobny sposób się rozwija. Punktem środkowym, tym kielichem życia jest serce — niem życie oddycha i krąży, przyciąga i odpycha, zacieśnia się i rozszerza — przez to środowisko miłości życie, będące jeczczke w pączku, stara się rozwinąć. Dlatego jak słońce dla kwiatu, tak miłość jest koniecznością dla życia — dla tego człowiek już w zaraniu bezwiednie ją przyzywa — usta dziecięce jeszcze myśli wypowiedzieć niezdolne, a już głos tajemniczy szepce mu w sercu, już rozjaśnione oczka wołają »kocham«. Jak naturalnem jest, że orzeł wzbija się pod obłoki, że źródło przejrzystą wodą tryska, ognisko jasno płonie, tak naturalnem, że serce ludzkie kocha niemal od pierwszego dnia swego istnienia — miłość jego prawem i powołaniem, jego pierwiastkiem i treścią, jego życiem.

Jakżeż możliwe zatem, by kształcenie człowieka odbywało się inaczej, jak w miłości i przez miłość. Co stałoby się z drogocenną a wątłą ro-

śliną, gdyby nierostulone jeszcze listki zmroził ostry podmuch wichru? co stałoby się z młodem delikatnem sercem, gdyby pierwsze tchnienie, które poczuje, było pozbawione ciepła miłości? co stałoby się z biednem, łaknącem miłości sercem dziecięcem, gdyby nie kochało i nie czuło się kochanem?

Ojcowska ręka Boga temu zapobiega. Nowopowstałe, nieświadomie łaknące i potrzebujące miłości życie, jest niem od kolebki otoczone; w ciepłe ogniska domowego, pod opiekunem skrzydłem dwojga ludzi, dożgonnym węzłem miłości złączonych, ma wzrastać i rozwijać się. Ojciec i matka pochylają się nad kołyską dziecka — tu miłość ich spotyka się, potęguje, jasnym a ciepłym promieniem otacza niemowlę — w niej życie dziecięce czerpie moc rozwoju.

Później wychowanie dziecka, może z konieczności, obcym będzie powierzzone, lecz w porządku przez Opatrzność ustanowionym, podstawy wychowania, kamień węgielny życia całego, zakłada miłość ojca i matki.

Miłość, to słońce, w którego blasku dzieciństwo i młodość mieni się barwami tęczy; ten promień złoty, tryskający z rodzicielskich serc, pierwszy zagląda w zaciśnięte oczka dzieciny, pierwszy ogrzewa drobną istotkę rączki ku niemu wyciągającą — ten promień złoty kładąc na czole dziecka cichy pocałunek rozjaśnia oczka blaskiem radości, uśmiechem szczęścia twarzyczkę opromienia. Ten złoty promień dniem i nocą czuwa nad wezgłowiem dzieciny — on bóle jej uśmierza, pierwsze łzy osusza, ruch każdy śledzi, nad snem ma pieczę; on śmiech jej w cu-

dne dźwięki zmienia, a pierwsze słowa długotrwałem echem w sercach rodzicielskich powtarza.

Patrzcie na matkę tulącą swe dziecko, patrzcie na dziecko słodko usypiające na rękach matki — czy nie odczytujecie na kartach tej zawsze otwartej księgi ludzkości dziejów własnego dzieciństwa? Jak błogo wspomnieć te już mgliste, a przecież jasne chwile, jak dobrze zrozumieć w świetle doświadczenia, choć już bez możliwości odczucia, to, co w dzieciństwie odczuwaliśmy — choć bez możliwości zrozumienia, — że miłość była w ognisku rodzinnem pierwszym słowem, pierwszą nauką, wprowadzeniem w życie.

Jakież dalsze dzieje tego wychowania czerpiącego z miłości początek, dającego rodzinie rozwój? Wychowanie ma zapoznać człowieka z życiem społecznym, urobić go na pożytecznego członka społeczeństwa — musi zatem rozwinąć w dziecku zdolność do życia społecznego, wyrobić poczucie potrzeby łączenia, jednoczenia się — wpoić zrozumienie konieczności nie zacieśniania, zamykania się w egoizmie, lecz rozciągania ramion i serca do uścisku i związku bratniego — musi uspołeczniać przez skłanianie do czynienia dobrze, oddziaływania na swe otoczenie. Każdy zrozumie, że jeżeli wychowanie jest dziełem miłości, pierwszą jego czynnością musi być usunięcie największego tejże miłości wroga — egoizmu. Egoizm, to barbarzyńca — on uśmierca uczucia społeczne, a nawet zwykłą towarzyską uprzejmość, grzeczność wypływającą z wrodzonej dobroci. Dobroć może, nie znajdując jakichś form przyjętych, uchybić im — nie uchybi,

jednak nigdy tej istotnej uprzejmości, która sprawia, iż z prawdziwym wewnętrznym zadowoleniem przebywamy w towarzystwie ludzi tą uprzejmością się odznaczających.

Kochajcie, a spełnicie obowiązek tak względem społeczności ludzkiej w ogólności jak i chrześcijańskiej w szczególności, gdyż jak sprawiedliwość rządzi społeczeństwem, tak miłość daje mu siłę, urok, szczęście. Uczcie się od najwcześniejszych lat zapominać o sobie, a pamiętać o drugich, łączyć siłę charakteru z dobrocią serca — bo to ideał cnót społecznych, zatem ideał wychowania przygotowującego i wdrażającego młodzież w życie społeczne.

Aby wychowanie osiągnęło swój cel, aby dziecko w przyszłości odpowiedziało temu ideałowi, jeden warunek niezbędny — musi wzrastać w miłości. Odczuwając jej słodkie odżywcze tchnienie, dziecko mimowoli zwraca się do miłości, uczuwa jej powagę, uczy się kochać. To przygotowanie do życia społecznego przez wychowanie w miłości, przybiera z wiekiem dziecka różne odcienia — łagodniejsze w latach najmłodszych, silniejsze w późniejszych. Lecz miłość zawsze musi tu towarzyszyć, bo dziecko zawsze jej potrzebuje — i wychowanie stale, choć pod zmieniami formami musi dążyć do wpojenia podstawowego, zarówno w życiu jak i w wychowaniu, prawa miłości.

Co wychowanie ma tedy zdziałać w dziecku? Musi stworzyć nić sympatyj, łączącą serce dziecka z sercem wychowawcy i z tem wszystkim, co jego usta w młodociany umysł i serce składają, — a więc tradycje, obyczaje, cnoty, za-

sady, jednym słowem wszystko co prawe i święte. Lecz przedewszystkiem wychowanie musi przywiązać duszę najsilniejszymi więzami do prawd i doktryn, których poznanie stanowi podłoże życia intelektualnego i moralnego, religijnego i społecznego. Wykazaliśmy konieczność dania życia podstaw przez upewnienie — lecz jeżeli władza może w ten sposób umocnić życie w zasadach, to jedynie miłość może do nich przywiązać. Taką już jest natura ludzka — wtedy tylko człowiek zdolny przyjąć prawdy usłyszane i wtedy tylko głęboko przejąć się niemi, jeżeli serce przylgnęło do nich szczerem uczuciem, to znaczy, gdy pokochało to, w co mu wierzyć kazano.

Otóż do uzyskania tego, by dziecko całem sercem przywiązało się do podstawowych prawd życia, nie ma pewniejszej drogi jak miłość wychowawcy do wychowanka, jak umiejętność wzbudzenia wzajemnej miłości.

W rodzinie miłość, którą dziecko odczuwa dla rodziców, spływa na wszystko, co od nich pochodzi. Dla tego to trudno wyrzec się całkowicie wiary, którąśmy z ust matki otrzymali. Zwykle dopiero po ciężkich, bolesnych przeżyciach odstępować się całkiem na zawsze zasad, które niegdyś wypływając z macierzyńskiego serca, były pierwszym światłem duszy naszej. My kochamy w głębi serca tę prawdę i tę wiarę, która wzrastała w nas wspólnie z miłością — i nawet po długoletnim zapomnieniu obowiązków, które wiara na nas nakłada, kiedy wybujałe namiętności stłumiły ją, zdaje się, doszczętnie, nadchodzi chwila, że człowiek odnajduje tę wiarę, żyjącą gdzieś na dnie duszy, jako nie-

zniszczalną część swą synowskiej miłości, jako niezatarte wspomnienie szczęścia lat dziecięcych.

Tak samo powinno być i w szkole, ognisku domowem rozszerzonym w bardzo liczną rodzinę zebraną, by otrzymać słowa prawdy i wiary, wygłoszone z rodzicielską miłością. Wychowawca, który jest kochany, bez trudności przekonyduje o tem, czego naucza — przekonanie poparte twierdzeniem zstępuje z jego ust do serc małych słuchaczy, ponieważ w jego słowach prawda i miłość są nierozłączne. To największa tajemnica wychowania: umieć wpoić z poznaniem miłość rzeczy poznanej.

Słońce obdarza ziemię równocześnie światłem i ciepłem — to jest też zadaniem wychowania: oświecać umysł, rozgrzać serce. Ojciec niebieski tak właśnie z ludźmi postępuje — objawia się w swych dziełach, by ludzie, poznawszy Go, ukochali. Trzeba — mówił pewien znakomity mówca starożytności — by uczeń kochał mistrza, jako ojca swej duszy, to dla samej nauki będzie pomocą nadwyzczajną. Nawet ten myśliciel, który w XVIII wieku w tak niepojęty sposób zapoznawał właściwy sposób kształcenia dziecka, uznał niezrównany wpływ wychowania przemawiającego do serca. »Mam szczęście przekonać się, że chociażby się miało skłonności do złego, trudno by wychowanie, w którem serce współdziałało, było zupełnie straconem«. Tak, nie może być straconem, bo ryje niezatartymi głoskami w duszy, sercu, życiu całem święte zasady, które kochać nauczyło. I kiedy dni uchodzą, oddalając coraz bardziej promienne chwile młodości, zbliżają nas do grobu, ona

żyje wiecznie w wspomnieniach; przychodzi do nas jako woń kwiatów za młodu ukochanych, a mających dla nas dziś jeszcze tę samą świeżość i barwę — i kiedy skarb złożony przez nią niegdyś w serce nasze rozbija się na skalistej drodze życia, wychowanie w miłości da nam moc, by drogocenne szczątki znów w całość się spoiły i blaskiem, którym świeciły w młodości, starość nam opromieni.

To pierwszy warunek wychowania — przywiązać człowieka do zasad, które się mu wpaja, t. j. do podstaw życia; drugi warunek — otworzyć duszę, otwierając serce. Dziecko zamykające duszę przed wychowawcą, utrudnia mu niezmiernie pracę. By ukształtować człowieka, nie wystarcza dotknąć go powierzchownie — trzeba w głąb jego wnikać. Jak ogrodnik, hodujący kwiaty, musi każdej chwili mieć możność zaglądnięcia do nich — tak i wychowawca musi każdej chwili mieć możność wglądnięcia w duszę dziecka, by pielęgnować kiełkujące cnoty, te nasiona ręką Bożą zasiane. Bez tego otwarcia serca i duszy ułatwiającego dostęp wpływom wychowawcy, wychowanie nie jest możliwe; nauczanie może zwiększać zasób wiedzy, karność może nagiąć do pewnych przepisów, ale to nie jest właściwe wychowanie. Wychowanie powinno wyrabiać w dziecku otwartość, prostotę, czystość, niewinność, szczerość — powinno zapomocą zaufania i wymiany myśli wyrobić ten nieoszacowany przymiot, szczególnie urok wieku dziecięcego — przejrzystość duszy. Otóż, nie mając otwartego serca, dziecko nie może nabyć ani prostoty, ani szczerości — zamyka się samo

w sobie ze swemi dziecięcemi tajemnicami, co niemal zawsze równoznaczny — z wadami; te wady, które przy otwartości dziecka znikłyby łatwo pod wpływem wychowania — kryją się w głębi duszy tocząc ją, jak robak toczy owoc, w którym się ukrywa. Przed czasem i wbrew prawom natury dziecko staje się ponure, nieszczerze, tajemnicze i niezbadane, skłonne do kłamstwa i samotności, tak zazwyczaj przeciwnej upodobaniom dzieciinnym.

I skądże w dziecku takie upodobanie? bywa wrodzone, nie przeczę, lecz często wyrabia je nieodpowiednie wychowanie, które rozwijając umysł, zaniedbało serce. Ponieważ już u najmniejszych dzieci spotyka się usposobienia bardzo różne, nie można do każdego dziecka stosować tej samej metody. Inaczej postępuje się z dzieckiem mającem wrodzoną skłonność do skrytości, inaczej z dzieckiem garnącym się w pełnem zaufaniu — tam powoli, ostrożnie torować sobie trzeba drogę do tej zasklepionej duszyczki, tu pełnemi rękami czerpać skarby w dziecięcem sercu. Poszczególne sposoby postępowania muszą zatem być różne, lecz wszystkie objęte jednym, niezmiennem prawem miłości.

Jak niewątpliwem jest prawo fizyki, że wszystkie ciała rozszerzają się pod wpływem ciepła — tak niewątpliwem prawo wychowania, że dusze otwierają się pod wpływem miłości. A czyż miłość łatwiej otworzyć może serce dziecka, jak miłość matki? wszak ona płynie w jej piersi na to, by ogrzać małą, wątłą istotkę, by otaczając ciepłem rozwój jej zapewnić.

Szczęśliwe też dziecko, które opuściwszy dom rodzicielski może przed wychowawcą bez wielkich wysiłków, nieledwie jak przed matką serce swe otworzyć; szczęśliwe, jeśli zdala od ogniska domowego znajdzie wychowawcę zacnego charakteru, a umiejącego szczerem uczuciem znaleźć drogę do jego serca. W tym synowsko-ojcowskim stosunku między uczniem a nauczycielem, gdzie dziecko wzamian za dobroć daje zaufanie, dusza będzie coraz jaśniejsza, piękniejsza, coraz bardziej na obraz i podobieństwo Boga.

Jest jeszcze trzeci warunek konieczny w wychowaniu takim, jak my je rozumiemy — uczynić dziecko szczęśliwym. Dla każdej istoty żyjącej są pewne niezbędne warunki dobrobytu, bez których odpowiednio rozwinąć się nie może. Dla człowieka, który żyje rozumem i sercem, konieczną jest pewna suma zadowolenia duszy, błogości moralnej, bez czego życie nie dojdzie do pełni rozkwitu. Jakżeż wzrastać i rozwijać się w środowisku nieodpowiadającym niezbędnym potrzebom? Nie znaczy to bynajmniej, by wychowanie miało wykluczać wszelkie cierpienie; nie — przeciwnie, dziecię przychodzi na padół płaczu, zrodzone w boleści — słuszną zatem, by i to wyższe życie, życie ducha bólem rozpoczęte było. Nie jestem przeciwny cierpieniom, które dziecko odczuwa zwalczając swoją naturę, gwałt zadając namiętnościom — łzy, które ból ten wy-ciska, to chrzest nowego człowieka, umocnienie budzącego się hartu. Lecz czego nie chcę na ten wiek rozwoju dziecka, to stałego smutku, tej moralnej choroby duszy, ścieśnionej w nieodpowiedniem

jej środowisku, nie mającej gdzie czerpać sił żywotnych.

Rodzice zajmują się aż do zbytku dobrobytem materyalnym swych dzieci zarówno w domu, jak i wtedy, gdy zmuszeni zdać je na obcą opiekę. Czy pożywienie dość smaczne, mieszkanie dość wygodne, czy nie za zimno, lub nie za gorąco, to ich wieczna troska. Nie idźcie w tej troskliwości za daleko — trochę niewygody hartuje, wzmacnia ciało, przygotowuje duszę do walk życiowych — o to się tak nie lękajcie, ale raczej lękajcie się dla dzieci waszych atmosfery, w której dusza daremnie swobodnie oddychać się sili — lękajcie się dla nich młodości оголо-conej z radości i uśmiechu — lękajcie się tego chłodu, który mrozi serce w samej wiośnie życia. Starajcie się nietyle o dobrobyt ciała, ile o dobrobyt duszy. Bez wewnętrznego zadowolenia, bez uczucia szczęścia dusza i serce się nie rozwiną, jak kwiaty bez słońca nigdy nie zakwitną wspaniale — znędzniałe, zziębnięte i biedne staną w jesieni życia, nie zaznawszy nigdy rozkoszy i ciepła wiosny.

Dla niewinnego serca i czystej myśli dziecięcej nie ma radości, gdy nie ma miłości. Pierwsze wrażenia, które dziecko odbiera niezatartym stygmatem znaczą mu duszę — obowiązkiem tedy rodziców i wychowawców wyteńczyć swe siły, aby w wspomnieniach lat dzieciennych wychowawcy ich przez całe życie, jak w niewyczerpanem źródle zasilać się mogli.

Rodzina bogata, czy uboga, łamiąca się z przeciwnościami losu, czy bez trosk żyjąca, musi dać dziecku pewien zasób szczęścia, z któ-

regoby w latach późniejszych, może ciężkich i bezsłonecznych, czerpało. Widok spokojnego szczęścia domowego, odczucie głębokiej miłości łączącej wszystkich członków rodziny, umiejętność radowania się tak codziennym jak i nieoczekiwanym błyskiem słońca, pogodne czoło mimo, że troska nieraz zawita — oto atmosfera, w której wzrósłszy dziecko, musi odnieść wrażenie jasnego, szczęśliwego dzieciństwa. Co więcej, gdy w późniejszym życiu samo z bólem się zetknie, tem więcej zrozumie miłość i wartość moralną tych, którzy mu dzieciństwo i młodość opromieniali — w ich przykładzie nowych sił odnajdzie źródło.

Oto dobrodziejstwa wychowania w miłości: dziecko kochając wychowawców, kocha zasady od nich otrzymane — miłość otwierając serce, rozwija je i udoskonala i wreszcie wzbogaca życie dając mu to, co najdroższe naturze ludzkiej, najbardziej sprzyjające rozwojowi: zadowolenie moralne i poczucie szczęścia.

Przeciwnie, jeżeli dziecko właśnie w tym okresie, gdy jego myśli i serce najintensywniej może dla przyszłości pracują, nie znajdzie się otoczone miłością, cóż się stanie? Niezdolne najbliższym okazać przywiązania, którego z ich strony nie odczuwa, ukrywa na dnie duszy skarby uczuć, a one nie mogąc rozlać się szerokim strumieniem na zewnątrz, gnębione i uciskane przechodzą smutne przeobrażenia, zmieniając się ostatecznie w twarde, zamknięty egoizm i to wtedy właśnie, gdy każde serce najszerzej i najszerzej dla innych się otwiera.

Kiedy dzieckiem nieumiejącem i niemogącym kochać zawładnie egoizm, w ślad za nim do biednego, wydziedziczonego z miłości serca wślizguje się pokusa nienawiści — nie mogąc kochać musi nienawidzić. Uczucie to godzi najpierw w tych, od których czuje się zależnym, w wychowawców, którzy tak źle wywiązali się ze swego posłannictwa miłości. Cóż w tem dziwnego — oni mu dali tylko odczuć przygniatający je ciężar ich władzy, nie dając zakosztować czaru miłości. Dziecko skłonne do znienawidzenia tych, co mu zabierają swobodę, nie dając wzajem przywiązania; wychowawca zaś musi kazać się słuchać, musi kazać się szanować, w ostateczności musi czasem skarcić. Jeżeli dziecko w słowach rozkazu, w wymierzonej karze nie ucuwa miłości, wychowca w jego wyobraźni wyrasta w niegodziwego tyrana, a serce odwraca się od niego ze wstrętem i nienawiścią. Uszanowanie, którego wychowawca dla siebie żąda, wywołuje uczucie wprost przeciwne, pogardy — kary wywołują chęć zemsty, a posłuszeństwo, do którego jest zmuszone, dziecko wynagradza sobie świadomym uczuciem nienawiści. I wtedy na nic całe wychowanie — wszystko, co dziecko miało ukochać, odrzuca bezwzględnie, jako pochodzące od znienawidzonej osoby — zamiast otworzyć serce zamyka je, uzbraja bronią nienawiści — w miejsce czystych radości serca kochanego i kochającego, wstępuje czarna chmura nienawiści, a co może gorsze, przekonania, że się jest nienawidzonym.

Biedne, bardzo biedne dziecko, które w zaraniu życia poznało nienawiść — fala uczucia,

którem wzbierała jego młode serce, wysychała, zamierała, ginęła powoli. Może imię, które wzrusza do głębi każde w miłości rozwinięte serce, imię matki, nie budzi już w niem rozgłosnego, radosnego echa — gdy wraca do rodziny, szczęście jak dawniej z oczu mu nie tryska, uśmiech twarzy nie rozpromienia, serce tak żywo nie bije — przychodzi chwila, gdy wzrok jego zimny, milczące usta wyjawiają zrozpaczonej matce nieszczęście, którego nadewszystko się obawiała — straciła serce dziecka. Może pierwsze lata dzieciństwa spędzonego w domu, nie dość głęboko wpoili miłość w jego duszę — może te lata wśród obcych spędzane, gdzie tyle znalazł dla umysłu, ale nic dla serca tak oziębiły i zmroziły w nim uczucie?

Teraz ze zrozumiałym niepokojem zapytacie, gdzież dziecko znajdzie tę miłość, która choć zdala od rodziców wiernieby ich miłość odzwierciedlała? Kto zdolny stworzyć i wyprowadzić z serca obcego człowieka miłość taką, jaka płonie w ojcowskim i macierzyńskim sercu? Zbadaniem tego obecnie się zajmamy.

II.

Jest w życiu rodziców, a przedewszystkiem w życiu matek chwila pełna bolesnej powagi — to chwila, w której dziecię znające dotychczas tylko ich pieszczoty, ich uśmiechy, musi się z nimi rozłączyć, by zdala od nich szukać skarbów wiedzy, których zacisze rodzinne nie byłoby w stanie mu dostarczyć.

Kto wypowie, co odczuwa matka, widząc zbliżającą się chwilę rozstania. Jaki lęk ogarnia jej duszę — jakie obrazy przesuwają się przed jej rozbudzoną wyobraźnią? Ile razy tuląc ukochane dziecię do łona i myśląc o przyszłości, szepce raczej sercem, niż usty: »Dziecko moje najmilsze, dotychczas rosłeś pod mem okiem, otoczony moją opieką; serce me rozumiało serca twego bicie i miłość moja za wszystko ci starczyła. Byłeś słaby, lecz moje ramiona cię otaczały — byłeś nieudolny, lecz ja byłam twą mocą — byłeś niewinny, a serce moje dzień i noc czuwało nad zachowaniem czystości twej duszy, — lecz teraz, zdala od domu rodzicielskiego, kto będzie tak dbał o ciebie, kto poświęceniem i miłością cię otoczy — co z tobą się stanie, gdy zabraknie ci serca macierzyńskiego? Czyż mogę mieć nadzieję, że znajdziesz kogoś, kto choć częściowo moją opiekę, moją miłość ci zastąpi? Wszak tylko wtedy wyrośniesz na dzielnego człowieka, jeżeli kierowniczką twej młodości będzie miłość!«.

Słuszność ma serce matczyne. By dzieło matki poprowadzić dalej, trzeba również macierzyńskiej miłości, a przynajmniej miłości najbardziej do tej zbliżonej. Lecz gdzież źródło, z któregooby tryskało uczucie tak czyste i twórcze, jak miłość macierzyńska? To uczucie, którego każda matka tak pragnie dla opuszczającego progi domowe dziecka, nazwaćby można najszczytniejszym uczuciem na ziemi, — lecz niestety jakże trudno je znaleźć w rzeczywistości. Właściwie żadnej matki marzenia pod tym względem całkowicie spełnić się nie mogą. Gdy znajdzie

nawet osobę o sercu najbogaciej przez Opatrzność do tego posłannictwa uposażonem — i to nigdy nie odpowiada w zupełności jej marzeniom. Bo jakże zastąpić serce matki nieobecnej? Matka z łatwością znajduje w sercu i umyśle zasoby potrzebne, by podolać tej żmudnej a nieraz bolesnej pracy, jaką jest wychowanie; inaczej przedstawia się kwestya, gdy człowiek obcy bierze ciężką odpowiedzialność wychowywania dzieci nie swoich, dzieci, do których nie skłania go wrodzone uczucie, ani łączy jedność krwi.

Nie trzeba zatem ludzić się daremnie. Nie chodzi o to, by poza ogniskiem rodzinnem znaleźć drugą rodzinę i w niej niezrównany urok i szczęście życia domowego — wystarczy, gdy znajdzie się to, co w wychowaniu najbardziej się zbliża do pierwowzoru rodzicielskiej, nieustannej, a skutecznej pracy.

Daremnie szukam poza obrębem miłości i poświęcenia, wypływającego z miłości Chrystusa, uczucia, któreby w wychowaniu dzieci obcych najbardziej upodobniło się do ideału ojcostwa i macierzyństwa — wszystko, co znajduję, to tylko bolesne rozczarowanie dla serc rodzicielskich. Nie mam na myśli tych wypadków wprost rozpaczliwych ze względów pedagogicznych, gdy dziecko z ramion miłości wpada nagle w ręce egoizmu; z zacisza cnoty i niewinności, w jaskinię grzechu i zepsucia; myślę o ludziach tak uczciwych i oddanych, jak tylko to możliwem, ale pozostających wyłącznie pod wpływem natury i rozumu, a nie czerpiących u stóp Chrystusa boskiej tajemnicy miłości.

Co zdolne w wychowaniu zastąpić miłość matki? czy potęgą obowiązku? Do niego odwołuje się uczciwy człowiek, podejmujący się wychowania waszych dzieci. Przyjmując zobowiązania, którym chce godnie odpowiedzieć, roztrząsa je, by z całą świadomością dążyć do celu. Wie, że się zobowiązał poświęcić dla dobra dzieci, że obiecał je wychować, wyprowadzić na ludzi — rozumie, że warunkiem niezbędnym dobrego wychowywania jest miłość, — postanawia tedy kochać dzieci, chce tego, pewny że znajdzie w sercu swem miłość potrzebną — że uczucie, które u ojca jest wrodzonym i z serca wypływa, u niego pochodzić będzie z nakazu sprawiedliwości i obowiązku. Lecz któż z nas, jeżeli tylko szczerze zajrzy w własne serce odpowie śmiało i z przekonaniem, że postanowienia te starczą za wszystko, starczą zawsze i wszędzie do wypełnienia tego trudnego zadania? Czyż można uwierzyć, żeby sama myśl obowiązku świetlana, lecz zimna jak światło gwiazdy, mogła zastąpić uczucie i wpływ miłości? Żeby dusza tchnęła w kogoś życie, lub to życie rozszerzyła, musi je ciepłem otoczyć. To ogólne prawo tworzenia — tylko ciepło jest płodne, tylko ono pozwala kielkować, rozwijać się, kwitnąć, wydawać owoce. To prawo rządzące światem materyalnym, niemniej rządzi światem moralnym. Serce i dusza, uczucie i rozum przeczą złudzeniu, aby zimna myśl obowiązku mogła zastąpić ciepło miłości.

Nie, zaiste kto nie zechce pójść dalej jak prawo nakazuje, kto kierować się będzie tylko sprawiedliwością i koniecznością, ten niezdolny

zastąpić serca matki — taki może być doskonałym człowiekiem, lecz nigdy doskonałym wychowawcą.

Co może zastąpić miłość matki? czy postępowanie oparte na zrozumieniu własnego interesu? Tem mniej stanowczo. Człowiek, któryby w wychowywaniu widział zapewnienie swego bytu, przyszłość swą, powiedziałby sobie: »Im lepiej będę wychowywał, tem większą korzyść osiągnę. — Mój interes współzawodniczy z miłością rodziców o dobro dzieci — nakazuje mi wywiązać się jak najlepiej z roli wychowawcy«. Czyż ktokolwiek kierujący się zdrowym rozsądkiem, da się wziąć na ten, tak mało zachęcający lep dobrze pojętego własnego interesu? Jakże z egoizmu wypłynąć ma poświęcenie? Czyż interes, choćby najuczciwszego spekulanta zastąpi miłość macierzyńska? A może pomyślicie, że przecież człowiek przeciętnie o nic bardziej nie dba jak o swą korzyść, o swe dobro, że to może będzie zatem najpewniejsza rękojmia dobrego wychowania waszych dzieci. Zapominacie, że przy urabianiu duszy i serca człowieka trafia się na tysiączne subtelności, rzeczy delikatnych, głęboko utajonych, poufnych, nieuchwytnych, które miłość przeczuwa i rozumie, a do których człowiek interesu, nawet najbystrzejszy, nietylko, że dotrzeć nie może, lecz nawet istnienia ich domyśleć się nie zdoła. Zresztą przekonaliśmy się już, że dziecko pokochać może tylko tych, którzy go kochają, a nigdy, przenigdy interes nie zastąpi dziecku serca. Bo cóż go obchodzą korzyści wychowawcy? czem są dla tej serdecznej, potrzebującej pieszczot istotki sumienne, lecz po-

zbawione miłości, starania obcej osoby? Młode, niedoświadczone, lecz kochające serce twardego sztychu nie weźmie łatwo za złoto miłości.

Co zastąpi miłość matki? Czy dobroć wrodzona? Wystawmy sobie, co można najlepszego pod tym względem, człowieka wyjątkowego, którego serce dobre, łagodne i kochające czuje pociąg do dzieci. One z natury miłe, on z natury dobry — cóż kosztować go będzie poświęcić się dla nich?! Wiele i to znacznie więcej, niżby się zdawać mogło. Ten człowiek jest dobry, nie ma wszakże serca matki, więc mimo wrodzonej dobroci nie posiada skarbów niewyczerpanej łagodności, tak niezbędnej w wychowaniu. Wychowanie wymaga słodyczy i dobroci, której nic nie męczy i nie niecierpliwi, nic nie zniechęca i nie wyprowadza z równowagi. Na jakież próby dzieci wystawiają nieraz cierpliwość matki, a co dopiero wychowawców. Jedno dziecko zdolne częstokroć zachwiać spokój serca pełnego dobroci i miłości, — cóż dopiero żywość, nierozwaga całej rzeszy dziecięcej, gdzie często złośliwość z krnąbrnością zdają się iść na wyścigi, o ileż prędzej zniechęci miłość, zniecierpliwi łagodność. Matka niejedno musi znieść, przecierpieć, by wychować dzieci — dobry wychowawca biorąc obowiązki rodzicielskie, bierze też ich troski. Nieraz kochające serce jego bólem się ściska. Ba, lecz gdzież są ci ludzie gotowi tyle dobroci, czuwania, przywiązania i bólu poświęcić dla obcych im dzieci? Przejdźcie cały świat, jak długi i szeroki — a prócz tak bardzo nielicznych wyjątków, że nie można ich brać w rachubę — nie znajdziecie ich nigdzie poza chrześcijaństwem. Te perły nie-

ocenionej wartości, te serca umiejące zastąpić dzieciom serca rodzicielskie, można znaleźć tylko tam, gdzie nauka Chrystusa najwznioślejszą miłość głosi. Tam można spotkać tych wychowawców, urobionych miłością Chrystusa i czerpiących w Jego Boskiem Sercu siłę uczucia, tak nieodzownego do kierowania waszemi dziećmi. Lecz zważcie dobrze, że specyalne uzdolnienie, które przyznaje wychowawcy głęboko przejętemu duchem Chrystusowym, nie każdy osiąga — przywilej ten należy do tych, którzy starają się go zdobyć.

Katolicyzm ma dla zastąpienia rodziców przez wychowawców środki niezrównanej skuteczności. Składa w sercach tych, którzy się temu zadaniu poświęcają, skarby miłości ludzkiej i miłości bożej. Łączy je w taki cudowny sposób, iż z tych dwóch pierwiastków powstaje miłość godnie mogąca zastąpić serca ojca i matki — silna jak miłość ojcowska, czuła jak macierzyńska.

Jak Bóg użycza każdej roślinie pewnej ilości soków, tak też wlewa w każde serce pewną miarę miłości. Część uczucia płynie drogami przez Opatrzność wszystkim wyznaczonemi, spływa na rodziców, rodzeństwo — lecz serce ludzkie szerokie, dużo miłości zawiera — jak pozostała rozrządzi, od jego wyboru już zależy. Może ją oddać światu, lub Bogu, używaniu lub poświęceniu. Lecz pamiętajcie, świat, gdy raz dar tak drogocenny otrzymał, nie łatwo praw do niego ustępuje, owszem w jak najkrótszym czasie stara się go wykorzystać — i to jest rozpacz tych, którzy niebacznie miłość na używa-

nie życia roztrwonili, że zbyt prędko czują, iż źródło jej w sercu ich wysycha. Ci nie są godni zbliżyć się do waszych dzieci. Lecz przypuśćcie, iż jest człowiek, który nic nie uronił z tego daru Bożego — nie zniżając się do uciech znikomych miłość swą zwracał do wyższych celów, serce cnotliwe i gorejące wznosił do Boga. Szczęśliwe dzieci, któreby jego opiece powierzone zostały — on powołany do wychowywania, potrafi im zastąpić serce rodzicielskie. Ludzie posiadający tę zdolność dla was nieocenioną, czerpią ją jedynie w Kościele katolickim. Te dusze wybrane, przez Opatrzność dla młodych pokoleń przeznaczone, naznaczone stygmatem duchowego rodzicielstwa, znające czystą, głęboką miłość, nie żądające niczego dla siebie, a oddające się niepodzielnie dla dobra i szczęścia dzieci, w miłości Chrystusa znajdują siłę przeciw wszelkiej słabości ludzkiej natury. Inaczej być nie może — uczucie wyłącznie ludzkie podlega zawsze błędom, ułomnościom, upadkom. Jest miłość, która gubi, tu potrzeba takiej, która zbawia. By zapewnić wychowaniu miłość macierzyńską, choć nie z serca matki wypływającą, trzeba, by pierwiastek boski przewyciężył ludzki; trzeba, by uczucie człowieka uświęciło, umocniło — uczucie od Boga pochodzące i do Boga dążące.

Oto cud miłości, który się odbywa w sercu chrześcijanina, za pomocą nauki Chrystusowej, która w nowem zupełnie świetle stawia wychowawcę w oczach dziecka, a dziecko w oczach wychowawcy; uświęca miłość wychowanka do nauczyciela, zarówno, jak miłość nauczyciela do

wychowanka, tak, że uczucie ich ma jednocześnie serdeczność ziemską i czystość niebiańską.

Owo przeobrażenie zmieniające to, co było dobrem w święte, co było ludzkim w boskie — odbywa się w samym źródle życia duchowego, w sercu Chrystusa. W ogniu Jego miłości wszelka miłość ludzka oczyszcza się, wznosi, do boskiej upadabnia. Kto tam czerpie miłość, ten stwierdzając swe prawa i uzdolnienia do wychowywania dzieci, śmiało może powiedzieć: Ja, wyświęcony w sercu Chrystusa do duchowego macierzyństwa, kocham wszystkie dzieci, które Ono tak ukochało. Matko! w duszy twego dziecięcia widzę obraz mego Mistrza i dla tego miłość, którą do Niego pałam, spływa i na dziecko twoje. Urok niewinności opromieniający twarz dziecięcia pociąga mnie, wzbudza serdeczne uczucie, które pod wpływem Bożej miłości przemienia się w miłość wyższą, głębszą. Tak więc wszystko widzialne i niewidzialne, ludzkie i boskie skłania mnie do ukochania twego dziecka.

Ostatnim wreszcie charakterystycznym rysem tego ideału duchowego macierzyństwa jest, że Bóg, którego się kocha i dla którego się kocha dzieci, to Bóg poświęcenia — poświęcenie samo. On, który świętym ogniem rozpala serca wybrane, rozżarza to najwznioślejsze uczucie macierzyńskie — siłę i zdolność ciągłego poświęcenia.

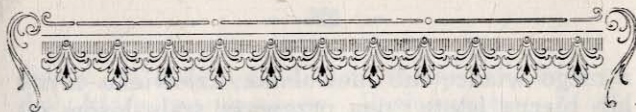
Takie macierzyństwo krwi — oddaje się im całkowicie, z nimi uśmiecha się i z nimi płacze, pociesza i przebacza, lęka się o nich i cieszy się nimi. Jak matka czuwa i patrzy, słucha

i śledzi, jak matka kocha i dla tego nie odtrąca cierpienia. Wie, że ono nieodłączne od tworzenia, więc, aby stworzyć czystą i piękną duszę, gotowe niejedną ból przenieść, niejedną łzę wylać u stóp Ukrzyżowanego. Takie macierzyństwo ducha posiada czystość i świętość macierzyństwa krwi, — więcej jej siły, a mniej słabości; ma słodycz uczucia, a surowość obowiązku.

Oto miłość chrześcijańskiego wychowania. Rodzicielskie serce, gdy ją napotka odczuje, że ona jedynie może ją zastąpić, — a może jeszcze żywiej odczuje to serce dziecięce. Poczawszy, że to miłość szczerą, bezinteresowną oddaje się dla jego szczęścia i udoskonalenia, samo naprzeciw niej bieży, ustępuje jej bez oporu, słucha rozkazów bez szemrania, poddaje się z uległością jej wpływom delikatnym a głębokim, stanowiącym arcydzieło wychowania w miłości. Miłość przemawia, a dziecko słucha; każde słowo zaszczerpia naukę w najgłębszych tajnikach jego duszy i zacieśnia coraz bardziej węzeł, łączący duszę z prawdą. Miłość opromienia mu duszę — w tych jasnych, łagodnych promieniach czuje, że w miarę jak wzrasta, serce mu się rozprzestrzenia, jak kwiat zwraca się do słońca. Miłość chce mu duszę urobić na wzór Chrystusa — ono się od tego nie uchyla, bo jej dotknięcie tak łagodne i silne zarazem, że zawsze umie go nagiąć, a nigdy nie urazi.

Wychowanie ucząc wierzyć, ugruntowało życie w prawdzie i dało podstawę jego sile; ucząc kochać, rozwinęło życie w miłości, nadało mu urok i piękno. Czemże dzieciństwo, czemże młodość bez miłości? Lata płyną — doświadcz-

nie i twarda rzeczywistość ciężką swą dłoń na człowieka kładzie, przygniata nieraz bólem, lecz nie może zgnieść wspomnień jasnej epoki miłości. My starzejemy się; — one zawsze młode; tyle w nas uczuć zamiera, by nie powstać nigdy, — one gotowe zawsze odżyć, gdy tylko serce je przywoła.



CZWARTA KONFERENCYA.

Postęp w wychowaniu przez posłuszeństwo chrześcijańskie.

Zbadaliśmy najpierw podstawy wychowania i warunki kształcenia rozumu, zbadaliśmy następnie warunki kształcenia serca; poznaliśmy tedy jak kierować dzieckiem, uwzględniając dwa tak ważne czynniki całego życia, jak rozum i serce. Cóż jeszcze powinniśmy zaliczyć do przewodników życia ludzkiego? Oto władzę królewską, która rządzi człowiekiem tak, jak człowiek rządzi światem — wolę. Ona to wyróżnia człowieka z pośród wszystkich istot żyjących. Ćwiczona już w dzieciństwie, przygotowuje go do okazania się w całej potędze, takim, jakim go Bóg stworzył: królem stworzenia, zdolnym rozkazywać wszystkim, gdyż nauczył się rozkazywać sobie samemu.

Zaznaczyliśmy już w pierwszym rozdziale, że wychowanie decyduje o postępie ludzkości, ponieważ ono zmniejsza lub zwiększa wartość jednostki. Otóż, co w wychowaniu stanowi o prawdziwym zwiększeniu wartości, to przede wszystkim: wyrobienie woli. Silna lub słaba wola nadaje człowiekowi wybitny charakter, ona robi

z niego władcę lub niewolnika, człowieka czynu lub bierną istotę; ona przeważa szalę losów zarówno jednostek, jak społeczeństw. Kto zwycięstwa odnosi, siebie i innych opanowuje? człowiek woli. Kto mocarstwa podnosi? człowiek woli. Kto w jednym dniu dla całych rzesz ludu zmienia stan teraźniejszy i widoki przyszłości? człowiek woli. Kto sprawcą wielkich klęsk, kto niszczy i łamie? — człowiek woli. Trudno myślał ogarnąć, ile szczęścia i ile niedoli, ile wielkości i ile upadków ludzkość zaznała dla tego jedynie, że tak chciał: człowiek woli. Łatwo więc zrozumieć, jakiej doniosłości jest pokierowanie i wyćwiczenie woli przez wychowanie. Tajemnica i zahartowanie woli, zamyka się w słowie, które niejednego w pierwszej chwili zdziwieniem i niedowierzaniem przejmie — w posłuszeństwie. Wychowanie urabia rozum, ucząc wierzyć, serce ucząc kochać, a wolę ucząc słuchać. Posłuszeństwo jest prawem podstawowem każdej ludzkiej woli — a wychowanie rozwijając człowieka według tego prawa, udoskonala jego wolę.

I.

By uniknąć wszelkich nieporozumień, trzeba przede wszystkim wyjaśnić, co rozumiemy przez posłuszeństwo. Tak, jak władza w swej istocie nie jest czemś wyłącznie materalnem, tak posłuszeństwo w swej istocie jest pojęciem czysto moralnem. Posłuszeństwo w szerokim rozumieniu tego słowa nie oznacza poddawania się konieczności władzy, która nami rządzi — prze-

ciwnie, to dobrowolne zastosowanie się do władzy, którą my uznajemy. Posłuszeństwo, to nie słabość ulegająca sile — to wola niższa, łącząca się dobrowolnie z wolą wyższą. To chętnie przyznanie wyższości stronie rozkazującej — to hołd nieprzymuszony, oddany władzy prawej, lub jako takiej przyjętej. A ponieważ w każdej prawej władzy chrystyanizm uznaje władzę od Boga pochodzącą, zatem przez każdy akt posłuszeństwa, wola ludzka zwraca się do Boga, twórcy wszelkiej władzy. Władza, to prawo Twórcy — słuchać, to podporządkować siebie, przez dobrowolne uznanie, Twórcy.

Z tego punktu widzenia rozróżniamy dwa sposoby wychowania, tak, jak istnieją dwa sposoby rządzenia; wychowanie buntu i wychowanie posłuszeństwa, odpowiadające wychowaniu chrześcijańskiemu i antychrześcijańskiemu.

Przedstawmy te dwie metody tak rdzennie różne.

Chrześcijaństwo jest boską szkołą posłuszeństwa — z istoty swej jest władzą Chrystusową ustanowioną w ludzkości chrześcijańskiej, a w praktyce poddaniem tejże ludzkości chrześcijańskiej, władzy Chrystusa. Hierarchia kościelna, to władza zorganizowana w Kościele — życie chrześcijańskie to uznanie tej władzy, czyli nieustanne posłuszeństwo Bogu. Chrześcijanina obowiązkiem tedy: być posłusznym. Wolny sługa Chrystusa może powiedzieć »lepiej słuchać Boga, niżli ludzi«, — lecz nie wolno mu powiedzieć »nie będę słuchać«. Gdyby tak powiedział, wyrzekłby się znaku Chrystusa, by służyć pod znakiem szatana.

Zadaniem wychowania jest poddanie woli dziecka, woli Boga. Moralne zaś wyrobienie człowieka zależnem jest przede wszystkim od wyrobienia jego woli, — ona bowiem stanowi o życiu, skłania do dobrego lub złego, — a dla woli chrześcijanina dobrem jest wszystko, co Chrystus nakazuje; złem, co On zakazuje.

Dlatego też wychowanie chrześcijańskie główny nacisk kładzie na poddanie woli dziecka, jego najwyższej władzy — Chrystusowi. Mówi mu, wskazując ojca i matkę: oni są wraz z Bogiem twórcami życia twego, trzeba ich słuchać. Wskazując duszpasterza i duchowieństwo: oni są przedstawicielami Chrystusa, dawcy Objawienia, Chrystusa - Zbawiciela, — ich słowa wyrażają Jego myśl, ich rozkazy Jego wolę, trzeba ich zatem słuchać. Mówi mu, wskazując prawodawców, monarchów: oni dźwierzają miecz dla dobra i sprawiedliwości; mają władzę od Chrystusa, by bronić praw i zasłaniać twą ojczyznę — w zakresie ich władzy, trzeba ich słuchać. W ten sposób wychowanie chrześcijańskie rozbudza w dziecku zrozumienie władzy i posłuszeństwa i aby rozpocząć tę pracę, nie czeka, aż rozum dojdzie do pełni rozwoju, owszem zaczyna ją, nim w dziecku zbudzi się życie wewnętrzne; nim jeszcze pozna rękę wychowawcy, wychowanie już naprzód ćwiczy je w wypełnianiu rozkazów. Pierwszy zatem akt jego woli, to będzie świadome i dobrowolne poddanie się władzy, którą nauczyło się słuchać, zanim jeszcze zrozumiało, że winno jej posłuszeństwo.

Trudno uwierzyć, by metoda tak prosta, naturalna, mogła się spotkać z zaprzeczeniem —

lecz dla wielu ludzi wszystko, co Kościół czyni, wszystko, co nakazuje, z góry uznanem jest za błędne. Namiętność, z jaką zadają kłam Kościołowi, przeczą jemu, prowadzi ich zwykle do zadawania kłamu naturze, do przeczenia samym sobie.

Tu znowu spotykamy się ze znanym nam już przeciwnikiem Kościoła, Rousseau'em, budującym na bezwzględnej niezależności system kształcenia woli. Posłuszeństwo dobrowolne ma moc, uważaną przez chrystyanizm jako ważny, dodatni czynnik wychowania i jako taki przyjęty przez liczne społeczeństwa; Rousseau odrzuca je jako czynnik rozkładowy. Żąda, by w wychowaniu dziecka zupełnie pominąć posłuszeństwo i panowanie nad sobą — ideałem jego: jest wykreślić z wychowania posłuszeństwo i rozkaz, by otrzymać jako wynik: człowieka natury. Aby nie posądzano mnie, że przesadzam, oczerniam tego patriarchę racjonalizmu, przytaczam jego własne słowa: »Istnieją dwa rodzaje zależności — zależność od ludzi i od rzeczy — pierwsza od społeczeństwa, druga od natury. Zależność od rzeczy, nie posiadając żadnej moralności, nie szkodzi wolności dziecka i tem samem nie rodzi wad — zależność od ludzi, będąc niemoralną, rodzi wszystkie wady. Utrzymujcie dziecko w samej zależności od rzeczy, a będziecie iść w postępie wychowania według praw natury. Dawajcie jego nierozważnym zachceniom tylko przeszkody fizyczne, lub kary wynikające z jego czynów; niech czuje swą wolność zarówno w swoich, jak i waszych uczynkach. Gdy samo działa, niech nie wie, co to posłuszeństwo, a gdy dla

niego się działa, niech nie wie, co to rozkaz. Słowa rozkazywać i słuchać będą wykreślone z jego słownika więcej jeszcze, niż słowa obowiązków i powinność — zato słowa siła i konieczność zajmować będą ważne miejsce. Nie rozkazujcie mu nigdy nic, choćby nie wiem co było, — bezwzględnie nic. Nie dozwólcie mu nawet przypuścić, że uczuwacie to, iż macie władzę nad nim. Niech wie tylko, że jest słabe, a wy jesteście silni».

Taki jest program wychowania indywidualnego i społecznego, głoszony przez mniemanego apostoła postępu — zuchwały paradoks przeciwstawiany zasadom waszych praojców, a chwilowo uznany za genialny. Półtora wieku dzieli nas od tego czasu, ale myśl raz rzucona nie prędko mija. W wieku XX spotykamy tedy jeszcze odgłos wieku XVIII. Wiecie, co potępia tę filozofię, ten system pedagogiczny? To, że przeczy prawom rządzącym życiem — że z założenia jest błędny.

Posłuszeństwo jest niezaprzeczalnie rządzącym prawem życia ludzkiego i człowiek tylko pod warunkiem posłuszeństwa, może się wznieść na wyżyny.

Mógłbym wam przypomnieć, że w całym wszechświecie jest posłuszeństwo bierne istot materialnych, względem woli twórczej; że to posłuszeństwo względne, odpowiednie ich naturze; jest warunkiem ich rozwoju, harmonii, doskonałości. W niezmiernych przestrzeniach, na przeznaczonych im drogach, krążą słońca z dokładnością zadziwiającą największe umysły. W ściśle oznaczonej chwili ukazują się, by ciepłem lub światłem ogrzewać, rozjaśniać, a gdy godzina

ich upłynie, zapadają w mrok, unosząc z sobą światło dzienne, a ustępując miejsca swym nocnym siostrzycom. Na ziemi życie płynie tysiącami dróg, które mozolnie i stopniowo człowiek odkrywa, nie mogąc jednak dotrzeć do wszystkich tajników; jedna rzecz ujawnia się w nich każdemu, kto bada treść i w nią wnika: wierność i posłuszeństwo rozkazom Stwórcy. Na Jego rozkaz w oznaczonej porze ziemia pokrywa się zielonością, drzewa przystrajają kwieciami, ptaki odlatują do gniazd opuszczonych, morze szeroko się rozlewa, by niebawem wrócić w swe łóżyisko, — a to wszystko na mocy raz na zawsze ustanowionych praw.

Lecz ani ziemia, ani morze, ani drzewa, ani ptaki, jakkolwiek spełniają wolę Boga, nie czynią tego świadomie. Aby nadać wartość posłuszeństwu ślepemu i biernemu, trzeba je zmienić w posłuszeństwo świadome, dobrowolne — to zaś uczynić może tylko istota rozumna — tylko człowiek. Człowiek, łącząc swój wolny, a korny głos z potężną pieśnią uległości wszechświata, nadaje jej wyraz potęgi, piękna i harmonii.

W rozwijającym się zaledwie umyśle dziecka, objawia się już poczucie dobrowolnego posłuszeństwa, względem władzy przez nie uznanej. Niewątpliwie pojęcie tak władzy jak i posłuszeństwa, są u niego niezmiernie jeszcze mgliste i niedoskonałe, lecz choć w zarodku, niemniej już istniejące. Dziecię skłania swe serce przed władzą, będącą równocześnie uosobieniem miłości — rozum powoli przyznaje tej władzy prawo rozkazywania, powagę tego prawa uznaje, a budzące się sumienie uczy go tej władzy słuchać.

Zresztą dziecko, w swej wrodzonej słabości i niedołęstwie, ma najlepszego mistrza, dla poznawania tych prawd życiowych. Nie ma istoty nieudolniejszej, jak człowiek na świat przychodzący. Król stworzenia bezwładny, płaczem wita progi swego królestwa; życie jego zależne od tego, czy troskliwa i kochająca ręka od pierwszej chwili zajmie się jego losem i wtedy już podlega prawu: »albo słuchać, albo umrzeć«.

Dziecko rośnie — umysł się rozwija, widnokrąg rozszerza, jego królewskość coraz wyraźniej staje mu przed oczyma — ręka próbuje mocy swego berła — czoło mocy korony; dziecko wkrótce stanie się człowiekiem. Budzi się już instynkt opanowywania drugich. Silna potrzeba niezależności nurtuje duszę — we wszystkich zakątkach serca powstają głosy wołające: »Precz więzy, zapory, ograniczenia mej wolności; niech zamilkną usta rodzicielskie — ani Kościół, ani Bóg niech nie wchodzi mi w drogę, nie wzbrania, ani nakazuje. Nadeszła chwila wyzwolenia, bym wreszcie sam sobą rozporządzał — precz zatem wszystko, co mię uciska i krępuje, uzależnia i rozkazuje mi«.

Tak woła natura ludzka w piętnastoletnim wyrostku, a nic silniej nie głosi prawa posłuszeństwa w wychowaniu, jak ten właśnie okrzyk niepodległości, rzucony przed czasem przez człowieka — dziecko. Ta istota zniecierpliwiona rzekomem jarzmem, żadna rozkazywania drugim, jak pocnie sobie w życiu? Kto zbuntowanego uspokoi, kto powstrzyma szaleńca na oślep lecącego w szeroki świat, jak dziki rumak po stepie? kto pohamuje nieokiełzaną dążność wolno-

ści, która go może ponieść na rozszałale wiry życia? Posłuszeństwo! — ale dobrowolne, chętne posłuszeństwo. Wtedy, choć naturalnym biegiem rzeczy z latami krąg działania się rozszerza, możliwość ruchów się zwiększa, życie staje się pełniejsze, z całych sił domaga się obszernej i wolnej przestrzeni — mimo to młodzieniec nie uchyla się od posłuszeństwa; a w tej stanowiącej chwili życia dobrowolne uznanie i uleganie władzy staje się niezbędniesze, niż kiedykolwiek. Niema już w nim coprawda pierwotnej słabości dziecka, — natomiast w piersi jego huczą burze młodości; pozostała z lat dziecięcych bezradność opanowania swych namiętności — a bezradność tem zgubniejsza dla jego rozwoju, im głębiej odczuwa chęć odrzucenia wszelkiego obcego kierownictwa.

Dziecko odznacza się słabością bierną, poddającą się bez oporu panowaniu innych — młodzieniec przeciwnie, wyłamuje się z pod władzy rządzącej, a choć niezdolny jeszcze sam sobą pokierować, szal namiętności mylnie bierze za własną siłę. Wtedy ratunkiem jego posłuszeństwo więcej na rozumie i woli oparte, mające za zadanie nie krępować go, lecz bronić, nie uniemożliwiać ruchy, lecz porywom granice zaznaczać; nie skazywać na bezczynność, lecz oszczędzać siły, by ich nie stargać w bezcelowym i bezowocnem szamotaniu.

Czas mija — zapał młodzieńczy ustępuje przed dojrzałością i doświadczeniem życia — z dziecka, młodzieńca stał się człowiek — czyż ujdzie teraz przed prawem posłuszeństwa? Nie, ono go dziś równie obowiązuje jak przed trzy-

dziestu laty, — bo społeczeństwo, w którym znajduje stanowisko i dla którego ma pracować, to nie jakieś pierwotne zrzeszenie, w którym człowiek natury swobodnie dawał się unosić swym zachciankom — bo go w dzisiejszym, zorganizowanym społeczeństwie otacza sieć zależności, w której będzie mógł swobodnie się poruszać i skutecznie działać, lecz tylko pod warunkiem: posłuszeństwa.

Daremnie szukalibyśmy na szczeblach społecznych istoty zwolnionej od posłuszeństwa. Na dole niezliczony szary tłum, który jest, był i będzie obowiązany słuchać — tłum, który, gdy odmówi posłuszeństwa, będzie podobny rozszałej fali grożącej zatopieniem ziemi. Wyżej ci, których zowiemy przełożonymi, chlebobawcami — więcej zmuszeni słuchać, niż rozkazywać — oni postawieni na wyżynach, wciągający zda się pełną piersią rozkosz wolności, oni związani prawami, stanowiskiem, urzędem, więcej zależni, niż ten tłum spełniający ich rozkazy. Nawet ten, który stoi na najwyższym stopniu społecznym, który poniekąd dzierży w ręku swym losy poddanych i ster państwa — i on musi słuchać. Jeśli chce, by pod jego rządami ład, pokój i harmonia panowały, trzeba, by jego rozkazy uzależnione od najwyższej władzy i jej zawsze poddane, zgodne ze sprawiedliwością były. Jeśli chce zapewnić sobie posłuszeństwo ludzi — musi sam być wierny w posłuszeństwie Bogu. W ten sposób od najniższego do najwyższego stopnia hierarchii społecznej, każdą jednostkę bez wyjątku, obowiązuje posłuszeństwo.

W ustroju społecznym, tym żywym mechanizmie, stanowiącym ład i harmonię narodów, zarówno jak w mechanizmie, będącym arcydziełem współczesnego przemysłu i techniki, każde najdrobniejsze koło zależne jest w swym ruchu od innego koła, a praca jego tem doskonalsza, im bardziej się do całości dostosowuje.

Nie można tedy nie uznać posłuszeństwa jako prawa kierującego życiem, a co zatem idzie, niepodobna zapoznawać je w wychowaniu. Bez wpojenia zasad posłuszeństwa wychowanie byłoby błędne, chybione, gdyż nie przygotowywałoby do realnych warunków życia; zamiast ideałów łączności i braterstwa, wskazywałoby egoizm, — zamiast dostarczać społeczeństwu nowych sił do wspólnej pracy, wprowadzałoby czynniki rozkładowe, rozluźniające ogniwa porządku społecznego.

Dziecko, nieznające posłuszeństwa, jest niewolnikiem i tyranem równocześnie — niewolnikiem namiętności, tyranem otoczenia. Przyzwyczajone do samowoli, gdy napotka przeszkodę, w popędlowości wybucha w całej swej dzikości. Z wiekiem pragnienie niepodlegania nikomu i niczemu potęguje się, pociągając za sobą fatalne skutki. Młodzieniec bieży przed siebie, niehamowany ani ludzkim, ani Boskim prawem, — lecz co chwila przystawać musi. Tu boleśnie zraniony, tam brutalnie wstrzymany, wreszcie ustaje zmęczony, bezsilny, opłatany siecią nieprzewidzianych przeszkód, zmarnowawszy skarby młodości, zapamięta, miłości. Jeżeli nawet los się dla niego łaskawszym w wiośnie życia pokazał, co czeka go, gdy stanie w latach pełni rozwoju sił?

Oto opadną barwne szaty jego złudzeń, zerwane bezlitosną ręką rzeczywistości i zrozumie, jak z gruntu fałszywem było wychowanie, nie uwzględniające posłuszeństwa. Zaczyna na każdym kroku stykać się z życiem realnem a twardem, nieustępującem nikomu — obowiązki przyjęte nie godzą się z utopiami niezależności bezwzględnej — życie i rządzące niem prawa przytłaczają go — prosty i zwykły stosunek pracującego i przełożonego zdaje mu się potwornym stosunkiem niewolnika i wszechwładcy, a groźny płomień nienawiści społecznych wybucha w piersi. Wszystko zmienić, choćby nawet zburzyć, byle on nie był zmuszony słuchać i podlegać! Jeśli ma łatwą zapalną głowę, a zimne serce — dużo wyobraźni, a mało rozważa, jeżeli zarozumiały, zawistny, ambitny, czyż nie powiększy zastępu burzycieli ładu i spokoju, podżegaczy samowoli i buntu?

I tak wychowanie, nie uznające posłuszeństwa, zamiast wyrabiać charakter i wolę, pacykuje, staje się poniżeniem człowieka, klęską ludzkości.

Teraz wykażemy, jak wychowanie w karności udoskonala wolę i przyczynia się do postępu jednostek i ogółu.

II.

Zdanie, że posłuszeństwo jest udoskonaleniem i wielkością wolnej woli człowieka na pozór wydaje się sprzecznością. Powierzchnie biorąc, zdaje się, że wola będąca zdolnością chcenia, tem bardziej się wzmacnia, hartuje, udo-

skonała, im bardziej człowiek postępuje według własnej woli. To złudzenie naturalne u człowieka żadnego niezależności, to przedewszystkiem ułuda młodości. Młodzi nie widzą, ile prawdziwie męskiej siły zawiera dobrowolne uznanie cudzej woli. Posłuszeństwo staje im się moralnem samobójstwem, a tymczasem wola nigdy nie wykazuje większej mocy i żywotności, jak gdy chętnie i ze zrozumieniem podporządkowuje się woli wyższej — nic lepiej jej nie kształci i nie hartuje, jak posłuszeństwo.

Chrześcijaństwo potwierdza tę prawdę w sposób nie zostawiający żadnych wątpliwości. Chrystus, źródło i pierwiastek wszelkiej władzy jest równocześnie wzorem, ideałem posłuszeństwa. Władza i posłuszeństwo spotykają się i łączą w całym Jego życiu, które więcej obfituje w akty posłuszeństwa, niż władzy. Szczególnie życie w Nazarecie składa się z posłuszeństwa, to też Ewangelia streszcza je w tych krótkich, a wymownych słowach: »I był im poddany«. Bóg-człowiek wzrastał w mądrości i w łasce u Boga, a gdy po latach nauczania, przyjmując z ręki Ojca kielich goryczy szedł na Górę Kalwaryi, czynił to w duchu poddania się woli Bożej »stał się posłusznym, aż do śmierci krzyżowej«. Nieposłuszeństwo pierwszego człowieka zgubiło świat, posłuszeństwo Boga-człowieka, zbawiło go.

Dla chrześcijanina dążącego w ślad Chrystusa drogą postępu, wszystko w tem posłuszeństwie się streszcza. Wielkość i potęga Boskiego Mistrza ma swe źródło w posłuszeństwie, w dobrowolnem poniżeniu i uległości. Lecz nie

wszystkim dano zrozumieć głębokie znaczenie słów, któremi Ewangelia sławi Chrystusa, musimy więc wnikać w tajniki natury ludzkiej, by uznać, jak harmonizuje z prawem Chrystusowem. Musimy wykazać, w jaki sposób chrystyanizm, uzależniając postęp człowieka i moc jego woli od posłuszeństwa, jest niezrównanym znawcą ludzkiej natury i jak tajemnica wielkości i chwały Chrystusa, zawsze i wszędzie, jest też tajemnicą wielkości człowieka.

Jakie przymioty powinno nadać wychowanie woli ludzkiej? Odpowiadamy — przede wszystkim: wolność, prawość, siłę. Wolność najwyższa, prawość niezłomna, siła płodna, — oto cechy doskonałej woli.

Pierwszym zatem przymiotem woli ludzkiej, będącym zarazem najwyższą jej godnością jest wolność. Dla wszystkich nierozumiejących istoty prawdziwej wielkości człowieka, uległość jest równoznaczną z poniżeniem godności, poddaństwem niewolniczem. W imię prawdziwej godności stanowczo temu zaprzeczam, gdyż właśnie wychowanie w posłuszeństwie jest oswobodzeniem, wyzwoleniem.

Dla jednostki, jak dla społeczeństwa, dla dziecka, jak dla dorosłego człowieka wolność tam tylko istnieje, gdzie ład i porządek, a porządek tam tylko, gdzie posłuszeństwo władzy legalnej. Dziecko wychowane i wzrastające w przyzwyczajeniu do posłuszeństwa, wyzwala się z każdym dniem od niewoli, którą rodzi bunt. Tak, czy owak, musiałoby słuchać — ma tylko do wyboru rodzaj zależności — zależność od władzy, którą uznaje, lub zależność od władzy,

której uznać nie chce. Jeżeli nie będzie słuchać dobrowolnie, będzie do posłuszeństwa zniewolone, lecz też będzie ponosić uciążliwe tego zniewolenia skutki. Wola jego nie chcąc uznać władcy, pomnaża tylko liczbę tyranów. Chcąc być wolnym, dąży do niezależności, a na drodze spotyka tysiące wrogów, czyhających na jego wolność. Przeciwnie, dziecko uległe ojcu, matce, wychowawcy zastępującemu rodziców i ich władzę, a przede wszystkim dziecko chrześcijańskie uznające w władzy rodzicielskiej i nauczycielskiej władzę samego Chrystusa, — dziecko, które uległością wobec starszych wyraża posłuszeństwo dla Boga, ono jest prawdziwie wolne. Ono aktem posłuszeństwa wyzwala się od wszystkiego, co niema prawa mu rozkazywać i w ten sposób posłuszeństwo staje się tarczą jego wolności — wyzwala go od kaprysu i chwiejności, wyzwala od panowania namiętności i zmysłów, jednym słowem wyzwala od tego wszystkiego, co z czasem człowieka ujarzmią, robi bezsilnym, niewolnikiem.

Posłuszeństwo nie tylko zapewnia wolność, ale nadaje władzę. Człowiek czuje się władcą, opanowując stworzenia niższe, przyrodę — o ileż bardziej jest władcą, gdy zdolny opanować sam siebie. Człowiek króluje nad światem, wola zaś króluje nad człowiekiem, gdy się więc tę wolę opanowuje, odnosi się prawdziwie królewskie zwycięstwo.

Dziecko słuchające dobrowolnie, ze zrozumieniem ducha posłuszeństwa, rozkazuje sobie samemu w sposób prawdziwie podziwu godny. Takie posłuszeństwo dalekie od poniżenia, prze-

ciwnie podnosi godność ludzką. Człowiek nigdy bardziej nie uczy się rozkazywać, jak ucząc się słuchać. Te same argumenty, któreby można przytoczyć przeciw posłuszeństwu, te same mogą być powodem nadużycia władzy.

Nie powtarzajcie nigdy zdania, że posłuszeństwo, do którego zaprawiamy dziecko nie powinno być unізaniem się przed ludźmi, lecz korzeniem się przed Bogiem. Po co dziecko, któremu wskazuję posłuszeństwo jako stopnie do wzniesienia się, ma zatrzymywać wzrok na ludziach? Nie, dziecię, ty patrz wyżej. Prawda, jestem człowiekiem, — lecz, gdy tobie rozkazuję, nie moją wolę, lecz nakaz Boży ci przedstawiam — ty Boga samego słuchasz, a posłuszeństwo rozkazom Wszechmocnego nie może cię poniżać.

Drugim przymiotem, jaki wychowanie ma nadać woli, to prawość niezłomna. Zadaniem woli jest dotrzeć do celu i osiągnąć przeznaczenie człowieka; musi zatem zdążać prosto do dobra i sprawiedliwości, do prawdy i Boga, — nie wolno jej zboczyć, ani błędzić. Ale nie wystarczy zdążać, trzeba dojść — nie wystarczy zdobywać, trzeba zwyciężyć — i dlatego wola, gdy ma być skuteczna, nie tylko musi być niezłomnie prawa, ale stała i wytrwała. Pomnóżcie w ludzkości ilość woli, nie znającej żadnych wykrętów, kłamstwa, ani matki obłudy, — woli, która prosto zmierza do celu — dodajcie do tej ilości bezwzględne prawej woli postanowienie, którego nic obalić nie jest w stanie, wytrwałość nie znająca znużenia, a ludzkość tak wzbogacona bę-

dzie zdążać nieustannie, prosto a wytrwale ku szczytom doskonałości.

Nic tak nie zapewnia i nie utrwała tych przymiotów woli, jak ćwiczenie w posłuszeństwie. Posłuszeństwo, to równanie przeprowadzone między wolą, a prawem obowiązującym. Prawem jest to, co dobre, słuszne, sprawiedliwe; rozkaz zatem powinien być wyrazem prawdy, dobra, sprawiedliwości, — posłuszeństwo zaś zbliżeniem, zjednoczeniem z tymi przewodnimi ideałami życia. Gdy dziecko wzrasta w przyzwyczajeniu do posłuszeństwa, cnoty te stają się mu niejako wrodzone — nie podejrzewa nawet kłamstwa, krętych dróg, jednym słowem tej brzydoty, z którą niestety zawsze zawczasie zetknąć się musi. Posłuszeństwo nadaje charakterowi jego prawość, znającą tylko jedną, prostą drogę i wytrwałość niezbaczenia z niej; wola w jednym kierunku już ustalona — chce słuchać.

Wola podległa kaprysom, zachciankom, wrażeniom chwili, przestaje być wolą; człowiek nie czyni tego, co sam z własnej wolnej woli chce, lecz do czego go zmuszają namiętności, przelotna podnieta. Wolność prawdziwa człowieka, to wyzwolenie tego, co w nim najlepsze, najszczytniejsze — wyzwolenie ducha z pod panowania ciała; to samodzielność wewnętrzna. Kiedy jednak wola nie zdołała zapanować, traci swą władzę i zamiast być władczynią, staje się niewolnicą zależną od wszystkiego, co choć chwilowo od niej silniejsze. Wtedy na wolę już liczyć nie można; choć dziś skierowana ku dobremu, niewiadomo, czy jutro nie zwróci się w przeciwną stronę.

W życiu każdym, a więc i kierującym się zasadą posłuszeństwa, nieuniknione są zmiany. Światło i cienie, słońce i chmury, spokój i burze przychodzą i przechodzą, następują po sobie tak często, jak w przyrodzie, wśród której żyjemy. Lecz ponad tą sferą zmian ustawicznych jest sfera dla zmian niedostępna — sfera woli. Ona opanowuje ze swych wyżyn wszelkie zaburzenia i niepokoje z królewskim spokojem i stanowczością, powtarzając swe niezmiennie postanowienie: chcę słuchać! Prawda, że nawet człowiek najbardziej wyćwiczony i wierny w posłuszeństwie słyszy nieraz w głębi swej piersi potężny głos buntu, ale wtedy wznosi się duszą ku Bogu w rozkazie, w prawie chce słyszeć tylko rozkaz Najwyższego, który zagłuszy wołanie powstających namiętności. Więc błaga: »Mów do mnie Panie, przemawiaj przez usta tych, którzy Cię na ziemi zastępują, ja chcę być im posłuszny; niech nic nie zdoła obalić tego postanowienia, wszak na niem polega moja wolność i moja siła«.

Ta siła, to trzeci przymiot woli, który wychowanie w posłuszeństwie ma wpoić dziecku. O co głównie chodzi w urabianiu człowieka? Chodzi o uczynienie go istotą silną. Człowiek ma być równoznacznikiem siły, odwagi, wielkości, potęgi — odbierzcie mu siłę moralną, cóż zostanie? Twór chybiony — coś, co utraciłszy cechę charakterystyczną, minęło się z swem powołaniem i zadaniem, straciło rację bytu.

I to, mówię bez przesady, trzeźwo i jasno patrząc na stan rzeczy, to wielka nędza moralna naszych czasów: społeczeństwu brak ludzi,

bo ludziom brak siły woli, bo ludziom brak posłuszeństwa.

Przedwczesna niezależność nie urabia charakterów, lecz je paczy. Sama natura mści się za lekceważenie praw rozwoju. I dziś, jakże często ten smutny obraz mamy przed oczami: dojrzały w piętnastu latach, a dziecko w czterdziestu — takie owoce daje wychowanie, kierujące się zasadami błędnie pojętej wolności i niezależności.

Człowiekiem silnym nie ten będzie, kto dając do nieograniczonej swobody podeptał wszystko, co jarzmem władzy i prawa nazywał, lecz ten, kto rozpoczynające życie ujął w karby dobrowolnego posłuszeństwa. Ono trzyma człowieka na wodzy, powstrzymuje i tłumi wybuchy natury; ale czyni to z jego przyzwoleniem, świadomością i w ten sposób ćwicząc, pomnaża jego siły.

Niechaj rodzice wcześniej naginają wolę swych dzieci i przyzwyczajają do słuchania rozkazów; niech naginają powoli, delikatnie, lecz ciągle z tem założeniem, by dziecko doprowadzić do dobrowolnego uznania i poddania się ich władzy. Niech naginają, lecz nie łamią; kierują tak, by dziecko samo współpracowało i rozumiało, że wola przez posłuszeństwo wzmacnia się a nie słabnie, prowadzi do duchowej wolności, nie do niewoli. Niech opanowują dzieci siłą swej stanowczości i spokoju, — niech, rozkazując im, szanują w nich godność ludzką. Niech ćwiczenie woli powtarza się codziennie, ustawicznie, — tem doskonałej będzie wykonywane. Nie próbujcie zawczasie dać dziecku używać wolności — im dłużej wola je-

go będzie dojrzewać, spełniając rozkazy wasze, tem silniejszą się okaże, gdy przyjdzie do samostnego życia, do działania, — gdy wreszcie nie tylko sama sobą, lecz innymi rządzić będzie.

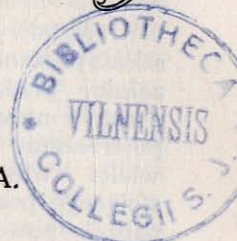
Wtedy ta siła tak długo i wytrwale hartowana przez walki wewnętrzne, zajaśnieje w całym blasku i potędze czynu. Ci, którzy nie zgłębili tajemnicy posłuszeństwa, staną zdumieni, pytając, kto jest ten młodzieniec, który wczoraj jeszcze zdawał się tak słabym, niezdolnym do samodzielności, a dziś staje przed nimi jakby stworzony do rozkazywania. Kto jest ten młodzieniec z prawdziwie męską siłą charakteru, objawiający się dziś jako człowiek inicjatywy i postanowień, człowiek czynu i odwagi, idący śmiało naprzód. Wtedy ci, którzy widzieli go cichym i uległym, w milczeniu i dobrowolnie spełniającym rozkazy zwierzchników — ci przede wszystkim, którzy pracowali nad urobieniem jego charakteru, nad opanowaniem i wyćwiczeniem jego woli — ci zrozumieją, iż to posłuszeństwo zrobiło z niego człowieka, mocarza, zwycięscę i władcę. Ludzie dziś dopiero spostrzegą, jak walczyć umie, lecz on od dawna do boju był zaprawiany. Od tylu lat walczył i zwyciężał, a zwycięstwa te ciche i bez rozgłosu trudniejsze i chwalebniejsze od zwycięstw sławnych wojowników, bo zwalczał własną naturę i namiętności, z sobą samym bój zwycięski staczał — gdy więc najniebezpieczniejszych przeciwników, bo wewnętrznych burzycieli ładu i spokoju pokonał, śmiało może stawić czoło wrogom zewnętrznym.

Postać świetlana, a potężna, będąca uosobieniem tej prawdy, staje mi w tej chwili przed

oczyma. Koło 500 lat temu mądrość Boża nowe horyzonty otwierała dla świata Katolickiego. Właśnie w czasie, gdy Luter zbrodniczą ręką łamał szeregi wiernych synów Kościoła, Bóg postanowił zdobyć nowych bojowników, światłem wiary rozjaśnić kraje dalekiego wschodu, Japonię, Indye. Dla wykonania tak wielkiego dzieła trzeba człowieka nie przeciętnego. Kogóż Bóg wybiera? jak myśl Boża się urzeczywistnia? Oto człowiek w pokorze i zaparciu się siebie oddany wyłącznie na usługi i rozkazy bliźnich, opuszcza kraj ojczysty i brzegi Europy, udaje się w nieznane, obce krainy, zapuszcza się sam dalej, niż ongi bohaterski Cyrus i Aleksander na czele wojsk niezliczonych — w ciągu 10 lat przebiega 18 tysięcy mil, krzewiąc wiarę Chrystusową, pozyskując dla niej 10 milionów dusz; a spełniwszy to dzieło przechodzące, zdaje się, siły ludzkie, umiera jako cichy i pokorny sługa Boży. Imię jego odtąd zapisane na najszczytniejszych kartach Kościoła, bo siła jego cuda zdziałała — zawałdła milionami dusz, zwyciężył królestwo ciemności. Co czynił ten wielki mąż, by wzbudzić w sobie tę niepospolitą siłę, tę nieustraszoną odwagę apostołską? Był posłuszny — szedł od lat tylu za głosem rozkazu, że gdy w imię posłuszeństwa polecono mu Krzyż Chrystusowy wznieść wśród pogan, szedł silny i ufny, iż Ten, który go posłał, da zwycięstwo.

Taka jest potęga posłuszeństwa — to siła twórcza, zbawienna i odradzająca, w przeciwieństwie do siły powstającej z buntu, która burzy, niszczy, a w najlepszym razie pozostaje bezowocna.

Jeżeli chcecie mieć społeczeństwo prawdziwie silne i odporne, wielkie myślą i czynem — wpajajcie od kolebki w dzieci wasze zrozumienie i miłość posłuszeństwa, hartujcie ich wolę, — by z czasem, gdy staną w szeregach pracowników ojczyzny, siłą moralną i wytrwałością zdolali prowadzić zwycięski bój ze złem, a zapewnić przyszłość ugruntowaną na podwalinach miłości, dobra i prawdy.



PIĄTA KONFERENCYA.

Postęp w wychowaniu przez uszanowanie chrześcijańskie.

Wychowanie rozwija umysł przez wiarę, serce przez miłość, wolę przez posłuszeństwo, a wreszcie ucząc poszanowania, uzupełnia rozwój potęg duszy — poszanowanie jest też po uczuciu religijnem najpiękniejszym duszy kwiatem.

Gdy dusza, umiejąca odczuć to, co piękne i wielkie odkryje w kimś prawdziwą wyższość, wrażenie jakiego doznaje, musi się wyrazić przez cześć, poszanowanie. Nie jest to zatem ani wyłącznie akt rozumu, ani zwykłe wzruszenie serca, lecz odruch duszy wobec istoty wyższej. Tak zrozumiane poszanowanie przejawia się w niezliczonych formach, odcieniach, opartych jednak zawsze na tej samej podstawie: na poznaniu cudzej wielkości, uznaniu i okazaniu tego przez zewnętrzne oznaki.

To jest zasadnicze pojęcie szacunku, to myśl przewodnia tego rozdziału. Zaczniemy od wykazania, jak wychowanie chrześcijańskie uczy dzieci poszanowania, a ono raz zakorzenione, jak udoskonala duszę.

I.

»Katolicyzm jest najdoskonalszą w świecie szkołą poszanowania«, — słowa te wygłoszone z kazalnicy przez usta kapłana wydałyby się tak proste i naturalne, że przebrzmiałyby omal niepostrzeżenie — wyrzeczone jednak przez człowieka świeckiego, a wybitnego, i co więcej, stojącego pod innym sztandarem wyznaniowym, nabrały powagi i znaczenia. Chodzi o to, by stwierdzić, ile słuszności i prawdy to zawiera.

Czemu Katolicyzm jest najdoskonalszą szkołą poszanowania? Ponieważ jest wiarą prawdziwą, najdoskonalszą wiarą na świecie. Religia w ogóle najbardziej wpaja w duszę poszanowanie, a Katolicyzm w szczególności najbardziej wpaja w duszę religię, cześć dla Boga i tego wszystkiego, co z Nim związane. Jest między religią a czcią i poszanowaniem taki związek, że czasem oba te pojęcia zlewają się razem. Pierwszy akt, zbliżający człowieka do Boga, pierwszy jego akt religijny, to uwielbienie, będące najwznioślejszym i ostatnim wyrazem poszanowania. Uwielbienie, to najgłębszy pokłon człowieka przed najwyższym majestatem, jaki w duszy ludzkiej może się objawić — to chęć unicestwienia się przed nieskończonością, której potęgę dusza odczuwa — to zbliżenie Boga do duszy, wrażliwej na Jego Boskie tchnienie.

Owo korzenie się, unicestwienie, poczucie nieskończoności nie jest niczem innym, jak zrozumieniem, uznaniem potęgi, — a więc najwyższym wyrazem poszanowania. Poszanowanie jest poprzednikiem uwielbienia — uwielbienie zaś

udoskonaleniem poszanowania. Na tem polega łączność religii i szacunku. Wpływają one z jednego źródła, a spływają pod różnemi postaciami na ludzkość, korzącą się przed Bogiem i wielbiącą Go nawet wtedy, gdy zdaje się podziwiać i czcić wyłącznie dzieła ręki Jego. Do Boga aż wznieść się trzeba, by zrozumieć istotę poszanowania winnego ludziom, w Bogu szukać najwyższej przyczyny — i dlatego, jeżeli człowiek zatracą w swej duszy pierwiastek boski, nigdy przez siebie i dla siebie nie zdobędzie prawdziwego szacunku. Można powiedzieć, że uszanowanie, to uznanie tych, którzy najwinniej odtwarzają obraz Boga na ziemi.

Dla tego religia jest wielką szkołą poszanowania — ona zbliża nas do największego Majestatu; uczy czcić tę potęgę i szanować jej odblask w bliźnich. Wychowanie religijne stwarza w duszach dzieci poszanowanie, odkrywając przed nimi obraz i podobieństwo potęgi i piękności Bożej. Stara się obraz ten odnaleźć wszędzie, w całym wszechświecie: w przepychu firmamentu niebieskiego i piękności ziemi, w obszarze morza i w grozie burzy, w jasności dnia i w ciszy wieczornej — wszędzie i zawsze uczy dziecko wsłuchiwać się w głos przyrody mówiącej mu o Bogu, uczącej poznawać Wszechmocnego. W ten sposób świat cały, to księga pełna światła i prawdy — światło od Niego pochodzi, prawda Jego objawia.

Lecz przede wszystkim w świecie wewnętrznym wychowanie religijne odślania dziecku najwspanialszy obraz Boga. Prowadzi go między stworzenia najdoskonalsze, w których podobień-

stwo Boże najjaśniej się uwydatnia. Wskazuje ludzi, ich wierzenia i dzieła, społeczeństwo i ojczyznę, a w nich piętno, znamię, odbłask Boga samego i uczy, jak przed taką wielkością czoła uchylić należy. Dziecko rozumie, że nie można odmówić poszanowania temu, co tak wysokiem szczyści się pochodzeniem, co religia do samego Boga odnosi.

Ale idźmy dalej, bo nie wystarcza nam się przekonać, że religia w ogóle jest źródłem szacunku, my musimy udowodnić, że te słowa, ku wielkiej chwale wiary naszej przez protestanta wyrzeczone, iż »katolicyzm w szczególności jest najdoskonalszą szkołą poszanowania«, są prawdziwe. Nie mogę tutaj obszernie zająć się dowodami; musimy zaznaczyć tylko fakt, że wychowanie prowadzone w duchu religii, tak zwanych naturalnych, albo zupełnie nie daje, albo w bardzo niewystarczającej mierze wpaja szacunek. Ta religia zarówno dla dzieci, jak i dla wychowawców pozostaje ponadto w sferze abstrakcyi. Bóg zawsze mało zajmuje miejsca w duszy, w której panuje religia, wypływająca z rozumu; nie odtwarza Boga w sposób dosyć jasny, nie wskazuje Go jako treści wszelkiego poszanowania. I oto, dlaczego Katolicyzm ma niezrównaną moc wpajania poszanowania — bo on ze wszystkich religii najbardziej Boga bliskim duszy czyni — jest najdoskonalszem, najściślej-szem połączeniem z Bogiem — jest nie zimną abstrakcją, lecz rzeczywistym życiem Boga z człowiekiem i człowieka z Bogiem.

Wychowanie chrześcijańskie nie przesuwają przed oczyma dziecka odbłasku Boga, lecz Bóg

sam, w całym swym majestacie i dobroci staje przed młodą duszą i cześć odbiera. W Betleem, na Kalwaryi, na ołtarzu to Bóg - Człowiek, Bóg - Ofiara, Bóg - Miłość, a zawsze Bóg chcący być z nami, zniżający się do nas, cierpiący za nas — tem bliższy, tem większej czci godny.

Wszystkie obrzędy kościelne, śpiew, woń ofiarnego kadzidła łączą się w rozgłośnym hymnie wołając: »Tu Bóg żywy, choć ukryty, lecz prawdziwy«. — Tego nie da się wypowiedzieć, to tylko odczuć można, jakie głębokie, korne uwielbienie budzi się w świątyni pańskiej, gdy rozmodloną, pochyloną rzeszę ludu błogosławi Bóg w Hostyi utajony.

To uczucie obecności Boga i łączności z Nim, które dziecko odczuwa w Kościele, potęguje się jeszcze w przystępowaniu do Sakramentów i w chwilach, gdy Bóg schodzi do duszy, przenika ją swem życiem. Jednem z wielkich źródeł czci jest spowiedź. Jakże ją wzbudza ta chwila, gdy kapłan człowiekowi przejętemu żalem i pokorą, udziela przebaczenia i błogosławieństwa, okazując tem potęgę i moc Bożą. Odchodzi z grzechów oczyszczony, ze zrozumieniem swej nędzy i nicości wobec majestatu Boga — uczy się u stopni konfesjonu jasno wglądać w głąb swej duszy; boleć, iż obraz Boga tak łatwo w niej się zaciera, a cenić i szanować tych, w których to podobieństwo Boże wzmagą się i jaśniej. Wszystkie sakramenta mniej lub więcej bezpośrednio wszczepiają poszanowanie, ale jeżeli chcecie wiedzieć, kiedy uczucie to najsilniej i najgłębiej w duszę wnika, wspomnijcie dzień ów, gdy odchodziliście od stóp ołtarza, po

raz pierwszy przyjąwszy do serc waszych Boga. Jakżeście wtedy pojęli wielkość, wszechmoc Jego; jakim uwielbieniem serce wasze biło. Dzień to niezapomniany, gdy dusza dziecka uczestniczy po raz pierwszy w największej Bożej tajemnicy; gdy serce rozprzestrzenia się, by przyjąć Pana nieba i ziemi. Bóg zstępując, daje się poznać jako najwyższy Majestat, niepojęta Miłość, a dusza w zachwycie niezdolna zdobyć się na słowa, oddające całą jej cześć, uwielbienie, dzięki.

W ten sposób dusza dziecka poznaje potęgę, wielkość Boga — w ten sposób uczy się kochać Go i czcić.

Lecz na tem nie kończy jeszcze wychowanie chrześcijańskie wpajania poszanowania. Wskazując w Chrystusie majestat Boga, wskazuje równocześnie w Kościele majestat Chrystusa. Jak w Synu Bożym ukazuje nam Pana i Ojca, tak w Kościele bezpośrednio przez Zbawiciela ustanowionym, Jego duchem przeniknionym, ukazuje Władczynię i Matkę, którą poznawszy, zniewoleni jesteśmy czcić i miłować uczuciem synowskim. To wielkie zadanie wychowania katolickiego przyzwyczaić dzieci do dobrowolnej uległości władzy kościelnej, miłość i szacunek dla niej tak ściśle spoić, by nierozzerwalnie w życiu mu towarzyszyły. Cześć dla Kościoła nie może zostać czemś oderwanem, nie może odnosić się do idei, instytucji, a pomijać jej przedstawicieli. Władza i majestat Boży spływa na dostojników Kościoła, na wszystkich Kapłanów. Trzeba wskazywać dziecku czcigodną postać więźnia Watykanu, jego moc w znaczeniu potęgi materyalnej

dziś tak uszczuploną, tak znikomą, a przecie w znaczeniu potęgi i władzy moralnej tak silną dla świata chrześcijańskiego, jaką była za czasów świetności państwa Kościelnego. To majestat, którego nie zdołają zmniejszyć ani nieczne napaści wrogów, ani odszczepieństwo sprzymierzeńców. On tem silniej występuje w swej cichej, bezstronnej, a nienaruszonej potędze, im bardziej sprzysięgają się nań złe moce. Tem głębszem echem rozbrzmiewa głos starca, który słowem swem rządzi milionami dusz, jednym orzeczeniem odtrąca od Kościoła tysiące samowolnie zbaczające z drogi Chrystusa, — jednym słowem zachęty i ufności, sił dodaje, zwycięża.

Trzeba wskazywać dziecku pomocników Pomazańca Bożego, rządzących dycezyą i tych, z którymi dziecko częściej się styka, pasterzy parafii. Niech od najwcześniejszych lat uczy się szanować tych zastępców Chrystusa, czcić w nich władzę Boga.

Widzimy zatem, że aby wnikać w dziecięcą duszę, nauczyć ją poszanowania — objawiającego się w różnych formach, lecz mającego zawsze Boga jako źródło — majestat Boży ujawnia się w dwojaki sposób: w porządku naturalnym i nadnaturalnym.

Najdoskonalszym wyrazem związku porządku naturalnego i nadnaturalnego jest godność, z którą dziecko przedewszystkiem się zapoznaje — godność rodzicielska. Przypatrzmy się małemu dziecku, będącemu w przeciętnych normalnych warunkach, a przekonamy się, że dla niego ojciec i matka są uosobieniem wszelkich doskonałości, do tego stopnia, iż uczucie to przybiera

u niego cechy uwielbienia. Świadczą o tem, choćby te, tak często z ust dziecięcych słyszane słowa »mój tatuś najlepszy — nikt nie ma tak dobrej mamusi jak moja« i wyraz nieopisanego zachwytu, który się wtedy w oczkach przebija. Dziecko, rozwijające się z tą wrodzoną mu czcią dla rodziców, dowiaduje się niedługo przy nauce religii, że sam Bóg czcić ojca i matkę przykazał; że oni są na ziemi Jego zastępcami — szanowanie ich zatem nietylko jest potrzebą serca, lecz i obowiązkiem. Wtedy, choć z czasem niejedną wadę rodziców dostrzeże, niejednej ich niedoskonałości świadkiem będzie — nie upoważni go to nigdy do zmniejszenia należnego rodzicom szacunku, gdyż wiara nauczyła widzieć w nich przedstawicieli władzy i majestatu Boga.

Jeżeli później rodzice władzę i prawa swoje przeleją na obcego wychowawcę, jako swego zastępcę — tem samem nakładają na dziecko obowiązek szanowania go. On stanowi to trzecie ogniwo w łańcuchu poszanowania majestatu Boga. Pierwiastek i pierwsze ogniwo czci, z którym każde następne złączone być musi — to Wszechmocny, to Bóg. Od Niego władza i majestat spływa na rodziców, oni zaś bezpośrednio przekazują je wychowawcy. Cóż widzi w ten sposób dziecko w nauczycielu? Widzi prawa, które tenże nad nim otrzymał i od Boga i od ludzi. Wie, że Bóg przeznaczył mu go na kierownika i dla tego, choć odkrywa w nim słabości i błędy ludzkie, nie sądzi go jako równego, lecz szanuje w nim godność zastępcy Boga i rodziców.

Jednakowoż ten, że się tak wyrażę, pożyczany majestat nie zawsze wystarcza, by zapewnić wychowawcy poszanowanie. Trzeba, żeby ta wielkość, która nie jest bynajmniej jego wielkością, tylko odbłaskiem Bożej potęgi, towarzyszyła wielkości jego osobistej, t. j. wypływającej z cnót i chrześcijańskiego życia. Nie wystarcza, by wychowawca katolicki nie był uosobieniem występku — powinien być uosobieniem cnoty. Trzeba, by z punktu widzenia zasługi i wartości osobistej był jednostką, chlubnie wyróżniającą się od swego otoczenia. Nie wystarcza mu miano człowieka uczciwego, musi być gorliwym chrześcijaninem, wyznawcą idącym śladami Chrystusa. W ten sposób katolicyzm doprowadza zaszczytnie do końca swe dzieło wpajania szacunku. Stwarza ludzi noszących na czole stygmat świętobliwości, który nie ujdzie oka dzieci, — a przeciwnie wyrze w ich sercach obraz Chrystusa, zrozumienie prawdziwej wielkości i cześć dla niej.

Oto jak Katolicyzm uczy szacunku — słuszne zatem są słowa przyznające mu, iż jest najdoskonalszą na ziemi szkołą poszanowania. Katolicyzm jest najwznioslejszą religią i jako taki ściśle łączy Boga z człowiekiem. To też jednym z najgroźniejszych symptomów, które w społeczeństwie dostrzedz można, to upadająca cześć dla religii w ogóle, a dla Katolicyzmu w szczególe. Gdy lekceważenie, pogarda dosięga tej od Boga pochodzącej i do Boga podnoszącej nauki, wtedy nie uznając tego, co dobre, piękne, szlachetne, a poniżając, co najwznioslejsze — niszczy szacunek u samego źródła, a poziom moral-

ny tak jednostek, jak i społeczeństw obniża, zamiast podnosić.

II.

Jak Katolicyzm okazuje się niezrównanym środkiem wszczepiania czci i poszanowania w dusze dziecięce, tak znów poszanowanie okazuje się niezrównanym środkiem w wychowaniu. Widzieliśmy, że prawdziwie dobre wychowanie, t. j. takie, które dąży do rozwinięcia duszy, serca i umysłu dziecka, którego celem ciągły postęp, mający doprowadzić do osiągnięcia najwyższej doskonałości — że takie wychowanie idzie drogami przez samą Opatrzność wskazanymi, gdyż rozwija w dziecku naturalne jego skłonności.

Dziecko z natury swej skłonne jest: wierzyć, kochać, ulegać i czcić. Wychowanie od najmłodszych lat uczy je wiary i miłości, posłuszeństwa i szacunku, ukazując je już nie jako wrodzone usposobienie, ale jako prawo, drogowskazy życia.

Potrzeba czczenia i szanowania objawia się w dziecku od najwcześniejszych lat. Odczuwa ją z chwilą, gdy przed umysłem jego odkrywają się mgliste jeszcze i niewyraźne, lecz niemniej dla niego już istniejące zarysy świata umysłowego, duchowego. Przy pierwszym ukazaniu się tych nieznanых mu dotąd horyzontów, odczuwa potrzebę okazania wrażenia, jakie na nim wywarły, przez oddanie im należnego hołdu. To nie jest odruch bezpodstawowy, ani poryw bezcelowy — to głos Boży, wzywający niewinne

serce dziecka na szczyty doskonałości. Gdy w duszy ludzkiej odkrywa tę wielkość, którą dotąd tylko przeczuwało, nieznane dotychczas uczucie wstrząsa niem do głębi, poruszając najszlachetniejsze uczucia, — a serce pełne zapału woła: Oto ideał — takim i ja stać się muszę.

Gdyby doskonałość nie była naszym powołaniem, celem, człowiek przechodziłby obojętnie koło wielkości duchowej. Wzrok jego nie sięgałby tak wysoko, by ją dojrzeć, serce nie byłoby tak szlachetne, by ją ukochać, dusza tak wrażliwa, by rozgorzeć. Przeszedłby bez zrozumienia wielkości ducha, bez odczucia tej bożej iskry, która mu duszę rozpłomienia. Lecz Bóg użył mu tego wzroku, miłości i ognia, gdyż powołał go do wielkości; to też dusza obdarzona zdolnością zrozumienia i odczucia tego, co prawdziwie piękne i wzniosłe, w chwili spotkania się z tem pięknem, odczuwa równocześnie potrzebę podążenia w te ślady. Wpływ uszanowania na dziecięcą duszę podobny wpływowi słońca na kwiaty — słońce nie tylko w ten sposób działa, że w jego promieniach kwiaty się rozwijają — nie, pod jego wpływem nabierają one piękności i blasku, ku niemu zwracają swe kielichy; tak też działa na dusze cześć i uszanowanie. Pod ich tchnieniem dusza się rozwija, rozszerza, wpatruje w to, co czci godne, w dobro i piękno, do nich chce dążyć, do nich się upadabnia. Wielkość, którą poznaje, ukazuje się jej jako cząstka nieśmiertelnego piękna, którego obraz Boża ręka w duszy wyryla — i jak artysta, porównujący swe dzieło z ideałem, który odtwarza, znajduje je zawsze niedoskonałym i pragnie jak naj-

wierniej oddać pierwowzór, tak dziecko wpatrzone w ideał dobra i piękna, przejęte dłań czcigodną najwyższą, widzi swą niższość, pragnie mu dorównać, dostać się na te same wyżyny ducha.

Kto z rodziców znając człowieka o niezwykle szlachetnej duszy, a wiedząc, że samo wpatrywanie się, badanie tego niepospolitego charakteru może zachęcić dziecko do naśladowania, urobić je na wzór tej wielkości moralnej — kto z rodziców nie pragnąłby całym sercem, by jego dziecko, wpatrując się w ten ideał człowieka, zajaśniało takim samym pięknem?

To nie mrzonka, nie zwrot retoryczny — to rzeczywistość, którą w czyn wprowadza wychowanie, oparte na wpływie poszanowania.

Jeżeli umiecie zawsze i wszędzie zwrócić uwagę i serce dziecka na to, co rzeczywiście wielkie i wzniosłe; jeżeli umiecie wzbudzić w jego piersi poszanowanie głębokie dla piękna moralnego — ono poznawszy i ukochawszy ten ideał, usiłować będzie dorównać mu i naśladować go w życiu całym. Tak otrzymamy prawdziwie wielkich ludzi i wielkie społeczeństwa.

W tym samym stosunku, w jakim wychowanie uczące poszanowania, podnosi duszę, w tym samym stosunku wychowanie uczące pogardy, poniża ją.

Dziecko zapoznaje się z pogardą łatwiej, niżby to przypuścić można. Pogardę wszczepia się nietylko wtedy, gdy wskazując mu rzeczywistość wielkość, ośmiesza się ją i wzgardliwie traktuje — nie, wystarczy nie nauczyć jej szanować. Dziecko nie może zostać obojętnym, gdy przed oczyma przesuwają mu się wielkości spo-

łeczne, moralne; musi wyrobić sobie o nich jakieś zdanie, sąd, z jakimś uczuciem do nich się odnosić. Jeżeli ich nie szanuje, musi je lekceważyć. Ponieważ uczucie szacunku jest mu wrodzonym, to z chwilą, gdy się wobec niego podnosi co złe i poziome, a poniża co dobre i wzniosłe, w duszy dziecka powstaje zamęt, chaos, anarchia. Kto w dzieciństwie nauczył się tylko szydzić i pogardzać, ten z pewnością sam na szacunek nie zasłuży. Wielka cnota, rzadka zasługa, uznania godna instytucja, spotykają się z szyderstwem i pogardą tylko ze strony niskich charakterów — ich właściwością jest: znieważać majestat.

Brak poszanowania obniżający już w dziecku poziom moralny, powoduje w niezmiernie przyspieszonym tempie upadek człowieka. Zamiast z wzrokiem pełnym czci, utkwionym w górze piąć się coraz wyżej — on gardząc, pełza wzrokiem po ziemi; coraz silniej z nią związany, do niej przykuty, nigdy wzniesić się nie potrafi. Gardząc tem, co święte i szacunku godne, nie uznając tego, co wielkie, sam zatracą szlachetne skłonności — pogarda, którą obrzucił piętno ducha, spada na niego jak piętno hańby, przekleństwo.

Widzimy zatem, że koniecznym jest wpatrywanie w dziecko uszanowania. Lecz może ktoś zapyta, kogo ono tym szacunkiem ma otaczać?

Możnaby na to odpowiedzieć jednym słowem: wszystko, co poszanowania godne, tj. wszystkim, co nosi na sobie piętno Boga, obraz Boży. Wykazaliśmy wyżej, jak poszanowanie, mając swe źródło w Bogu, spływa przez Chrystusa

i przez Kościół na ojca, matkę, na wychowawcę. Lecz nie wystarcza, by jedynie to najbliższe otoczenie dziecka wzbudzało w niem szacunek — wychowanie musi wyrobić w niem kult dla wszystkiego, co nacechowane wielkością i na cześć zasługuje.

Nie zdołałbym wyliczyć wszystkiego, co dziecko czcić winno — zadowolnię się podzieleniem tego na trzy kategorie, pod które resztę podporządkować można: poszanowanie ludzi, poszanowanie instytucji, poszanowanie zasad i jako konsekwencya poszanowanie siebie samego.

W miarę, jak dziecko sięga wzrokiem poza kręgi kółka domowego, ku rozległym horyzontom życia społecznego, wychowanie powinno wskazywać mu, co w społeczeństwie wielkie i podziwu godne, a więc: dostojeństwa tak duchowne jak i świeckie, wyniki trudów głośnych działaczy i skromnych pracowników, prawodawstwa i rządy, urządzenia i dążności, wszystkie wielkości wyszłe z łona społeczeństwa i naznaczone majestatem religii i ojczyzny.

Potem objąć powinno jednostki, które zasługami swemi chlubę przynoszą wierze i krajowi, więc: znamienitych wodzów i bohaterów, świętych i dobroczyńców ludzkości, serca i umysły wielkie, niezachwianie w wierze Bogu, a z zaparciem się siebie pracujące dla bliźnich — wszystko, co nosi znamię prawdziwego szlachectwa, godności i czystości moralnej — wreszcie człowieka, jako istotę obdarzoną rozumem, wolą, duszą — człowieka, będącego arcydziełem Stwórcy, Jego obrazem.

Ucząc szanować człowieka, wychowanie musi uczyć szanować i instytucje — rozumiem przez to urządzenia, które przetrwały wieki całe, dobrodziejstwem były dla narodów, a tem samem zasłużyły na cześć pokoleń. Te pomniki stworzone sercem, umysłem i potęgą ludzką świadczą o współczesnym duchu ubiegłych stuleci, krwawym pocie ojców naszych, uroku i potędze pracy — noszą na sobie blizny walk staczanych, stygmat ofiarności i poświęcenia. Uświęcone są zdobytem doświadczeniem, wdzięcznością narodów i błogosławieństwem milionów, a nadewszystko zdobi je piękność, cześć i sława zabytków starożytności. Starożytność w tem, co czyste i święte, to majestat i wielkość stuleci, kładąca swą pieczęć na wiecznie młodem czołe. Zarozumiałość i bezbożność nie uznają tej powagi starożytności, ale religia kochająca wszystko, co w ludziach odtwarza obraz Boga, otacza ją wielką czcią. Starożytność jakby symbol wiecznotrwałości Boga w czasie — uosabia nie tylko majestat czasu, ale również majestat siły, bo wszak przeżyła tyle burz, zwalczyła tyle potęg i korona czci słusznie zdobi jej skronie.

Wreszcie wychowanie powinno zaszcześcić i najsilniej ugruntować w dziecku poszanowanie zasad i praw. Bez tego nie ma ani dzielnych jednostek, ani wielkich społeczeństw. Prawo jest wraz z Bogiem i w Bogu pierwszą wielkością i władzą, którą poszanowaniem uznać musimy, gdyż sprawiedliwość jest odbiciem Boga w sumieniu, imieniem Bożem głęboko w duszy wrytem. Prawa i zasady stanowią szereg prawd od nas niezawisłych, a które, jeżeli się

chce żyć, a co ważniejsze, postępować w doskonałości, musi się przyjąć w całej rozciągłości. Na uznaniu ich i posłuszeństwie im polega godność człowieka i wielkość społeczeństw — to też śmiertelny cios wymierza zarówno godności jednostki, jak i wielkości ogółu szalone i zarozumiałe mniemanie, że nic wyższego nie ma nad ludzką wolę, że ona może opanować wszystko, nawet prawo, zmienić nawet to, co nienaruszalne. Mniemanie szalone i zgubne, bo zamiast budować, burzy, — zamiast wpajać szacunek, wprowadza do duszy wzgardę.

Tu wiara nasza stała i zawsze stać będzie niezachwianie na swem stanowisku poszanowania we wszystkim i wszędzie majestatu prawa i bronięcia go mocą czci przed despotyzmem kaprysu i zmiennością losu.

Oto zasady poszanowania, które wychowanie ma zakorzenić w dziecku, by one jako wrodzone, przechodziły z pokolenia na pokolenie.

Dzisiaj niestety z przerażającą szybkością zanika uczucie poszanowania, a z niem szlachetność duszy wrażliwej na piękno wewnętrzne. Dalekie zdają się nam czasy, gdy cnota, poświęcenie, czyn cichy a niemniej bohaterski, wywoływały w tłumie jednobrzmiący okrzyk zachwytu. Gdy oczy błyszczały zapalem, serca żywiej biły, głowy się pochylały na widok dzielnego pracownika w winnicy pańskiej — dziś tłumy pochopniejsze do szydzenia; dziś nie tak łatwo cudzą wyższość uznają, bo nie przyzwyczajono ich od dzieciństwa szukać ideału, wpatrywać się w to, co wielkie, rozumieć i naśladować, co piękne.

Iluz to ludzi pracuje dziś nad tem, łączy się w związki, wyteża swe siły, by wykorzenić z piersi ludzkiej uczucie poszanowania, wzniecić pogardę dla tego, co przez wieki całe jako święte było czczone. Iluz to ludzi zbliża się do najwznioślejszych idei, do najgodniejszych osób, najzasłużeńszych instytucji z tym z góry obmyślanym planem, by je zelżyć, poniżyć wobec tłumu. Na wzór żydów, którzy za cel swych nągrawań wzięli Chrystusa, oni też wyszukują to, co najbardziej czcigodne, najbardziej szanowane, by to obedrzyć z szaty godności, napoić szyderstwem, ukoronować wzgardą.

Kto najszlachetniejsze uczucia podeptał, a głosił panowanie niskich instynktów — kto świętość i piękność najwyższą znieważył, a okłaskiwał brzydotę i zło — ten musi dojść do tego, co widzimy: do pogardy człowieka.

Czy nie odczuliście, jak straszną jest ta wzgarda przez człowieka — jak ona przechodzi przez serca ludzkie, wysuszając je i niosąc im zagładę, niczem wiatr gorący na pustyni? Nie trzeba wiele czytać, dużo widzieć i słyszeć, by spostrzedz, jak w dzisiejszem społeczeństwie ludzie wzajemnie sobą gardzą.

Czy wierzycie jeszcze w miłość i przyjaźń? Ja wierzę — bom je widział jaśniejące w swem poświęceniu i bohaterstwie — lecz niestety widziałem je również wysmiane, zelzone, pogardą obrzucone, a obok upokorzonej wielkości ducha widziałem, jak często jedno tylko święci tryumfy powodzenie.

Z tego ogólnego braku poszanowania tak dla idei, jak i dla ludzi wypływa, jako natural-

na konsekwencya, najbardziej poniżający brak poszanowania dla siebie, pogarda siebie — nie ta wzniosła, w duchu ewangelicznym, która siebie za nic ma, widząc wielkość Chrystusa — ale ta pogarda upadająca godność człowieczeństwa, ta pogarda, która sprawia, że człowiek tak zapomina, iż jest na obraz Boga stworzony; tak nisko swą wartość ceni, że przeciwstawia jej marny kruszec, że nie waha się zaprzedać siebie całego, myśli i słowa swoje, zdolności i pracę swoją temu, kto hojniej zapłaci, a czasem jako nadwyżkę w cenie hańby dorzuci nieco chwilowego tryumfu i sławy.

Tu źródło tych odstępstw, których plama pada na jednostki, rodziny i społeczeństwa — tych płatnych oklasków, rzucanych tam, gdzie zbrodnia bezkarnie uchodzi; tych kupnych złorzeczeń ciskanych, gdy prawo i sprawiedliwość upadają pod przemocą siły. Tu źródło tej zmiany przekonań i wierzeń, która przychodzi z dnia na dzień, zależnie od tego, jakim kaprysem rządzi się opinia i to najlepiej udowadnia, jak człowiek zatracił dziś poszanowanie własnej godności, jak bardzo nisko upadł.

W przepaść tę zepchnęło wychowanie antychrześcijańskie, karmiąc młode dusze pogardą — z tej nieledwie beznadziejnej toni wyratować może jedynie wychowanie chrześcijańskie oparte na uszanowaniu.



SZÓSTA KONFERENCYA.

Postęp w wychowaniu przez czystość chrześcijańską.

Poznaliśmy już cztery filary wychowania i życia chrześcijańskiego: wiarę i miłość, posłuszeństwo i uszanowanie — czegoż potrzeba jeszcze, by wychowanie było skończonem arcydziełem, a życie prawdziwie pięknem?

Potrzeba tego, co stojąc — na straży tych cnót przewodnich — dodaje im siły i blasku — potrzeba anielskiej czystości. Rozpatrzmy najpierw, gdzie ją czerpać i jak utwierdzać należy, następnie czem jest wychowanie bez czystości.

I.

Zaczynam znów od powołania się na świadectwo pewnego znakomitego pisarza. »Widziałem zawsze — mówi on — że młodzi ludzie wczesnie zepsuci i oddani rozpuście byli nieludcy i okrutni — gwałtowność temperamentu czyniła ich niecierpliwymi, mściwymi, szaleńcami. Wyobrażnia ich zapełniona jednym przedmiotem odrzucała wszystko inne — nie znali litości, ani miłosierdzia — poświęciliby ojca i matkę, wszyst-

ko na świecie, byle zaspokoić swe żądze. Przeciwnie, młodzieniec wychowany w szczęśliwej prostocie, zwraca się pierwszymi porywami swej natury do uczuć serdecznych — jego współczujące serce boleje nad niedolą bliźnich, drży radośnie, spotkawszy towarzysza — ramiona jego umieją otworzyć się w serdecznym uścisku, oczy wylewać łzy wzruszenia. Tak, twierdząc, że dziecko w dobrych skłonnościach, które do dwudziestu lat zachowało swą niewinność, jest w tym wieku najhojniejsze, najlepsze, najmiłsze i najbardziej kochające. Nigdy wam nic podobnego nie powiedziano? bardzo wierzę — wasi filozofowie wychowani w rozwiązłości nie chcą tego wiedzieć».

Kto napisał te godne uwagi słowa? Kto tak znakomicie rozumiał ogromną doniosłość czystości i niewinności w wychowaniu? Rzecz szczególna — oto ten sam, który poruszając inne zagadnienia, z dziedziny wychowania tak błędne zdania wygłaszał — ten geniusz obłąkany, który w każdej kwestyi miewał błyski zdrowego zapatrywania — autor »Emila«.

Chcę wykazać, że ten twórca tylu błędnych mniemań, tym razem dał świadectwo prawdzie.

Przedewszystkiem trzeba zrozumieć i przyjąć jako punkt wyjścia fakt, że czystość w wieku dziecięcym jest zagrożona przez zło, które, jeżeli nie chcemy, by zrujnowało życie, niszczyło dzieło wychowania, musimy zwalczać.

Widzieliśmy jak dusza ludzka przez zaspokojenie jej wrodzonych potrzeb i dążeń harmonijnie się rozwija. Lecz wiecie dobrze, człowiek składa się z duszy i ciała, a tak ściśle,

nierozerwalnie strona fizyczna z duchową złączona, że rozwój jednej zależy od rozwoju drugiej — rozwijając i wychowując duszę, musimy też rozwijać i wychowywać ciało.

To urobienie strony fizycznej, nad którą poniekąd sama natura pracuje, nie wchodziłoby w zakres naszych uwag, gdyby nie ta właśnie łączność duszy i ciała, która sprawia, że w pewnych warunkach cios godzący w najsłabszy punkt, raz zadane ciału, mogą stać się niebezpieczne, a nawet śmiertelne i dla duszy. Takim punktem słabym i delikatnym strony fizycznej, przez którą zło wciska się do duszy dziecięcej, niszcząc niejednokrotnie całe wychowanie, to zmysłowość. Ciało przez mniej lub więcej wczesne rozbudzenie najgroźniejszych instynktów czyha na godność duszy — przygotowuje chwilę przełomową, w której prawie zawsze życie przechyla się stanowczo na stronę dobra lub zła, obiera drogę postępu lub upadku.

Jest okres życia, którego obraz staje nam nieraz przed oczami jak kojące zjawisko wśród miotających nami burz: okres najszczęśliwszy, gdy dziecku promieniejącemu radością niewinnego serca nic nie zakłóca spokoju jasnej teraźniejszości, gdy nie przeczuwa nawet, ile chwil ciężkich w przyszłości je czeka. Złota to jutrzienka pochmurnego życia, gdy dziecko, prowadzone i strzeżone sercem matki ma myśl i pragnienie, wyobraźnię i wejrzenie tak czyste, jasne, niezmacone, że nie ma w nich najmniejszej skazy; że niewinność odbija się w całej jego postaci, jak słońce w kryształach. W jego uśmiechu i spojrzeniu na czoło i na twarz od-

zwierciedla się tak czysta i piękna, a swej piękności nieświadoma dusza, że z zachwytem nań patrząc, słusznie te proste, nieskalane dusze anielskimi zwiemy.

Lecz tej wiośnianej piękności dziecka brak tego, co ma uczynić ją doskonałą, dojrzałą pięknoscią: brak śladów walk przebytych, pokus zwyciężonych. Nadchodzi chwila, gdy ta czystość będąca tylko urokiem, ma się stać cnotą, a to, co było w dziecku spokojnem posiadaniem, ma stać się w młodzieńcu wywalczoną zdobyczą. Niestety warunki, w których żyjemy sprawiają, że chwila ta o wiele zawcześnie przychodzi — zanadto przyspiesza normalny bieg rozwoju, zakreślony ręką Stwórcy i prawami natury — przychodzi tak prędko, że nieraz zaskoczy dziecko całkiem nieprzygotowane. Ono, które dotychczas znało tylko święte dążenia nieskalanego serca i czyste skłonności duszy, zwróconej do Boga, czuje naraz, że coś nowego, nieznanego budzi się w niem. To ciało, które dotąd uważało za poddane i uległe, zharmonizowane z duszą, odzywa się niespodzianie głosem buntu — występuje z groźbą niepodległości — objawia instynkta dotąd skrywane i potrzeby, których poznanie napełnia dziecko zdziwieniem, połączonem z nieopisaną trwogą. Zamęt powstaje nagle w całej jego istocie — czuje się tem wzburzone tak, jak byłoby królestwo spokojne, a wstrząśnięte z nienacka rozruchami współstwa i buntem sfer najniższych.

Dziecko zatrzymuje się zmieszane i zaniepokojone tajemnicą, która w niem nurtuje, stając się od jego jaźni nieodłączną — patrzy drżące przed

siebie, jak podróżny, przed którego oczami otwierają się niespodzianie widnokręgi. Stoi bezradne, opanowywane naprzemian uczuciem strachu, to nadziei — wzrok jego się mąci przed tymi tajemniczymi obrazami, które na odległość go nęca, a do których zbliżyć się lęka — czoło jego staje się mniej pogodne, uśmiech mniej szczery, oko mniej jasne, całe zachowanie mniej naturalne. Cień smutku czy zadumy kładzie się na jego twarzy, widać, że odczuwa coś nowego, szuka czegoś nieznanego.

I wtedy dziecko chciałoby pytać naturę o ostatnie słowo jej tajemnicy, ludzkość o ostatnie słowo jej zagadki. Wrodzona ciekawość przybiera nagle zastraszające rozmiary — nieznanne go dręczy, a równocześnie staje się pojętą życia — chciałoby rozjaśnić cienie, rozerwać zasłony — pragnie wiedzieć, wszystko wiedzieć. Nie wystarcza mu badanie siebie samego, bada wszystko, co je otacza — wzrok śledzi wszystkie fakta, myśl wszystkie słowa — szuka w wyrazach ukrytego znaczenia, przetrząsa ich tajniki, byle wyrwać im tajemnicę, byle odkryć to, co przeczuwa. Słowa, które dotychczas nic mu nie mówiły i nie zajmowały, stają się naraz wyroczniami chciwie podsłuchiowanych wiadomości, podniecają już rozbudzoną wyobraźnię i pracują nad przekształceniem jego serca i życia.

W tym okresie wyobraźnia staje się urokiem, lecz przedewszystkiem niebezpieczeństwem — podobna do wróżki z klechdy i baśni przeprowadza przed oczyma dziecka zaczarowany świat nieznanego powabu — zgodnie z jego marzeniami mnoży rzeczywistość przez urojenie i rzucając

na materę odbłaski nieskończoności, sprowadza na instynkta niskie, najszlachetniejsze uniesienia serca.

I cóż z tego wynika? Potrzeba używania dotychczas dziecku nieznana ogarnia je, żąda otwiera mu oczy, porusza serce, wstrząsa całą istotą. Przypuściwszy nawet, że w tej przełomowej chwili dziecko nie ma innego wroga nacierającego na jego czystość jak siebie samego, już niewinność jego silnie zagrożona. Lecz podczas, gdy burza w niem szaleje, gdy walczyć musi ze zmysłami, wyobraźnią, pożądaniem, gdy ono samo jest tem polem zaciętej walki, na którym dobija się o zdobycie, wywalczenie czystości, wtedy świat odsłaniając mu nagą rzeczywistość większem jeszcze otacza niebezpieczeństwem na zewnątrz, niż to, które mu grozi wewnątrz.

Spotyka książki, które swymi ponętymi tytułami obiecują rozwiązanie niepokojących zagadek — a więc wszystkie możliwe tajemnice Paryża, Londynu, zwierzenia wyznania, pamiętniki istot upadłych, odkrywające w mniej lub więcej udatnej formie zagadnienia, a właściwiej brudy życia.

Książka zmysłom hołdująca, która potrafiła wśliznąć się w próg domowego ogniska dzięki nieostrożności lub obojętności rodziców, prędko zostaje odkryta — a wyobraźnia, która dotychczas kołysała się tylko marzeniami, przeczuciami, spada z obłoków urojeń, dotyka rzeczywistości. Czy nienasycone przebiegają karty, gdzie rozkosz-królowa otoczona światą zmysłowości, przedstawiona jako bożyszczce życia ludzkiego; szczęśliwie jeszcze, jeżeli autor siejący zepsucie

w scenach wstrętnego realizmu, nie zachęci młodego serca do zakosztowania tej zachwalanej uczty zmysłów. A jeśli następnie, ta nienasycona ciekawość zmyliwszy czujność wychowawców zaprowadzi dziecko do rzekomych przybytków sztuki, by mogło napatrzeć się dramatom i szalom życia — przybywa nowa pokusa, by poruszyć rój myśli, wrażeń, otoczyć atmosferą zmysłowości, ukołysać nią, rozmarzyć.

Zresztą, czyż nie wystarcza do przeprowadzenia tego zabójczego dzieła życie wielkomięskie? Tu z każdego zakątka czyha zło, otacza swym zatrutym oddechem, kazi brudnymi obrazami. Tu dziecko ociera się o najsmutniejszą rzeczywistość i gotowe sądzić, że chyba ludzkość cała dla używania żyje, w morzu rozkoszy się nurza — a wtedy przychodzi pytanie, czemu ono jedno byłoby skazane samowolnie stać na brzegu, lub opierać się prądowi, gdy tysiące tak swobodnie igra na fali? Pyta, czy używanie nie jest prawem, a czystość wyjątkiem i czy pierwszą koniecznością jego duszy nie jest ustąpienie bez oporu wymogom ciała?

Jakże pod naciskiem tych sprzysiężonych sił nieprzyjacielskich świata i ciała dziecko nie ulegnie, pozostanie nieskażone? A co będzie, jeśli rówieśnik, mający prócz doświadczenia doznanych pokus i smutne doświadczenie ulegania tymże, stłumionym szeptem saczyć zacznie jad w wolę jego, nietylko wychwalając, lecz i namawiając do poznania wzbronionego używania?

Wtedy rozpalona wyobraźnia zda się szeptać te słowa zwodnicze, rzeczone przez pierwszego kusiciela »Będiesz jako Bóg« — odkry-

wają się nieznane widnokreśli, nieprzeczuwane uniesienia. To najstraszniejsza próba i jeżeli jeszcze nie upadek, to śmiertelne niebezpieczeństwo.

Tak się przedstawia przełomowa chwila przejścia z dzieciństwa, do wieku młodzieńczego.

Wielką troskliwością i staraniem odsuwania pokus, chwila ta może być do późniejszych lat odroczoną — tem lepiej, jeżeli pierwsze zasadzki nieprzyjacielskie spotkają już nie dziecko, lecz człowieka uzbrojonego do tej walki w broń rozumu, woli i silnego postanowienia. Lecz zwyczajnie tak nie jest — przesilenie przychodzi, gdy wychowanie jeszcze nie ukończone, a wtedy grozi zniszczeniem najpiękniej zapowiadających się nadziei.

Pamiętajcie, to najtrudniejsza do przebycia przeszkoda, którą wychowanie na swej drodze spotyka — to najzaciętszy wróg, który unicestwia mozolną pracę.

Będąc na to przygotowanym, trzeba zawczasu obmyśleć środki obrony. Wychowawca nie może się tu wahać, musi przyjąć pewien sposób widzenia, mówienia i działania, by nim w odpowiedniej chwili pomagać dziecku; gdyby się usunął wtedy właśnie, gdy ono najbardziej moralnego oparcia i rady potrzebuje, wyrzekłby się tem samem swego posłannictwa, naraził dziecko na zgubę i zdradził położone w nim zaufanie.

I któż najlepiej odpowiedzieć może zadaniu obrony dziecka w tak ważnym momencie życia — kto bardziej do tego uzdolniony, czy wy-

chowawca mający za mistrzów rozum i naturę, czy wychowawca uznający mistrzem Chrystusa i Kościół?

II.

Istnieją tylko trzy możliwe sposoby rozwiązania tej kwestyi: albo zaprzeczyć istnienia zła i niebezpieczeństwa, które sprowadza, albo uznać zło, lecz zwątpić o możliwości ratunku, lub wreszcie próbować zażegnać niebezpieczeństwo i rozbroić zło.

Naprzód spotykamy się z tą wygodną filozofią, która uwalnia się od wszelkiego trudu i odpowiedzialności, zaprzeczając istnienia zła i zamiast starać się je zwalczyć, przyznaje rację bytu tak zwanej nowej nauce o człowieku. Nauka ta, dziwnie nowa i prosta zaiste, polega na tem, żeby wiedzieć, lecz nigdy nie udowodnić tego, że w człowieku wszystko jest dobrem; że pierwsze porywy natury naszej zawsze są prawe, gdyż człowiek z natury jest dobrym i w sercu jego niema wrodzonego zepsucia.

To twierdzenie racjonalistów uchyla zapytania, jak radzić na zło objawiające się w dziecku, a filozofia czyniąca z zaprzeczenia zła dogmat podstawowy, uśmiecha się tylko pobłażliwie z tych, co chcą walczyć z nieistniejącym wrogiem. Jeżeli z góry uznamy człowieka jako dobrego, nie trudno zrozumieć, że wszystkie instynkta, które na świat przynosi, musimy uznać również za dobre, — a wtedy pocóż się niepokoić tą chwilą budzenia się natury ludzkiej w dziecku czującym, że się przeradza w człowieka? Cze-

muż ten rozwój fizyczny byłby niebezpieczniejszy od duchowego? Czyż ciało nie jest zarówno jak duch, dobrem i świętem? Jeżeli dusza, umysł mają swe prawa i żądania, którym wychowanie ma zadosyć uczynić, czemuż ciało miałoby mieć żądania, które wychowanie ma zwalczać i tłumić? Dalekie — mówią — od nas zasady skazujące ciało na niewolę i zmaganie siebie; minęły czasy, gdy powijakami krępowano życie, by się lepiej rozwinęło — dozwólcie dziecku jak palmie na pustyni swobodnie się rozrastać — w wieku, gdy życie zbyt bujne szuka ujęcia, dozwólcie mu wdychać woń, którą w powietrzu czuje i odpowiadać bez przeszkody głosowi natury. Idąc za swą skłonnością, nie popełnia większej winy, jak kwiat, czarując swą barwą i wonią — w tym względzie złem jest tylko nadużycie, osłabiające człowieka i jego władze umysłowe.

Zaletą tej filozofii jest pozornie niezaprzeczalna łagodność — na dnie ukrywa ona jednak przemoc i okrucieństwo, choć na ustach ma tylko słowa pokoju. Jeśli krwawem okazuje się nieraz jej działanie, słowa miodem opływają. Jednem śmiałem cięciem przecina węzeł wszelkich trudności — mówi wychowawcy zaniepokojonemu przełomem w życiu wychowanka: czego się lękasz, czemu trwożysz przed zjawiskiem zapowiadającym mu rozkwit i pełnię życia? Podziwiam twoją troskliwość i prostoduszność — zapytujesz, jak zapobiedz złemu, zanim przyjdzie, jak je zwalczać, gdy przyjdzie? Wszak zło nie istnieje; to, czego się obawiasz, to tylko okres w życiu, burzliwość krwi, nadmiar sił żywotnych — to tylko oznacza rozwój człowie-

ka. Jego życie się wzmacnia, krew szybciej krąży — to tylko dobro, które ręka Stwórcy zlewa na człowieka.

Nietylko my, bo z nami większość, ogół ludzi, innego jesteśmy zdania — uważamy, że ten przewrót gwałtowny w dziecku świadczy o istnieniu, o wtargnięciu pierwiastka zła. Kto bliższą styczność miał z dziećmi, nie może tu mieć złudzeń. Gdyby ta namiętność, mająca tyle powabu dla ludzi wogóle, a dla młodzieży w szczególności była istotnie dobrem, wchodziłaby do duszy, jak wchodzi wszystko, co dobre i piękne, to jest ze spokojem, pogodą. Wszedłszy, napełniłaby ją łagodnem weselem, bo ono zawsze dobru towarzyszy, a żegnając, zostawiłaby ślad świetlany po szczęściu, które przeszło.

Powiedzcie, czy te znaki widzieliście w dzieciach, gdy godzina uchylenia tajemnicy im wybiła? Wykazaliśmy, że nie; wdziera się przemocą, zabiera spokój, zostawia niesmak i plami — nie jest zatem dobrem, nie jest instynktem, który zadowolnić należy, lecz złem, które zwalczać, instynktem, który wykorzeniać trzeba; zagraża bowiem życiu całemu.

Inni surowiej tę kwestyę traktują — nie uważają nowych światów, otwierających się przed zmysłami dziecka za dobro — owszem to zło, wielkie zło wieku przełomu — lecz takie już przeznaczenie, to zło konieczne, przełom nieunikniony. Jeżeli z biegiem okoliczności, lub z winy ludzi chwila ta nadejdzie przedwcześnie, tem gorzej, tem niebezpieczniej — lecz to choro-
roba nie do uleczenia, zło nie do zażegnania, grożące zresztą narazie tylko danemu osobni-

kowi. Nim dojdzie do przejawów, rażących otoczenie, obrażające formy przyjęte w życiu społecznym, wychowawca powinien go zdać jego własnej rozwadze, zostawić swobodę postanowień. Tu czuwanie niemożliwe, troskliwość zbyt uczona, wstrzymywanie niebezpieczne — a więc zamknąć oczy, by nie widzieć i nie być zmuszonym karcieć — oto system pedagogiczny, do którego wychowawcy nie bali się przyznać, a rodzice nie bali się przyjąć.

A przecież kto z nas sumiennie, z ręką na sercu mógłby zgodzić się na podobne zapatrywania? Kto z nas zamknie oczy, założy ręce, uciszy sumienie i stając wobec dziecka w takiej rozterce, powie: nie można tu nic zrobić. To bezlitosne zaniechanie ratunku jakie wyda owoce? to zrzeczenie się praw miłości i władzy czy może być przyjęte w tak krytycznej chwili? Czyż możliwe w obrębie ogniska domowego, tego królestwa miłości i poświęcenia zostawić dziecko same, opuszczone na pastwę szalejących zmysłów? Jeżeli zło tak dalece zawładnęło, że zamknęło przed rodzicami serce dziecka, ciężkie ich położenie. Lecz czyż jest ojciec, któryby nie podejmując nic w tej decydującej chwili, myślał, że spełnił swe ojcowskie posłannictwo — czy jest matka, któraby w takiej chwili wszystkich wysiłków nie czyniła, byle znaleźć sposób uchylecia zasłon wzbrańających jej przystępu do serca dziecka — czy jest matka, któraby odczuwszy swą bezsilność, uspokoić się zdołała, zanim znajdzie anioła stróża, zdolnego czuwać nad czystością serca jej dziecka?

Pozostawienie w tych warunkach młodej istoty samej sobie byłoby egoistycznym, okrutnym, niemoralnym — a cóż dopiero powiedzieć o rodzicach, którzy dalej jeszcze posuwają swe zaślepienie: u źródła zła szukają lekarstwa i dla uśmierzenia budzących się instynktów, starają się je zadowolnić!

Gdzież i kiedy takie usuwanie się od przeciwdziałania złemu możnaby uznać za odpowiednie? czy w wychowaniu publicznym, w szkole, w prywatnej pensji? Tam — może ktoś powie — trzeba się zgodzić z koniecznością — ani nadzór, ani władza, ani przywiązanie nie mogą tu dotrzeć do serca dziecka. Ono pozornie, zewnątrz nagina się do regulaminu obowiązującego, karność podporządkowującej wole wszystkim niezłomnym rozkazom, lecz w życiu wewnętrznym, osobistym, dziecko jest odosobnione, sobie zostawione. Za jedynych doradców ma sumienie i Boga, a zwykle nikogo innego, ktoby go z zewnątrz otaczał skrzydłem opiekuńczym, chciał wgłębić się w myśli i uczucia jego. Jest zupełnie samotne — i tem ciężiej odczuwa swe osamotnienie, że tłum otaczających go, a jednak tak częstokroć dalekich i obcych mu towarzyszyów potęguje poczucie osamotnienia, zwiększa niebezpieczeństwo. Któż może życzyć dla 14-letniego dziecka takiego osamotnienia, gdy on za słaby jeszcze, by we własnych siłach czerpać moc do oparcia się pokusom nacierającym wewnątrz jego piersi, a tem słabszy, by odeprzeć te, które z zewnątrz go szarpia.

Wszak każde z tych dzieci to ognisko, w którym ogień „zmysłowości” płonąć zaczyna; już samo nagromadzenie tych mniej lub więcej uświadomionych żądz, wytwarza atmosferę przepełnioną gorączką — czyż oddychanie takim żarem może być zdrowe, bezpieczne; czyż płomień nie ogarnie i tych, którzy zmuszeni obok niego przechodzić?

Ktoś z wielką znajomością natury ludzkiej powiedział: »Kto gromadzi tłum, psuje go« i słusznie, bo w każdej piersi ludzkiej tkwi zarzewie namiętności gotowe zawsze wybuchnąć, jeżeli znajdzie tylko podniecie. Taką podniecią jest właśnie widok nagromadzonych, a nieopanowanych złych skłonności. Jeżeli to groźne w tłumie ludzi dojrzałych, to cóż dopiero w tłumie dzieci, młodzieży, — gdzie ciekawość śledzi, nowość pociąga, nieznane wabi, krew gra, wyobraźnia pracuje, serce łatwo się otwiera i ogień tlejący przy łada iskrze może buchnąć nieugaszonym płomieniem. Słusznie też mówi de Maistre: »Oko rozumnego człowieka z boleścią zatrzymuje się na tem nagromadzeniu młodzieży, gdzie cnota jest odosobniona, a występki razem się trzymają«.

W istocie każdy dbający o młode dusze, z niepokojem spogląda na te rzesze z paruset dzieci złożone — zgromadzone w latach, gdy zmysły się budzą, namiętności huczą — a obok wychowawcy z niezmałym spokojem przechodzą koło szalejących umysłów, myśląc, że dosyć czynią, jeżeli nie mieszając się do niczego pilnują tylko, by w tym rozgorączkowanym tłumie utrzymać porządek i karność nakazaną.

Co poza bezpośrednim wpływem religii ma bronić tutaj czystości waszych dzieci? Rozum, filozofia, etyka ludzka? Filozofia ożywiona najlepszymi intencjami, zabiera się rzeczywiście do tego trudnego dzieła. Tłumacząc, że są cnoty moralne, które rozum wpoić może, sądzi, że zdoła zastąpić w wychowaniu dziecka, chrystyanizm. Czyż nie można bez Chrystusa i bez kapłana mówić dziecku o sprawiedliwości, posłuszeństwie, władzy, a przede wszystkim o braterstwie i miłości? Kościół ma katechizm, ale i filozofia go posiada — a co się tyczy samej czystości, mądrość ludzka przemawiając przez usta uczciwego człowieka, powie też dziecku, że podporządkowanie ciała duchowi jest pierwszym jego obowiązkiem, jego chwałą — że czystość jest największym urokiem młodości i koroną wieku dojrzałego.

Tak, zapewne, filozofia umie to powiedzieć; ale czy umie dać siły, by w czyn to wprowadzić? Dotychczas żadna doktryna, żadna religia rozumu, żadna nauka wyłącznie ludzka nie zdołała ugruntować czystości; nie posiadli jej uczniowie, tak, jak nie posiadali sami mistrze. Wystarczy, co św. Paweł pisze o orgiach starożytnych mędrców, a ci, których wzmiankuje to nie ludzie przeciętni, podszywający się tylko pod miano filozofów — to umysły niezwykle, świetne, które przeszły nieśmiertelne z odległej starożytności do dni dzisiejszych i tem jaskrawiej świadczą o nieudolności filozofii w zachowaniu czystości.

Gdy mądry Sokrates i boski Plato wyglądali swe sławne mowy, cóż działo się między

największymi ludźmi nauki i sztuki? Oto sceptycyzm, materyalizm i cynizm uosobiony przez Pyrrhona, Diogenesa, Arystypa torował sobie drogę poprzez ulice Aten, obrażając rozwiązłością obyczajów, zarówno jak szaleństwem pomysłów moralność i filozofią, niezdolne osiągnąć ideału czystości. Zmysłowość królowała jak dawniej — cała wymowa okazała się bezskuteczną, jej rezultatem było chyba zwątpienie o wszystkim, nawet o cnocie.

A i dzisiaj nasi filozofowie i kierownicy życia nie są szczęśliwsi. Uznają w niezmiernie rzadkich wyjątkach wpływ czysto ludzkiej etyki na powściągnięcie namiętności, lecz z reguły filozofia nowożytna nie okazuje się tu skuteczniejszą, niż starożytna. Zresztą niech ci, których młode lata nie znały innego hamulca jak względy rozumu i etyki ludzkiej — i ci, którzy otrzymawszy podstawy wychowania chrześcijańskiego, w 15—16 latach odrzucili je jako jarzmo zawadzające — niech ci w skupieniu wglądną w głębi swej duszy i zapytają się, czy filozofia nowoczesnych Platonów i Sokratesów, którą z takim zapalem się przejmowali, zdołała pohamować żądzę użycia; czy dziś, mając dorastających synów i córki, pilnie śledzących najnowsze prądy filozoficzne, mogliby śmiało i szczerze powiedzieć: »Dziecko moje było zagrożone, fala zepsucia już je porywała w swe wiry — filozofia je uratowała, nie dozwoliła mu się skałać, — jej zawdzięcza swą czystość«.

Kto mógłby uczciwie, z ręką na sumieniu to zaświadczyć?

Nie ludzi tu oskarżam, lecz fakta — przywiązanie wychowawcy może nieco złagodzić zło; lecz choćby był najlepszym i najrozumniejszym, nie może wlać swym systemem siły odpornej i mocy, bo jej brak temu, co wyłącznie rozumowe i ludzkie — to uczynić może jedynie boska nauka Chrystusa, wychowanie chrześcijańskie.

III.

Czystość jest w naszych obecnych warunkach tak trudną i wzniosłą rzeczą, że aby ją wydobyć z głębin zepsutej ludzkiej natury, trzeba czegoś potężniejszego, niż siły przyrodzone i mądrość ludzka — trzeba sił, wpływów, objawienia nadprzyrodzonego, boskiego.

Nie utrzymuję, że dziecko, które otrzymało wychowanie chrześcijańskie, jest już tem samem zabezpieczone na całe życie i utrzyma się w czystości. Obdarzone wolną wolą, jest, gdy się da powodować przez swe złe skłonności, silniejszym nieraz od wszelkiej troskliwości i czujności. Widziałem smutne przykłady dzieci, tracących tę anielską cnotę, choć otaczały je najświętsze wpływy — ale nie można nie przyznać, jeśli się chce być bezstronnym i sprawiedliwym, że wielka ilość dzieci, wychowanych po chrześcijańsku, zachowuje czystość, względna do ułomności ludzkiej natury. Wiem, że moje słowa spotkają się z niedowierzaniem, bo takie dziś ogólne zepsucie obyczajów, że ludzie w najlepszej wierze pytają, czy cnota czystości jeszcze wogóle się praktykuje. Inni by przed własnem sumieniem usprawiedliwić swój

upadek, tłómaczą go tem, że czynią tak, jak wszyscy. A przecież nie — nie wszyscy podają się zmysłom — i między nami jeszcze czyści się znajdują. Znałem i znam młodych o sercu gorącym a niewinnem, którzy przetrwali tę ciężką burzę nieskalani, lecz muszę dodać, że na ich czołe widziałem zawsze znak chrześcijańskiego wychowania.

I czemuż wychowanie to się posługuje, by oddziaływać tak skutecznie? Oświeca swą nauką, posila Sakramentami, wpływa otoczeniem.

Oświeca dziecko pouczając, że ciało jego jest świątynią, serce ołtarzem, do którego Chrystus schodzi, by w niem zamieszkać; musi więc stać się godnym przybytkiem Pańskim. Poucza dziecko, że skarb niewinności okupiony był drogą krwią Boga samego — wskazując w promiennych postaciach Chrystusa i Niepokalanej Dziewicy najszczytniejsze wzory ludzkości dane, ideał czystości. Oświecając, uczy kochać czystość jako najdoskonalsze odzwierciedlenie w duszy obrazu Boga i sił dodaje do utrwalenia tego obrazu na życie całe; bo mimo piękna, które dziecko w czystości odczuwa i które go pociąga — w chwili przełomowej, gdy natura odwołuje się do zmysłów, nawet ten uczeń Chrystusa odczuwa dla czystości niechęć, która jest niczem innym, jak tylko trudnością zwalczania poziomych instynktów. Wtedy potrzeba woli i siły, jakich natura sama dać nie zdoła.

Ci, którzy już walki te przebyli, rozumieją dobrze, bo doświadczenie im to wskazało, iż nie tyle brakowało światła ich rozumowi, ile mocy ich woli. To też, aby serce, dusza i ciało były

zabezpieczone przeciw wszelkim pociskom trzeba, by podobnie jak bohaterowie starożytni, zanurzyli się w tajemniczych wodach świętego źródła, który im zapewni nie tylko wielkość ludzką, ale moc i potęgę Bożą do przebycia tych ciężkich bojów, gdzie duch i ciało zwalczają się wzajemnie.

A wiecie, gdzie w wychowaniu chrześcijańskim wytryska owo święte źródło siły? Oto u stopni konfesynału, u stóp ołtarza, w serdecznym żalu i w Krwi Chrystusowej, gdy korząc się i wielbiąc dziecko oddycha atmosferą świętości. Oprócz tego jest inna jeszcze straż przydana małemu chrześcijaninowi, by ustrzedz skarbu niewinności: to wychowawcy zdolni przykładem swym do cnoty tej zachęcić, z troskliwością nad nią czuwać i z poświęceniem jej bronić. Stając wobec takiego zadania, należy ściślejszej i surowiej, niż kiedykolwiek, zbadać swe sumienie, zdać rachunek sobie samemu z siebie samego, bo wielkie zobowiązanie przyjmuje się wobec rodziców, dzieci, społeczeństwa.

Gdy się pomyśli, że stwardniałemi przez znajomość życia rękami, dotykać trzeba tych delikatnych kwiatów ludzkich — gdy się wie, że trzeba będzie młode dusze urabiać swą duszą, młode serca kształtować swem sercem — serca wrażliwe, dusze przeczyste, które lada spojrzenie może zbrukać, lada podmuch zmrozić, lada słowo zranić śmiertelnie — wtedy musi się zastanowić i stając w obliczu Boga i swego sumienia zapytać, czy się posiada warunki, których nauka Chrystusa wymaga od kierownika i wychowawcy młodych pokoleń.

A czegoż wymaga chrystyanizm? oto żąda, by wychowawca był puklerzem ludzkim dla niewinności dziecięcej, osłanianej już ręką Bożą. Aby zaś zapewnić tę obronę, wymaga od niego trzech rzeczy, zmierzających do jednego celu: czystości anielskiej, gorliwości kapłańskiej, poświęcenia macierzyńskiego.

Przedewszystkiem czystości anielskiej: tak, wychowawca ma jak najmniej mówić o czystości, aby nieopatrzenie nie rzucić myśli o występku, który ją kała; natomiast cała jego istota powinna jaśnieć i tchnąć czystością, by dziecko nieustannie nią oddychało.

Troskliwości kapłańskiej — tak, straż święta dniem i nocą czuwająca nad sercem dziecka czystem jeszcze i nieświadomem, lub nad sercem młodzieńca pełnem burz i znającym już wartość czystości, która przeszła ogniową próbę — oto, co musi przyjąć i wypełnić, jako podstawowy swój obowiązek. Musi słuchać i patrzeć, by zniweczyć zamiary i podstępny wroga — mieć oczy otwarte na najdrobniejszy znak, uszy otwarte na najcichsze słowa — delikatną ręką uchylać truciznę zawartą w książce, rozmowie, w niebezpiecznej lub mogącej się stać niebezpieczną przyjaźni — czuwa jednym słowem nad sercem waszych dzieci, gdzie spoczywa niewinność, jak kapłan czuwa nad tabernakulum, w którym spoczywa Chrystus. Tak, święta straż bez wytchnienia czuwająca nad skarbem, który dziecko ma zachować przez życie całe, a który tak łatwo wydrzeć mu można.

Dalej chrześcijaństwo żąda od wychowawcy, by z czystością anioła i troskliwością kapłana

połączyć poświęcenie macierzyńskie. Któż lepiej od matki chrześcijanki może zrozumieć wartość tego klejnotu duszy, jakim jest czystość? Widziałem matki krwawymi łzami płaczące, gdy przed oczyma ich stawała prawda zdzierająca zasłonę z ich najświętszych złudzeń, ukazując zboliałemu sercu upadek niewinności ich dzieci. Widziałem matki i to najdoskonalsze, najczulsze, które pragnęły raczej śmierci dla siebie, niż skalanie duszy dziecka i gotowe przyjąć wszelkie ofiary najboleśniejsze, najcięższe, byle ich czystość zachować.

Któż zatem będzie godny zająć przy dziecku miejsce matki, jeżeli niema w sercu swem tej wielkiej miłości wzniosłego poświęcenia, które cechując uczucia macierzyńskie, otaczają je niezrównanym blaskiem. I oto widzimy, że chrystyanizm stwarza w duszy wychowawcy prawdziwie chrześcijańskiego tę ofiarność matki, która przed niczem się nie cofa, byle zachować czystość dusz dziecięcych — ofiarność zaczerpniętą w źródło Krwi Chrystusowej, i która, aby wyhodować niebiański kwiat czystości, chętnie oddaje siły i zdolności — pracę i trudy — życie całe dzieciom poświęca.

Może zaprzeczycie mi mówiąc: ależ ten ideał anielstwa, kapłaństwa i macierzyństwa złączonego w osobie wychowawcy to mrzonka, ułuda, piękne lecz czcze rojenia, które marzenie stwarza, lecz rzeczywistość nigdy nie spotyka.

Zaiste, nie każdemu dane ideał ten urzeczywistnić, a przyznaję, że i w chrześcijaństwie nie wszyscy wychowawcy mu odpowiadają, bo ileż na to cnoty, świętości, zaparcia się siebie

trzeba. Lecz przyznając te trudności i uznając ułomność natury ludzkiej, stwierdzam równocześnie: że po pierwsze, chrześcijaństwo stawia przed nami ten ideał wychowawcy i żąda, by do niego dążyć; powtóre, że chrześcijaństwo wydaje ludzi, którzy wszystkimi siłami do tego ideału dążą i mimo wrodzonej ludzkiej słabości urzeczywistniają go w mierze potrzebnej, dla osiągnięcia w sercach dziecięcych czystości.

Szczęśliwi rodzice, którzy takim wychowawcom powierzyli dzieci swoje, a jeszcze szczęśliwsze dzieci, które mają takich kierowników przykładem, troskliwością, poświęceniem urabiających serca ich na wzór boskiego Mistrza. Dziecko chowane w takiej atmosferze światła i życia nadprzyrodzonego, strzeżone przed jadem zepsucia — dziecko, którego serce, myśli, spojrzenia spotykają się tylko z tem, co jasne i zdrowe — pozostaje do 18 lat niewinne, bez skazy.

Jeżeli pięknem jest małe dziecko, bo z oczu jego bije blask niewinności jeszcze nieświadomej, o ile wyższem jest piękno moralne młodzieńca, znającego już chwałę zwycięstwa. Umysł jego oświecony, serce otwarte dla szczytnych uczuć, dusza umiejąca odczuć wielkość i uszanować ją — wola zahartowana posłuszeństwem — jest już człowiekiem, siłą i godnością, jest jeszcze dzieckiem czystością i niewinnością. To okres największego uroku: piękno duchowe już w najwyższym rozkwicie, a jeszcze nieskalane.

IV.

Czegóż potrzeba, by to arcydzieło Boże, ten owoc pracy i wysiłków ludzkich zniweczyć, by zetrzeć z dziecięcego czoła urok niewinności i wyniszczyć siły żywotne? Niestety tylko jednej rzeczy na to trzeba — żądzy użycia. Ona wypełniawszy w młode serce, wpija się weń, dla swoich celów spożytkowuje wszystkie jego soki, pożera zapal, wolę, uśmierca człowieka w kwiecie wieku.

Znakomicie swego czasu określono tego niszczyciela, nazywając go »robakiem toczącym wychowanie«. Roślina najtroskliwszą ręką pielęgnowana, zabezpieczana przed wszystkim, co ją uszkodzić może, wspaniale się rozwijająca, nagle zaczyna więdnąć, schnąć. Daremnie hodowca stara się, by ożyła; daremnie słońce pieści ją swymi promieniami — korzenie jej podcięte, kwiat zapowiadający się tak pięknie, a pozbawiony soków odżywczych, nigdy już nie rozkwitnie. Dziecko, kwiat wiaty, troskliwie osłaniany przed podmuchem złego, rozwijający się umysłowo i duchowo, naraz słabnie, traci siły, niezdolny zakwitnąć życiem czynu — robak toczący duszę pozbawił go czystości, a z nią soków żywotnych, religii. Gdy ona w duszy zamiera, nic już rozwinąć się, nic zakwitnąć niezdolne. Zanik czystości i zanik wiary zazwyczaj następują równocześnie.

Spojrzyjcie na dzieci wasze! Wczoraj jeszcze tak żarliwie zwracały się do Boga, dziś zdają się chcieć zapomnieć o Jego istnieniu. Świat ducha zamknięty dla nich — kolano już się nie

zgina, usta nie szepcą: »Ojcze nasz« — serce odwraca się od Tego, który wczoraj jeszcze był im Mistrzem. Mistrz ich, Bóg ich stał im się obcy — głuche na słowo Boże — myśl o Bogu męczy je i nudzi. Daremnie kapłan wzywa »Sursum corda« u nich już ani serce, ani myśl, ani pragnienie w górę się nie wznosi — według słów Bossueta »wszystko jest na ziemi, wszystko jest ciałem«. Pobożność szuka nieba, do niego się wzbija — żądza rozkoszy szuka ziemi, pełza po niej. Duch i ciało, religia i używanie, to dwa bieguny wiecznie się odpychające; a to, co dąży tylko do zaspokojenia ciała i porusza zmysły, nie może mieć nic wspólnego z tem, co dąży do nieskończoności i porusza duszę.

W każdym człowieku tkwi dwoistość — w każdej ludzkiej jednostce są dwie istoty, dwie siły wiecznie się zmagające: istota i siła ziemiska. Gdy rozkosz zwycięża, istota ziemiska tryumfuje, istota niebieska upada — wtedy wychowanie zachwiane, dziecko śmiertelnie ranione. Z pobożnością traci dążenia, które go podnoszą, łączą człowieka z Bogiem, ziemię z niebem. Pobożność z ziemi wznosi do nieba — używanie, z nieba strąca na ziemię.

Co najczęściej niszczy wiarę w młodem sercu? Stanowczo: używanie. Póki serce dziecka, czyste jak kwiat lilii — póki nie zna innych radości, jak szczęście rodzinne i przyjaźń serdeczną — póki życie jego spokojne, jak wody jeziora i jak kryształ przejrzyste — tak długo prawdę przyswaja sobie z łatwością, dogmat jak słońce rozjaśnia mu duszę całą. Między duszą dziecka,

a nauką Kościoła jest harmonia, łączność, wspólne porozumienie — prawdy naturalne, wszczepione przez nauki, spotykając się w czystym sercu z prawdami nadnaturalnymi, wszczepionymi przez Kościół, witają się jak dwie córki jednego władcy i łączą w siostrzanym uścisku dziewiczej czystości.

Dziecko niewinne nie rozumie nawet, że Kościół i jego Boska nauka mogą mieć przeciwników — wszystko, co ona mu podaje, znajduje w sercu jego tak łatwy odgłos, a prawdy których naucza zdają mu się tak dostosowane do jego umysłu, że z tą samą łatwością z jaką oko przyjmuje słoneczne promienie, dusza przyjmuje światło prawdy wiecznej.

Lecz przychodzi godzina, gdy prawda tak swobodnie wchodząca do najgłębszych tajników jego życia, natrafia niespodziewanie na nieprzewidzianą przeszkodę. Jak chore oko unika światłości, której dotychczas z upragnieniem szukało, tak dusza chora unika światła wiary. Serce zaciemnione żąda, uchyla się od słowa Bożego, od myśli o Bogu. Skąd ta zmiana? co zaszło w umyśle dziecka? Czy rozszerzony widnokrąg jego myśli odkrył jaśniejsze, piękniejsze słońce? Czy może spostrzegł, że całe nauczanie w jego najwcześniejszych latach dzieciństwa było tylko pobożnym wytworem wyobraźni, ułudą serca, poetycznym uniesieniem, jednym słowem pomyłką umysłu, przyjęciem za fakt częściej fantazyi? Nie, nic podobnego nie zaszło w duszy dziecka — nie zabłysło mu nowe słońce, nie zajaśniały nowe widnokreśli, cóż więc się stało? Oto żądza wpadła w życie jakimiś tajemnemi, krytymi

drogami, weszła w duszę i opanowała ją — a jej pierwszym ruchem było: wypędzić prawdę, zagasić światło.

Wczoraj niewinny, z miłością wpatrywał się w prawdę, rozkoszował jej jasnością — dziś sługa ciała, nie może znieść jej blasku i woła: »Zostaw mnie samego, odejdz!«.

I oto dziecko 15-letnie mówi, że wierzyć już nie może. Wiara św. Augustyna, Tomasza, Bernarda, jemu już nie odpowiada — ma przeciw wierze zaszczepionej mu przez usta matki zarzuty poważne, których jednak wyjawić nie może, gdyż zbyt dobrym jest synem, by zasmucał serce macierzyńskie. Cóż ma przeciw wierze ten tak młodociany filozof, co zarzuca chrystjanizmowi ten 15-letni myśliciel? Dogmatowi chrześcijańskiemu przeciwstawia argumenta pogańskie; duchowi — ciało. Ono chce władać, zatem duch ustąpić musi. Zmysły głoszą swoją prawdę, więc prawda duszy — fałszem. Przestał wierzyć, gdyż przestał być niewinnym.

To straszny ból dla tych, którzy, powołani do szerzenia i bronienia prawdy, widzą jak jedno słowo, jeden przykład, jedno tchnienie zepsucia silniej działa na młodzież niż nauka, która przekonała najgłębsze umysły, wyrobiła najpotężniejsze filary Kościoła. Ani niezbite dowody, ani porywająca wymowa nie są tak potężne w utrwalaniu prawdy, jak głos zmysłów w wykorzenianiu jej. Nauka ustępuje przed pożądliwością — światło pierzcha przed niskimi instynktami, szukającymi ciemności.

To pierwsze ślady spustoszenia, jakie żądza w dziecku sprawia: niszczy wiarę i pobożność —

a za nimi niechybnie widzimy, jak zanika poszanowanie. Aby zapewnić możność szacunku względem siebie samego i względem bliźnich trzeba starać się uchwycić ich najlepsze strony, śledzić gdy najwyżej się wzbijają, a o ile można zamykać oczy na najniższe strony życia — tylko pod tym warunkiem zdolni jesteśmy szanować. Jak już poprzednio zauważyliśmy, poszanowaniem dusza się podnosi, poszanowania uczy się patrząc na to, co wzniosłe; a badając co górne, sama dąży na te wyżyny.

Otóż dziecko od wczesnych lat dotknięte żądzą, która go niszczy, postępuje wręcz przeciwnie — wynajduje i rozpatruje w ludziach to, co jest najniższym intynktem. Tak w sobie, jak i w drugich nie chce widzieć podniosłych stron życia, zapomina o godności króla stworzenia, o rozumie, o dążeniach serca, lekceważy przede wszystkim porywy duszy, skierowane do Boga; a czyni to wszystko, bo oddane jest wyłącznie temu, co zaprzęta umysł, wyobraźnię, pragnienia człowieka, będącego tylko ciałem, żyjącego tylko dla ciała. W ten sposób godność ludzka maleje w jego oczach; na szali, na której waży wartość człowieka, strona zwierzęca zawsze bierze górę i przychodzi do przekonania, iż istota ludzka przy bliższem rozpatrzeniu nie ma tej wartości, jaką ją cenimy, ani jaką ona sama siebie ceni. Zapewne, gdy w człowieku widzi się tylko materję, znika cała jego wielkość i chwala — jakże więc ma siebie i innych szanować, kiedy cokolwiek by mówił lub czynił dla pokrycia hańbiącej go żądzy płaszczykiem dumy, musi sam przed sobą i za siebie się rumienić.

Cokolwiekby nie czynił dla usprawiedliwienia i rozgrzeszenia swych występków, one zawsze pozostają przed sądem jego rozumu napiętnowane hańbą. Wie, że przyzwalając na rozkosz ciała, upokarza tem duszę: zarówno dziecko, młodzieniec, jak i człowiek dojrzały podległy despotyzmowi zmysłów, czuje, jak go to poniża, czuje swoją niemoc, swoją podłość; wie, że wydał godność królewską na pastwę rozszalałej łuszczy. Czuje się tem upokorzony, pogardza sobą; a będąc sam w niewoli zmysłów, nie umie i nie chce u innych dopatrzeć się obrazu Boga we własnej duszy tak zeszpeconego. Owszem, prędzej skłonny jest sądzić, że wszyscy wogóle jemu są podobni, niż przypuścić, że na polu walki, jakim jest życie, on jeden został zwyciężony. Pogardę, którą odczuwa dla siebie, skwapliwie przelewa na bliźnich — co więcej, doświadcza pokusy odsądzania od czci całej ludzkości.

Życie swymi codziennymi przykładami wymowniej przemawia, niż ja mógłbym to uczynić — rzeczywistość stwierdza na każdym kroku me słowa. Patrzcie, jak dzieci, które utraciły już niewinność, są dla rodziców, przełożonych bez poszanowania, niegrzeczność ich graniczy niemal z grubiaństwem. U dziecka, którego umysł się rozbudza, a serce zna porywy serdeczności, piękną jest miłość połączona z nieskażoną czystością. Uczucie nieskalane, wolne od wszelkiej zmysłowości ma urok niewypowiedziany, a głęboko odczuty przez tych, którzy sami zachowali czystość serca. Dla tego tak nas pociąga, tak pociągająco działa na serce dzie-

cięce, bo w niem jest skarb uczuć najserdeczniejszych, i tak, że się wyrażę, uduchowionych, że nie dopuszczają nawet myśli o zmysłowości — uczuć tak szczodrych i szczerych, że się zapomina, iż istnieją samolubne i interesowne.

I skądże nagle kwiat uczuć więdnie? oto robak toczący wpelzł do serca, zabił miłość, a zrodził egoizm. Gdy dziecko tak nisko upadnie, że szuka radości w zaspokojeniu żądz ciała, wtedy popada w samolubstwo — samo się zaprasza na gody życia, samo się niemi rozkoszuje. Czysta miłość, która złościła domowe ognisko, dziś mu nie wystarcza — pogodna radość, wypływająca z umysłu i serca zbyt nikła — dziś pije u źródła egoizmu i zmysłowości. Żegnajcie zatem jasne, serdeczne dziecięce uczucia; żegnajcie czyste porywy! Ty biedny ojcie, ty straszkana matko, żegnajcie! Przepadło już z przywiązaniem synowskiem waszego dziecka — już wasza miłość przestała mu być szczęściem. Niestety zbyt prędko to spostrzeżecie, gdy tuląc do piersi jego głowę, nie uczujecie ciepła w jego sercu, nie ujrzyście dawnej przejrzystości w oku, ni niewinności na czole. W miłości ku dziecku złożyliście ofiarę najlepszych dni życia waszego, żyliście jego uśmiechem, jego sercem, jego miłością; ono niepodzielnie do was należało — i oto raptem, niespodzianie żądza wam go wydarła, a egoizm zajął wasze miejsce w jego sercu. Uchyła głowę od waszych pocałunków, uchyła serce od waszej miłości, a to serce raz przed wami zamknięte, nie łatwo się otworzy, nie wnिकiecie już do jego głębi, nie będziecie w niem czytać jak w otwartej księdze, bo on ma już swoje ta-

jemnice, których nikomu, nawet matce powiedzieć nie może. Rana najdotkliwsza, najboleśniej — nie ta, która wam serce rozrywa, lecz ta, która jego serce krwawi — nie to największym nieszczęściem, że wasza miłość cierpi, lecz, że dzieło wasze zburzone, dzieło, nad którym tyle lat, z takim zaparciem się siebie, nakładem trudu i starania pracowaliście — dzieło, które miało kiedyś zaszczytne zająć miejsce i okryć się chwałą, dzieło, w które włożyliście waszą przeszłość, a widzieliście dziecka przyszłość — chwieje się, rozpada w gruzy. Podkopuje je żądza, dając rozkosz, a wydzierając miłość — dając uludy, a pozbawiając podstaw — pochlebając ciału, a zabijając duszę.

Może jednak mimo tego upadku pozostaną mu przymioty, które już niżej uznaliśmy za potęgę i siłę człowieka — może zostanie mu silna wola?

Niestety nie — zniszczenie, jakie rozpusta szerzy, chyba najwidoczniej tu się uwydatnia. Człowiek, poddawszy się raz despotyzmowi żądzy, traci moc, wolę.

Zanik woli, to choroba naszego wieku; choroba wybuchająca z tak straszną gwałtownością i takie spustoszenie czyniąca, że dziś ze wszystkich stron słychać poważne głosy nawołujące do radykalnego jej leczenia. Iluż to młodzieńców, na których z dumą wskazywaliśmy jako na kwiat młodzieży, nadzieję społeczeństwa, podporę kraju, stanęło bezwładnie w środku drogi, niezdolni pracować, bo niezdolni chcieć. Ile ofiar pośród ludzi dojrzałych, którzy popadli w nie-

wolę poządlwości, tracą całą swą męską energię, całą siłę woli, zdolność czynu.

Ale jeżeli używanie i w wieku dojrzałym czyni spustoszenia, unicestwiając wolę już wyćwiconą, siły już zdobyte, — o ileż groźniejszej skutki, gdy wdziera się w szeregi młodzieży, gdzie wola nie miała jeszcze czasu się zahartować, siły wyrobić.

Jeżeli dziecko poddało się tyranii zmysłów, która je upokarza, osłabia i rozdrażnia równocześnie, traci tem samem swoją godność, moc, możność opanowania siebie. Niema drugiego występu, któryby rozpaczliwiej pogrążał wolę ludzką w upokarzającą bezsilność i niemoc.

Każde poddanie się zmysłom, każdy tryumf żądzы znaczy swe przejście ubytkiem siły, zmniejszeniem zdolności chcenia. Przyzwyczajenie do porażek odbiera nieszczęsnemu nawet chęć zwycięstwa — gorzej, bo nawet chęć wysiłku, oporu. I przychodzi chwila, że mógłby powiedzieć: nie żądajcie niczego odemnie, bo nie mogę nic, chyba to, do czego zmusza mnie namiętność, która mną zawładnęła a zabierając mi wolę, zabrała i siły. Nie żądajcie od niego postanowienia, ani inicjatywy, nie żądajcie odwagi, ani pracy, nie żądajcie niczego, co wymaga wysiłku myśli lub czynu, bo wszystko w nim obumarło.

Pożar zmysłowości objawszy jego jestestwo, w perzynę obróci co wielkie i potężne, zostawiając tylko szkielety, tlejące zgłiszczą — bo wszak wolą nie nazwiecie tych błysków chwiejnych, niepewnych, zmiennych, które się czasem zjawiają. Ta wola, bierna, gotowa na wszystko

przystać, bojąca się wysiłku, toż to parodya tej potęgi woli, która świat podbija.

A teraz, gdy ta straszna niszczycielka przeszła przez wiosnę życia, deptając kwiaty teraźniejszości i plon przyszłości, niwecząc wolę, która zapłodnić miała życie — co pozostanie ze zdolności, które uwieńczyć miały jego drogę; co stanie się z pamięcią, wyobraźnią, rozumem, wreszcie z charakterem?

Pamięć? ona zmniejsza się w miarę, jak zło się szerzy — słabnie, zapada w bezwładność, wiodącą do zupełnej niemocy. By pobudzić pamięć trzeba energii, on jej nie ma — żeby ją wyćwiczyć trzeba pracować, tego nie może. Lenistwo rodzące w życiu tyle złego, jest w wieku dzieciennym najbliższym towarzyszem wykroczeń przeciw czystości. Zmysłowość rodzi lenistwo, a przez lenistwo zatracą się niećwiczone pamięć. Zamiast w nauce szukać skarbów i czerpać je na życie całe, pamięć domaga się od zmysłów wspomnień i obrazów pobudzających.

A wyobraźnia? ona, która miała być podniecią myśli, blaskiem wymowy, urokiem w pracy, staje się spółniczką jego hańby. Ona uskrzydłona, by wzbijać się ku nieskończoności, ona promieniejąca, by rozpraszać życia cienie, ona jak pryzmat mająca rozkładać i zbierać światło prawdy, by rozbłysnęło barwami tęczy i uwydatniło przy różnorodności kolorów ich harmonię — ona mająca być przystanią poezji w prozie życia, od codziennych trosk porywać dusze na wyżyny ideału — ona strącona, znieważona, sprowadzona do roli niewolnicy — skrzydła związane, przykute do potworności życia — ten orzeł

szybujący w błękitach musi jak złowróżbny ptak nocy zagłębiać się w mroki, gdzie światło nie dosięga, zbierać obrazy wstrętem przejmujące i niemi karmić umysł żądzą przyćmiony.

Co stanie się z tym największym darem Bożym, z rozumem? Wszak on oddycha prawdą jak płuca powietrzem — on zwraca się sam z siebie do Boga, jak roślina do słońca. Ta zdolność dana, by ułatwić wznoszenie się na wyżyny ducha, tu ciągle zniżana, ściągana do poziomu materii, wciąż o nią potracając, dla niej pracując przeistoczy się, zmateryalizuje sama, służąc niskim instynktom, ciału — szczęśliwie jeszcze, jeżeli życie zmysłom oddane, nie wyczerpie zdolności umysłowych, nie doprowadzi do chorobliwego, może nieuleczalnego stanu.

Nie chcąc wkraczać w dziedzinę smutnych, a tak częstych i różnorodnych w przejawach zboczeń umysłowych, poprę tylko zdanie moje słowami człowieka, którego dwojakie posłannictwo wzywało do zgłębienia dwóch przeciwległych punktów widzenia, przepaści nędzy ludzkiej.

»Młodzi ludzie, ofiary tej nieszczęsnej a hańbiącej namiętności, zatracają mniej lub więcej inteligencyę i pamięć. Stają się ogłupiałymi, idyotami, ponurymi i ociężałymi; wykazują wielką nierówność usposobienia, wstręt do zabaw i rozrywek uczciwych — poszukują samotności i zdają się zatopieni w głupekowatym milczeniu. Poczucie godności i zapal duszy ich opuszcza — stają się niezdolni do nauki i pracy umysłowej i aby wszystko w jednym streścić słowie, są zerami bez najmniejszej wartości«.

Oto świadectwo człowieka, którego zdanie jest powagą; to ostateczny wynik młodości, którą używanie pozbawiło sił żywotnych: człowiek zero, bez wartości, bez charakteru.

Siła charakteru, to potęga jednostki, stygmat człowieczeństwa — cóż się z nią dzieje pod wpływem zmysłowości? Zmniejsza się, zaciera, niknie — w miarę zaniku życia moralnego w dziecku, zanika charakter — godło majestatu człowieka opada, a cóż zostaje? Nie ja, lecz Apolikalipsa mówi: zostaje znak i charakter zwierzęcy.

W ten sposób dokonywa się dzieło zniszczenia, tak zamiera życie duszy. Mógłbym już na tem poprzestać, gdyż tu zajmuje nas tylko strona duchowa, rozwój duszy. Lecz czy myślicie, że ciało dotknięte w pierwszym rzędzie przez ten występki nie zostanie naznaczone piętnem, które i na zewnątrz się uwidoczni? Czy sądzicie, że fizyczna żywotność nie ucierpi od tych zbrodniczych ciosów? Organizm młody i wąty, jak wszystko, co nie zdołało się jeszcze zahartować, czyż zdoła oprzeć się złemu, opanowującemu go przed dojrzałością fizyczną? Nawet po dojściu pełnego rozwoju, człowiek nie może bezkarnie oddać się na usługi szalejących namiętności, a cóż dopiero, gdy ten rozwój jeszcze nie nastąpił.

To życie, które miało stosownie do naturalnego biegu rzeczy, rozwijać się powoli, stopniowo, pod strażą natury czasu i Boga — to życie, które miało wzmocnić organizm, by odpowiedzieć swemu zadaniu — jak wywiąże się z obowiązku wstrząsane namiętnościami, które

je przed czasem opanowują, osłabiają gwałtownością, wtedy, gdy nie posiada jeszcze sił niezbędnych?

Gdybyście mogli zbadać nieobliczalne krzywdy, jakie ten występki wyrządza w życiu fizycznym — gdybyście mogli zgłębić rany, jakie zadaje ciału w chwili, gdy równocześnie rani duszę dziecka — wyteżylibyście wszystkie siły serc i rąk waszych, by ustrzedz dzieci niewinne, by ratować zagrożone.

Posłuchajmy świadectwa jednej z tych biednych ofiar przedwczesnego uświadomienia i rozpusty: »Miałem dziesięć lat — opowiada pewien młodzieniec, nie znałem jeszcze złego, kolega szkolny zapoznał mnie z niem, a odąd niestety, ileż upadków! Mam dziś lat 18, a jestem już złamany — nie wiem co to sen spokojny, co wesołość. Cztery razy zmieniałem miejsce pobytu — występki wszędzie szedł w moje ślady. Utrzymuję się przy życiu dzięki moim siłom żywotnym — towarzysze moi pomarli wśród najokropniejszych męczarni«. Nad takim upadkiem można płakać krwawymi łzami — to też serce moje śle wam życzenia kapłana i przyjaciela: oby Bóg oddalił od waszych dzieci tę falę zniszczenia! Żeby dozwolił im wzrastać w duchu chrześcijańskim — by religia użyczyła im swych życiodajnych soków, wiara korzeni, miłość rozkwitu, posłuszeństwo siły, poszanowanie wielkości, a czystość blasków nieskalaności. Niech wychowanie da im przede wszystkim Tego, od którego wszystkie dary pochodzą: Chrystusa-Władcę, Chrystusa-Prawdę, Chrystusa-Miłość, Chrystusa-Swiętość, Chrystusa-Boga; tak, Chrystusa

zawsze i wszędzie, Chrystusa poznanego i czczonego, ukochanego i naśladowanego przez wasze dzieci. Oto streszczenie całego wychowania i możemy tu powtórzyć naszą formułkę postępu »Crescamus in illo per omnia«, »Wzrastajmy w Nim przez wszystko«.

A teraz, zanim zakończę te uwagi o postępie przez wychowanie, muszę się zwrócić do rodziców i wychowawców z zapytaniem, czem wam się zdaje wychowanie chrześcijańskie? Czy uważacie, że to niebezpieczeństwo, które odwracać należy, — czy dobrodziejstwo, które przyjąć trzeba?

Wychowanie takie, o jakim tu mówiłem, nie jest dziełem pewnej instytucji, ani przywilejem pewnej klasy społecznej — należy do tego, kto umie je dać i do tego, kto umie je przyjąć.

Ludzie z góry potępiający wszystko, co chrześcijańskie, chętnie poddaliby myśl, że podnosząc istotną wartość wychowania chrześcijańskiego miałem na celu obniżyć wszelkie wychowanie, niespoczywające w rękach kapłańskich.

Zastrzegam się przeciw takiemu zrozumieniu niniejszej pracy — gdybym był przekonany, że jedynie kapłan może przeprowadzić dzieło wychowania, nie zawahałbym się otwarcie to głosić. Mojem przekonaniem głębokiem jest, że wyłączne oddanie się Chrystusowi mocą ślubów zakonnych i wyświęcenia — to spotęgowanie sił wychowawcy. Uważam to za prawdę niezaprzeczalną. Ale również niezaprzeczalnym jest, że każdy kto chce i umie być szczerze chrześcijaninem, zadaniu temu godnie odpowie.

W ten sposób pojmuję wychowanie chrześcijańskie i pytam, kto mógłby być jego przeciwnikiem? Wyjąwszy nieliczne wyjątki ludzi zarozumiałych a bezbożnych, ogół przyzna, że w wychowaniu trzeba przyjąć jakąś religię. A wszakże chrystyanizm to najwznioślejsza z religii, a katolicyzm jego szczytem! Jeżeli się jego obawiacie w kierownictwie dzieci waszych, powiedzcie czemu? Czy ono szerzy zwątpienie lub bunt — czy uczy nienawidzieć lub gardzić — czy poniża człowieka i psuje serce — czy wreszcie pracuje w ciemności i działa w tajemnicy? Jeżeli mu co z tego zarzucacie — powiedzcie!

Oto zabiera głos racjonalizm antychrześcijański i woła: »Wy katolicy, a przedewszystkiem wy kapłani usiłujecie wychować dzieci nasze w zasadach sprzecznych z postępek cywilizacji, wpajacie niechęć, nienawiść do naszych urządzeń i dążeń«. Wielkie słowa, któremi można oskarżać, nic nigdy nie określając.

Nasza cywilizacja — cóż ona oznacza? czy przemysł, czy wiedzę, czy wynalazki? I któż z pośród chrześcijan dziś przeciw niej powstaje? Czy ona oznacza to, cośmy określili jako kulturę duszy i doskonalenie człowieka? A w takim razie co usilniej, jak wychowanie chrześcijańskie, do tego dąży?!

Nasze urządzenia i dążenia — czy myślicie o hasłach wolności, równości, braterstwa? Kto pierwszy, jeżeli nie chrystyanizm pojął ich doniosłość i objawił prawdziwe ich znaczenie? Jakie urządzenia nienawiścią otaczamy? może myślicie, że nie można być chrześcijaninem i zwoleńnikiem współczesnych urządzeń? Chybabyscie

tem dowiedli, że one są w rażącej sprzeczności z duchem nauki Chrystusowej? a przecie głó-
sicie, że urządzenia te są późniejszym, lecz pięknym kwiatem posiewu chrześcijańskiego. Lecz w takim razie czy moglibyśmy się obawiać tego, co oznacza tchnienie i żywotność chrystyanizmu?

Źle sądzicie. My chrześcijanie i katolicy tak często nazywani wrogami nowego świata i nowego porządku, nie jesteśmy zamknięci ani granicami pewnego państwa, ani pewnych przywilejów. Jesteśmy zarówno w Hiszpanii, jak we Francji, w Polsce jak w Niemczech, w Europie jak w Afryce — żyjemy, pracujemy, uczymy pod wszystkimi berłami, pod wszystkimi formami rządu, jakie wieki wydały i dziś, jak 19 wieków temu dążymy do tego, co jest prawdą, prawem, dobrem i postępem, jednym słowem pragniemy tego, co powodowało rozwój nasz wczoraj — co nas podnosi dzisiaj — co zaprowadzi nas jutro do wspólnego, a wiecznego celu.

To stawiamy za zadanie wychowania przygotowanego prawdziwy postęp ludzkości.

Usuńcie zatem niechęć, uprzedzenia, zawiści. Niech siły złączone dla wychowania przyszłych pokoleń będą dziś najlepszym zapewnieniem promiennego jutra. Niech wszyscy jednogłośnie nie tylko słowami, ale i czynem wyznają prawdę, którą pracę niniejszą pragnąłem wyręczyć w duszach waszych: prawdziwy postęp jednostek i społeczeństw osiąga się jedynie, przez: wychowanie chrześcijańskie.

SPIS KONFERENCYI.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

Konferencya pierwsza:	Strona
Postęp społeczeństwa przez rodzinę	5
Konferencya druga:	
Postęp rodziny przez Jezusa Chrystusa	30
Konferencya trzecia:	
Upadek rodziny w naszych czasach	57
Konferencya czwarta:	
Postęp rodziny przez małżeństwo chrześcijańskie . . .	84
Konferencya piąta:	
Postęp rodziny przez ojcostwo chrześcijańskie . . .	109
Konferencya szósta:	
Postęp rodziny przez macierzyństwo chrześcijańskie .	130

CZĘŚĆ DRUGA.

Konferencya pierwsza:	
Postęp przez wychowanie chrześcijańskie	157
Konferencya druga:	
Postęp w wychowaniu przez wiarę chrześcijańską . .	172
Konferencya trzecia:	
Postęp w wychowaniu przez miłość chrześcijańską .	194
Konferencya czwarta:	
Postęp w wychowaniu przez posłuszeństwo chrześc. .	219
Konferencya piąta:	
Postęp w wychowaniu przez uszanowanie chrześc. .	241
Konferencya szósta:	
Postęp w wychowaniu przez czystość chrześcijańską .	259



286524/

